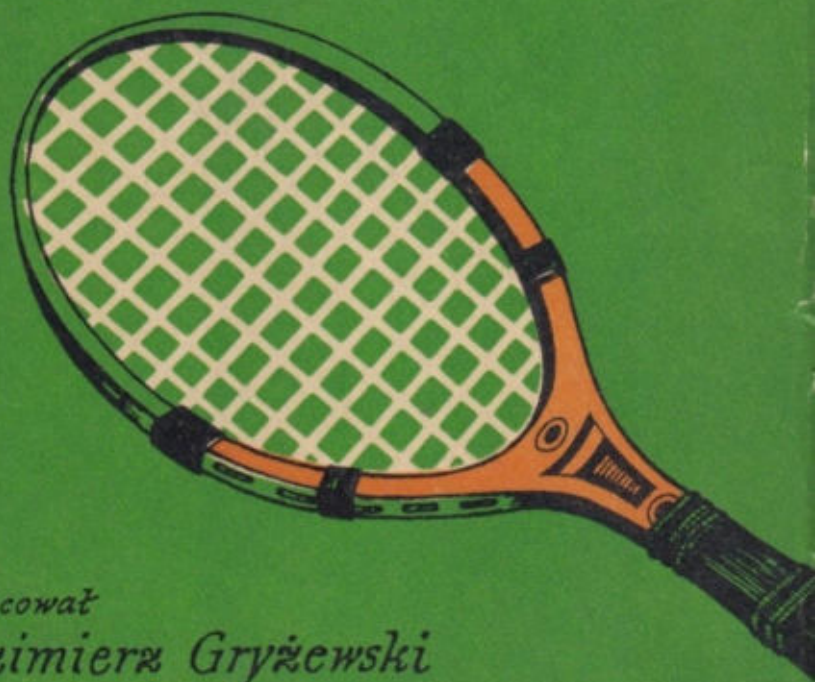


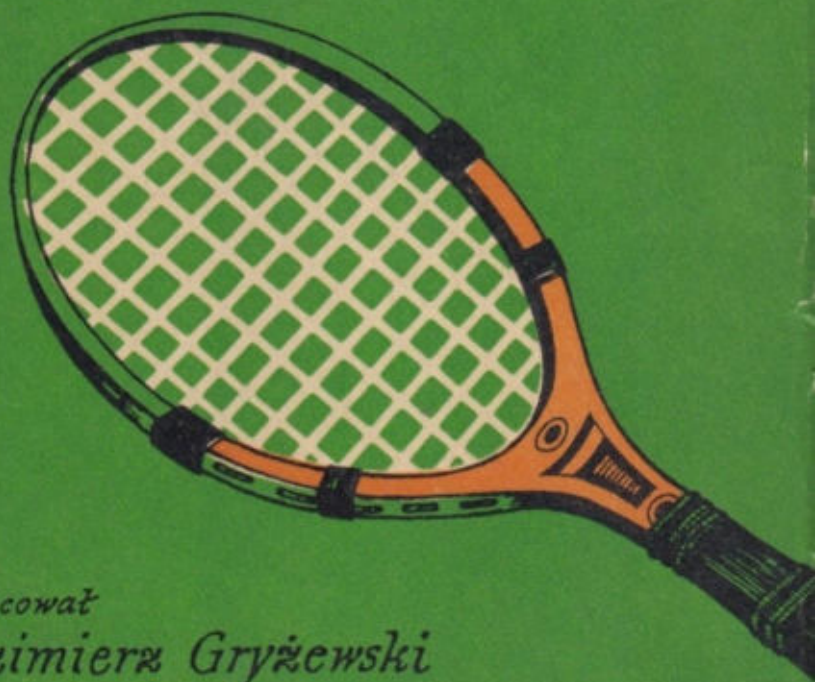
# *Jadwiga Jędrzejowska* **URODZIŁAM SIĘ NA KORCIE**



*opracował*  
*Kazimierz Gryżewski*

*Jadwiga Jędrzejowska*  
**URODZIŁAM SIĘ  
NA KORCIE**

---



*opracował*  
*Kazimierz Gryżewski*



Zasłużony Mistrz Sportu  
JADWIGA JĘDRZEJOWSKA

*Jadwiga Jędrzejowska*

*opracował*

*Kazimierz Gryżewski*

## URODZIŁAM SIĘ NA KORCIE

Wydanie II uzupełnione

W

ROKU 50-LECIA

POLSKIEGO ZWIĄZKU TENISOWEGO



WYDAWNICTWO SPORT I TURYSTYKA

WARSZAWA 1971

Obwolutę projektował  
Marian Stachurski

*Fotografie*

CAF, Kazimierz Gryzewski, AR oraz ze zbiorów Muzeum  
Kultury Fizycznej i Turystyki

WYDAWNICTWO „SPORT I TURYSTYKA”  
WARSZAWA 1971

Nakład 10 230 egz. Ark. wyd. 12. Ark. druk. 13,5.  
Papier druk. sat. kl. III 70 g (82×104). Oddano  
do składania w kwietniu 1971. Druk ukończono  
w lipcu 1971. U-93. Cena zł 22.—  
Druk wykonano w Technikum Poligraficznym  
w Warszawie, ul. Stawki 14. Zam. 702/71.

ZAMIAST PRZEDMOWY

Za chwilę, kartka za kartką, mecz po meczu, zacznie rozwijać się przed oczami Czytelnika niezwykła kariera dawnej, wielkiej polskiej tenisistki.

Tenis! — Nie umiem o tym sporcie mówić, ani pisać beznamieennie. Proszę zatem wybaczyć niejedną nutę osobistą, jaka zabrzmi w przedmowie do tej książki, ukazującej się z okazji Jubileuszu 50-lecia polskiego tenisa. Kiedy to piszę, dopiero zdaję sobie sprawę, że przez znaczną część tych lat dane mi było oglądać z bliska jego dzieje. Zbliżyłem się wszakże do polskiego tenisa w okresie, kiedy Jadwiga Jędrzejowska i Ignacy Tłoczyński byli u szczytu swej sławy, a z późniejszym naszym mistrzem rakiety Władysławem Skoneckim poznałem się, kiedy był dopiero juniorem. Początki jego kariery, jak i mniej sławnego gracza — ale bez porównania wierniejszego polskim kortom, a mam na myśli niezmordowanego weterana Józefa Piątka, który wciąż gra jeszcze — miałem okazję obserwować dosłownie z drugiej strony siatki. Pierwsze kroki juniorskie stawialiśmy razem, tyle że Józio wciąż serwuje, smeczuje i biega do siatki na najrozmaitszych turniejach, a ja już tylko ośmielam się pisać słowo wstępne do książki o dziejach białego sportu w Polsce, które tworzyli i tworzą ci wymienieni przed chwilą z nazwiska ludzie, jak również zastępy wielu innych — nie tak sławnych, lecz kochających kort i rakietę nie mniej, niż Jazda i Ignac.

Centralny kort warszawskiej Legii. Nie, nie ten dawny, na którym występowali Tilden i Borotra, Krahwinkel-Sperling i De Stefani, nie ten okolony drewnianą trybuną, na którym toczyli mecze Józef Hebda, a potem

Adam Baworowski, mając naprzeciw Cramma i Menzla — i nie ten z lat dużo późniejszych, które także są już przeszłością... Wielogodzinne boje z Asbothem! Davids-sonem! Contrerasem!

Potem pojawili się na nim nowi gracze. Gąsiorek, Rybarczyk, Nowicki. Po drugiej stronie siatki znów ukazywały się sylwetki graczy z różnych krajów — przedstawiciele nowego pokolenia tenisistów, którego nie było na świecie, kiedy laury zdobywała Jędrzejowska.

I właśnie w tych ostatnich latach, pewnego dnia, na centralny kort Legii wmaszerował długi szpaler najmłodszych polskich tenisistów. Uroczyście otwierano jeden z dorocznych turniejów dla dzieci, organizowanych przez najbardziej zasłużony dla białego sportu polski klub. Przemówienia i życzenia dobrej gry i pięknych przeżyć skierowali starsi koledzy do tych najmłodszych, często dziesięcioletnich... a potem wspólna fotografia.

Nie zapomnę, jak jedna z małych tenisistek spytała swą koleżankę: — Kto to jest ta pani, co stoi wśród nas pośrodku?

— To pani Jędrzejowska.

— Kto to jest ta pani? — zapytała wtedy po raz drugi dziewczynka.

Niniejsza książka odpowie małej tenisistce na to, kim była pani Jadwiga Jędrzejowska. Odpowie wielu bardzo młodym ludziom w Polsce — i miejmy nadzieję, że trafi do rąk nie tylko tych, którzy sami uprawiają tenis. Byłoby dobrze, gdyby przeczytali ją również ci, którzy w ogóle są dalecy od sportu.

Dzieje kobiety, która nie tylko... „urodziła się na korcie” i miała wielki talent do sportu. Jest to chronologiczny opis kariery, która młodą dziewczynę zaprowadziła z małego domku położonego obok krakowskich kortów na szczyty sławy, popularności i powszechnego szacunku. Zjeżdżała cały świat, zdobywała najwspanialsze puchary. Oklaskiwali ją z jednakowym entuzjazmem kibice i koronowane głowy. Król Szwecji szczyił się, że może być Jej partnerem w grze. Kiedy biła swe potężne forehendy — tłumy szalały. Cudzoziemcy, nie mogąc wymówić Jej imienia i nazwiska, zamiast: Jadwiga Jędrzejowska mówili: „Jed”. Nie było wtedy „Jetów” — odrzutowych samolotów, była „Jed” — mocna dziewczyna, która strzelała piłkami z szybkością odrzutowca.

Był czas, że najlepszą sportsmenką Polski była — tenisistka! Warto przypomnieć, że Jej kandydaturę pierwszy wysunęli przedstawiciele polskiej lekkiej atletyki, choć w tym gronie znajdowały się wówczas najznakomitsze zawodniczki.

Żeby zostać Jędrzejowską czy Tłoczyńskim, trzeba nie tylko mieć talent, lecz przede wszystkim trzeba ten talent wyzwolić poprzez ogromny trening. To jest to, co musimy tenisowi ofiarować. Na pewno zwróci nam w trójnasób włożony trud i obdarzy po królewsku! Ten, kto choć trochę grał, zna jego niezliczone uroki. Jest to sport dziwny, który zrozumieć można dopiero wtedy, kiedy go się bliżej pozna. Jedyna gra, w której zwycięzca może wygrać nawet wtedy, gdy zdobędzie mniej punktów, niż pokonany przeciwnik. W tenisie bowiem trzeba zdobywać przede wszystkim punkty ważne, rozstrzygające o przełomach w walce, a więc punkty do uzyskania najtrudniejsze. Umiejętność koncentracji staje się przez to najważniejszym przymiotem, a sposób liczenia decydująco wpływa na taktykę gry i zmusza do nieustannej analizy własnych sił i sił rywala po drugiej stronie siatki.

Poza samą przyjemnością odbijania piłki rakieta sprawdzamy na korcie własną pomysłowość, siłę, szybkość, odporność nerwową, cierpliwość i inteligencję. Tylko ten, kto grywa w tenisa, zna tajemnicę stopniowego odsłaniania nie znanej dotąd osobowości przeciwnika. Nie mamy z nim bezpośredniego kontaktu. Rozdziela nas siatka. Rękę podamy sobie dopiero na znak zakończenia walki, jednak kontakt z przeciwnikiem istnieje. Czujemy na rakiecie siłę jego uderzenia. Mocna piłka mówi o odwadze rywala, czasami o desperacji, podcięta — o chytrości i inteligencji. Nagły skrót za siatkę lub zaskakujący łob powiedzą o jego dowcipie. Długie wymiany to sygnał, że rywal jest uparty i wytrwały.

Dobry mecz tenisowy o dużą stawkę jest wyjątkowo pasjonującym widowiskiem i z łatwością konkuruje z piłką nożną na wysokim poziomie albo emocjonującym biegiem lekkoatletycznym.

Tenis, niestety, wciąż nie znajduje u nas pełnego zrozumienia. Gorzkie słowa na jubileusz? — cóż, miało być przecież szczerze w tej przedmowie. Zresztą słowa te nie dotyczą Jubilata, wręcz przeciwnie — mówią o jego niespożytej żywotności i dowodzą, że jak młodziemiec

przedziera się i walczy — tak jak bohaterka książki Kazimierza Gryżewskiego.

Książka, która jest jakby przekazaniem kolejnej generacji tenisistów tych wszystkich wartości, jakie są ukryte w sportowej walce. Jędrzejowska nigdy w swojej karierze nie zachowywała się nie po sportowemu.

Kiedy była u szczytu sławy, znajdowała czas i ochotę, aby poprosić do gry nawet małego juniora i uczyła go najrozmaitszych tajników tenisa.

A autor?... Kazimierz Gryżewski w ileś tam lat później będzie kierował pierwszymi dziennikarskimi krokami byłego juniora, któremu już wywietrzały z głowy marzenia o karierze tenisowej i zajął się po prostu reporterką sportową. To było kiedyś w „Expressie Wieczornym” — tętniąca życiem sportowym ostatnia kolumna!

Pomost doświadczeń i przyjaźń, która przetrwała lata, choć widzimy się rzadko. Jak wtedy — na turnieju tenisowym dla dzieci, raz w roku na kortach naszej „Legii”.

Gdzie spojrzeć, wspaniały mecz! Pasja walki ogarnęła małych zawodników. Jeden przewrócił się i pod kolanem czerwieni się strużka krwi. Równie filigranowy przeciwnik, kiedy z zagryzioną wargą bije rakieta w piłkę, wygląda na małego lwa kortów.

Obok gra inna para rywali. W sumie uzbiera się najwyżej dwadzieścia lat. Sędziują im koledzy, a ojcowie zbierają piłki.

— Przewaga... Równowaga... Przewaga...

— Gem, set, mecz!

BOHDAN TOMASZEWSKI

## R O Z D Z I A Ł P I E R W S Z Y

Wchodzę na kort \* Mój „klub” \* Pierwszy mecz międzynarodowy \* Dubieńska i Boniecka muszą dostrzec „dziewczynę od podnoszenia piłek” \* Jak zostałam przyjęta do klubu

Urodziłam się na korcie tenisowym... Proszę mi wierzyć, że niewiele przesadzam. Domek, w którym ujrzałam światło dzienne, znajdował się w parku krakowskim, tuż obok boisk tenisowych Akademickiego Związku Sportowego. Cała moja młodość związana jest z tymi kortami.

Przymykam w tej chwili oczy i widzę dokładnie nasz mały skromny domek. Nadchodzi wieczór, siedzimy wszyscy przy jednym stole: matka, ojciec, najstarszy brat Staś, siostra Zosia i najmłodszy Józek. Za chwilę matka zacznie krzątać się przy kuchni. Zosia będzie nakrywała do stołu, ja jej pomogę. Ojciec zapyta, jak tam Staśkowi poszło w szkole i czy już przygotował lekcje na jutro...

...Nadchodzi kwiecień. Rano budzą mnie pierwsze promienie wiosennego słońca. Ubieram się szybko i oglądam przez okno pierwsze pączki na pobliskich drzewach. Z kortów dobiega charakterystyczny szmer odbijanych piłek; nigdy w życiu nie zapomnę tych odgłosów, które od dzieciństwa były dla mnie zewem kortu.

...Mam zaledwie osiem lat (urodziłam się w 1912 roku), a już pobliskie tereny sportowe są moim drugim domem.

Ojciec był robotnikiem w krakowskich zakładach oczyszczania miasta. Dziś nie pamiętam już, ile zarabiał. Musiało to być mało, bardzo mało. Jako ośmioletnia dziewczynka zdawałam sobie dokładnie sprawę z tego, że w domu jest bieda. Słyszałam czasami rozmowy rodziców. Mówili szeptem, aby nasza gromadka nie słyszała,

lecz ja wiedziałam o co chodzi, w oczach matki widziałam troskę. Któregoś dnia powiedziałam:

— Mamo, ja bym tak bardzo chciała ci pomóc. Pozwól mi pójść na kort — tam dzieci zbierają piłki, a ci panowie elegancko ubrani na biało dają im za to pieniądze.

Matka zawahała się:

— Może lepiej nie... Jesteś mała, będą na ciebie krzyczeć...

Pocziwe matczyśko szukało różnych pretekstów, aby odwieść mnie od zamiaru zarobkowania. Przewycięzyłam jednak jej opór.

...Zbieram piłki. Robię to z ogromnym zapalem; od rana do wieczora uwijam się po korcie i z każdym dniem staję się szybsza. Jednocześnie przypatruję się grze starszych tenisistów. A grywały wówczas na kortach AZS rakiety tej miary, co Szwede, dr Potuczek, Zachar. Nazwiska te ściśle wiążą się z historią naszego tenisa.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy w życiu wzięłam raketę do ręki. Wiem tylko, że było to w przerwie między spotkaniami starszych. Odbiłam piłkę prawdziwą raketą, taką piękną raketą z wypolerowaną rączką i brzęczącymi strunami. Piłka frunęła leciutko na drugą stronę kortu. Uczyniła ledwie dostrzegalny kozioł i chłopak stojący naprzeciw mnie nie mógł już jej dosięgnąć. Zdażyłam wykonać jeszcze kilka ruchów i nawet nie zauważyłam, że gromadka starszych tenisistów stanęła wokół placu i przyglądała mi się z zainteresowaniem. Któryś z nich powiedział:

— Brawo, Jadzia!

Od tej pory każdą wolną od zbierania piłek chwilę wykorzystuję na grę z kolegami. Cieszę się z każdego udanego odbicia, staram się, aby piłki spadały w upatrzone miejsca. Niestety, są to bardzo krótkie chwile — po prostu kradzione.

Dziś jeszcze tęsknię za tymi pierwszymi wzruszeniami na korcie, za tą grą, którą można by nazwać „grą ukradkiem”. Dawała mi wtedy tyle radości. Równocześnie zaś dojrzywało skryte marzenie o prawdziwym tenisie. Niestety, aby grać, trzeba by kupić sobie bardzo drogą raketę, trzeba by wiele pieniędzy płacić za wynajęcie placu i piłek...

I tak jestem w szczęśliwym położeniu; moi chlebodawcy mnie lubią (bo dobrze zbieram piłki) i w drodze wyjątku pożyczają mi swoje rakiety...

— Jadziu, tylko uważaj, żeby struna nie pękła! — mówią za każdym razem.

Często zdarza się, że zawodzi czyjś partner. Wówczas podaję piłkę na raketę. Całe dnie spędzam na kortach.

Gdy miałam lat dziesięć, zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej. Nie mogłam już tyle godzin poświęcać tenisowi. Jednak szkołę pokochałam na równi ze sportem. Uczylam się zawsze pilnie, nauka przychodziła mi łatwo. W szkole poznałam wiele dzieci, były to na ogół dzieci robotników. Podczas pauz organizowałam zabawy, ścigaliśmy się na podwórzu, czasami grywaliśmy szmacianką.

Po powrocie do domu żyłka sportowa brała jednak górę — często rzucałam książki do szafy i biegłam na kort. Chciałam chociaż popatrzeć, jak inni grają. Zdarzało się nawet, że zapominałam o obiedzie i dostawałam w domu porządną burę.

Któregoś dnia ojciec przywołał mnie do siebie i powiedział:

— Wystrugałem dla ciebie raketkę z drzewa. Nie będziesz już potrzebowała pożyczać od tych tam panów.

Cóż to była za radość! Ojciec nie mógł zrobić mi większej przyjemności. Nie rozstaję się odtąd ani na chwilę z raketką; idąc spać, wkładam ją pod poduszkę, tak jak inne dziewczynki ukochaną lalkę.

W nocy przychodzi mi do głowy pomysł: zorganizuję własny klub tenisowy!

Na drugi dzień po powrocie ze szkoły zwołuję wszystkich chłopców z sąsiedztwa. Pokazuję im raketkę i zachęcam, aby wystrugali podobne. Po kilku dniach liczba drewnianych łopatek rośnie. Mobilizuję wszystkich malców z okolicy, w jednej z alei parku krakowskiego urządzamy kort — mały placzyk z wyrysowanymi liniami.

Mamy nawet jedną prawdziwą piłkę — taką sobie wyszarżałą biedulę wycofaną już z obiegu, którą łaskawie ofiarował nam jeden ze starszych graczy.

Rozgrywamy mecze, a nawet turnieje. Biję wszystkich chłopaków, ile się tylko zmieści.

— My już z tobą nie chcemy grywać — powiedział wreszcie Stasiak. — Ty jesteś dla nas za silna. Idź sobie z powrotem na kort.

Przez chwilę byłam zła, ale Stasiek miał przecież rację. Spełniłam już swe zadanie, założyłam „klub”, nauczyłam chłopaków grać w tenisa. Mam więc prawo grywać na prawdziwym korcie i rakiętą dla dorosłych.

A tę prawdziwą rakiętę otrzymałam mając lat jedenaście. Ofiarował mi ją jeden z tenisistów, który często ze mną grywał.

Gdy skończyłam dwanaście lat, byłam już dużą i silną dziewczyną. Coraz częściej wolno mi było wchodzić na kort. Grywam teraz ze starszymi. Płacą mi za to, z czego jestem zresztą niesłychanie dumna.

Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy wręczyłam matce zapracowane pieniądze.

— Niech mama weźmie — powiedziałam — zarobiłam...

Któregoś dnia małe drewniane trybunki naszych kortów uginały się od widzów. Miał się odbyć mecz międzynarodowy Kraków — Praga. Zobaczą więc nareszcie prawdziwy mecz! Będę oglądała spotkania tenisistów, którzy wydawali mi się niedoścignionym ideałem.

Tymczasem kierownik kortów mówi mi:

— Jadziu, zostałaś wyznaczona do zbierania piłek na meczu. Będziesz się musiała bardzo starać. No co, cieszysz się?

Istotnie, cieszyłam się. Uważałam, że wzięcie udziału w tej wielkiej imprezie, nawet w charakterze zbieraczki piłek, jest dla mnie wielkim wyróżnieniem.

Już dziś nie pamiętam przebiegu spotkania, nawet nie umiałabym powiedzieć, kto wygrał. Wiem tylko jedno: byłam niezmiernie przejęta, głęboko przeżywałam każde niepowodzenie i każdy sukces zawodników.

Zaimponowała mi wówczas Józefina Kowalewska — tenisistka z Warszawy, która dała pokaz ładnej gry. Postanowiłam: z niej będę brała przykład.

Mam już lat dwanaście. Zbliża się wiosna 1924 roku. Nie mogę doczekać się początku sezonu tenisowego. Czuję w sobie wiele sił i energii. Nie mogę już wysiedzieć w domu. Natychmiast po powrocie ze szkoły biegam po parku, skaczę przez płoty, ba... wdrapuję się na wysokie drzewa. Ach, jakaż to była przyjemność, gdy któryś z chłopaków nie mógł dosięgnąć wierzchołka, na który udało mi się wdrapać. Często wracałam do domu w podartej sukience. Matka załamywała ręce:

— Oj, Jadziu, Jadziu — co z ciebie wyrośnie?

Na szczęście w mojej obronie stawał zawsze pocciwy ojciec. Burza jakoś mijała bez piorunów.

Nareszcie na kortach zaczął się ruch. Trzeba je po mionej zimie doprowadzić do porządku. Pomagam z całym zapalem robotnikom. Wyrównujemy dziury, walcujemy wspólnymi siłami — byle prędzej stanąć na korcie!

Wreszcie place już są gotowe, a ludzi przychodzi jeszcze niewiele. Korty są więc często wolne i otrzymuję zezwolenie na korzystanie z nich. Gdy po raz pierwszy wzięłam rakiętę do ręki, zirykowałam się bardzo. Ja swoje — a piłka swoje; uciekała mi ciągle w sąsiednie krzewy i traciłam wiele czasu na szukanie jej. Mam już jednak dość doświadczenia, by wiedzieć, że początki sezonu są rokrocznie bardzo trudne i wiele trzeba pracy, aby odzyskać siłę i celność uderzenia.

Dnie stają się dłuższe i pogodniejsze. W klubie bywa coraz więcej tenisistów, a ja gram już znacznie pewniej. Czasami wydaje mi się nawet, że dużo lepiej od wielu starszych i doświadczonych graczy. A jednak... Często czuję na sobie wzgardliwy i zawistny wzrok, który zdaje się mówić: „Co ta dziewczyna od podnoszenia piłek robi na korcie?... Dlaczego zabiera innym miejsce? Dlaczego kręci się tu, pośród ludzi z innego świata!?”

Po raz pierwszy w życiu poczułam się intruzem. Na kortach AZS królowały wówczas dwie czołowe tenisistki — Dubieńska i Boniecka. Damy te zajmowały pierwsze miejsca zarówno w grze, jak i w tak zwanych stosunkach towarzyskich. Często wydawało mi się, że chciałyby mnie utopić w łyżce wody. Kiedy pozwalano mi grywać na korcie, czyniły bardzo zgorzone miny.

Dubieńska i Boniecka reprezentowały wówczas dość wysoką klasę tenisową, grywały dużo i zawiście. Gdyby chciały trenować ze mną, skorzystałabym wiele dzięki ich długoletniemu doświadczeniu i dużej znajomości techniki. A im także taki trening by się przydał, gdyż miałam wyjątkowo silne uderzenie. Byłam przekonana, że gdybym poprosiła Dubieńską lub Boniecką o trening — spotkałabym się z odmową. Kto wie, czy nie usłyszałabym wręcz, że nie grywają z „dziewczyną od podnoszenia piłek”...

Widzę już wtedy, że szybko robię znaczne postępy, wierzę, że mam talent tenisowy. Mam wielkie ambicje

i wiem, że nadejdzie dzień, kiedy zaczną odnosić zwycięstwa. Rozumiem, że wie o tym również kierownictwo klubu obliczające w myśli punkty, jakie będę zdobywać w przyszłości dla AZS.

Ale równocześnie wiem, że tenisowe snoby nigdy nie zgodzą się, abym została członkinią klubu. Prawdziwy sport bynajmniej nie interesuje tych ludzi, których większość stanowią osobnicy grywający w tenisa po prostu po to, aby zabić czas. Mają tyle pieniędzy, że nie wiedzą, co z nimi robić. Oczywiście nie ma mowy, aby któryś z tych „sportowców od siedmiu boleści” pracą zarabiał na życie.

Prędko zrozumiałam, że ci ludzie mnie nie cierpią, że irytuje ich moja obecność w „towarzystwie”, że ze zgorznięciem patrzą na moje skromne sukienki, na moje rozwichrzone włosy, których jeszcze nigdy nie cesał fryzjer.

Ale właśnie w tym czasie dowiaduję się, że ma się wkrótce odbyć posiedzenie zarządu AZS, na którym zostanie postawiona moja kandydatura. Długo w nocy przewracam się z boku na bok i nie mogę usnąć. Rozmyślam, co będzie, jeśli mnie nie przyjmą do klubu? Wyrzucą z całą pewnością i nie pozwolą nawet piłek zbierać. A byłam już tak rozkochana w tenisie, że nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego podnoszenie piłek ma być hańbiącym zajęciem. Wszak jest to taka sama praca, jak każda inna. Przecież nie robię tego dla przyjemności. Pieniądzy, które zarabiam uczciwie, nie wydaję na cukierniki, lecz oddaję rodzinie.

Z perspektywy lat zdaję sobie sprawę, że osobami, które zaczęły się mną opiekować, kierował snobizm. Był to zapewne snobizm tak zwanych „mecenasów sportu”, którzy chcieli zdobyć rozgłos, ponieważ „odkryli” zdolną tenisistkę. Na drodze mego życia spotykałam jednak również ludzi uczciwych, kierujących się niekłamną miłością do sportu. Dzięki nim mogłam zostać tenisistką. O pomocy ze strony państwa nie było wtedy mowy.

...Nadszedł ów pamiętny dzień, w którym odbywało się posiedzenie zarządu. Siedzę w domu. Denerwuję się bardzo. Wreszcie słyszę pukanie do drzwi. Serce mocniej zabiło, nie mogłam nawet wymówić „dobry wieczór”. Stoję więc jak wryta i patrzę na przybysza, a był to,

o ile sobie dobrze przypominam, jeden z moich przyjaciół, znany tenisista, Zachar. Spostrzegam uśmiech na jego twarzy. Rozumiem, że przynosi dobrą wiadomość.

— Jadziu! Zwyciężyłaś! Zostałaś członkinią klubu AZS.

Lzy stanęły mi w oczach, rzuciłam się na szyję naszemu gościowi.

Jak mi później opowiadano, zebranie zarządu było bardzo burzliwe. Jedna z dam powiedziała na zakończenie obrażonym tonem:

— Jadzia została członkinią klubu, ponieważ przegłosowano nas, lecz ja kategorycznie oświadczam, że nigdy nie będę grywała z dziewczyną od podnoszenia piłek.

*Choroba matki • Opinia Burianka o moim forhendzie • Postanowiłam zostać... mistrzynią Polski*

Tak więc mając lat trzynaście zostałam członkinią klubu. Zdawało się, że życie stoi przede mną otworem i że nie ma na świecie przeszkody, której bym nie mogła przezwyciężyć. Teraz będę mogła grywać w tenisa do woli! Wkrótce jednak stało się coś, co mogło pokrzyżować wszystkie moje plany i marzenia.

Była niedziela. Z wieży Mariackiej dolatywały ostatnie tony hejnału. Minęła dwunasta, matka powinna zaraz wrócić. Byliśmy w domu sami. Ojciec mimo dnia świątecznego pracował, matka poszła do miasta po zakupy. Mijały minuty, mijały kwadranse, a matka nie wracała. Zaczęliśmy się niepokoić. Z biciem serca wyglądam przez okno. Wychodzę do parku, aby spotkać matkę po drodze. Tam zatrzymują mnie dwie żywo rozprawiające kobiety:

— Abo to, proszę panienki, wydarzyło się takie nieszczęście. Na ulicy Kapucyńskiej katastrofa, dwa samochody wpadły na siebie i potoczyły się na chodnik. Jedna przechodząca kobieta zginęła na miejscu, druga została ciężko ranna.

— A jak wyglądała? Jak się nazywa? Co się z nią stało?

Nieznałome nie umięją niestety odpowiedzieć. Nie wiedzą. Niepokoję się coraz bardziej. Ogarniają mnie złe przeczucia. Wracam do domu, nic nie mówię rodzeństwu. Siadam przy oknie i milcząco wpatruję się w perspektywę alei. Godzina, która mija, wydaje mi się niezmiernie długa.

Nagle na drodze wyrasta sylwetka rowerzysty. Pędzi co sił w kierunku naszego domu. Wybiegam naprzeciw.

Człowiek zeskakuje z roweru i dopytuje się o ojca.

— Ojca nie ma w domu. A co się stało? — pytam drżącym głosem.

— Wasza matka jest w szpitalu św. Łazarza, niech ojciec zaraz tam przyjedzie.

Wiedziałam, że ojciec jeszcze nieprędko będzie w domu. Zawołałam starszą siostrę Zosię i pobiegłyśmy do szpitala, potrącając ludzi po drodze.

W szpitalu nie dopuszczono nas do matki. Powiedziano, że jest ciężko ranna. Możemy ją zobaczyć jedynie z daleka, przez małe okienko. W dużej sali dostrzegłam biedną mamę.

Na szczęście matka miała silny organizm. Po kilku dniach niebezpieczeństwo minęło, lecz chora musiała pozostać przez dwa miesiące w szpitalu.

Moje życie przewróciło się do góry nogami. Zająłam się gospodarstwem domowym. Wstawałam raniutko i szykowałam dla naszej gromadki śniadanie, później szłam do szkoły, a po powrocie natychmiast zabierałam się do przygotowania obiadu. Po obiedzie należało pozmywać i zabrać się do odrabiania lekcji. Na grę w tenisa nie starczało czasu.

Myślałam wtedy, że to już chyba koniec ze sportem. Nikt w tych trudnych chwilach mego życia nie podał mi ręki i nie przyszedł z pomocą. W klubie już zapomniano o moim istnieniu.

Po dwóch miesiącach matka wróciła ze szpitala. Już nigdy nie była zupełnie zdrowa i do końca życia kulą.

Pocziwe matczyśko zorientowało się, jak bardzo tęsknię za kortem. Gdy przybyło jej sił, starała się zajmować gospodarstwem, abym mogła choć na godzinkę wyskoczyć na korty.

Chciałam teraz jak najszybciej dojść do jakiejś takiej formy. Wiedziałam, że pozostałam daleko w tyle, a więc trenowałam z olbrzymim zapalem. Wkrótce zwyciężyłam wszystkich graczy średniej klasy. Zrozumiałam, że jeśli chcę poczynić dalsze postępy, muszę ćwiczyć z silniejszymi ode mnie. Nauczyć się czegoś nowego mogłabym jedynie od Bonieckiej i Dubieńskiej, ale one w dalszym ciągu patrzyły na mnie krzywym okiem i nie chciały ze mną grywać. Nie było więc innej rady — trenowałam z chłopcami i tym tłumaczyłam, że wyrobiłam sobie takie sil-

ne uderzenie z forhendu. Nie chciałam bowiem ustępować w niczym mężczyznom.

W owe czasy AZS zdecydował się na sprowadzenie trenerów zagranicznych. Kolejno przybywali do Krakowa Czechosłowak — Burianek i Niemiec — Erber.

Należy tu opowiedzieć o ówczesnych metodach treningu. Trenerów sprowadzono do klubów nie po to, aby prowadzili systematycznie metodyczne ćwiczenia z młodzieżą i zaawansowanymi zawodnikami. Ćwiczyli oni wyłącznie z ludźmi, którym środki finansowe pozwalały na opłacenie „profesora”. Tego rodzaju „trening” z zagranicznym „specem” był bardzo modny i należał do „dobrego tonu”.

Miałam olbrzymią ochotę zagrać z Buriankiem, lecz nikomu nawet o tym nie wspomniałam. Któż mu zapłaci za moje lekcje... W drodze wyjątku pozwolono mi jednak zagrać kilka razy z Czechosłowakiem, a koszty jego treningu ponieśli „mecenasi sportowi”, gdyż w naszym klubie twierdzono, że mam wadliwe uderzenie z forhendu i trzeba je koniecznie poprawić. Na to Burianek odpowiedział:

— Nie namawiajcie Jadzi, aby zmieniła sposób uderzenia. Jeśli ją do tego zmusicie, w ogóle przestanie bić z forhendu. Ta dziewczyna ma swoją własną indywidualność, trzeba jej pozwolić na odbijanie piłki w sposób, który jej najbardziej odpowiada. Wielu sławnych tenisistów gra nieprawidłowo, a mimo to doszli do wielkich wyników.

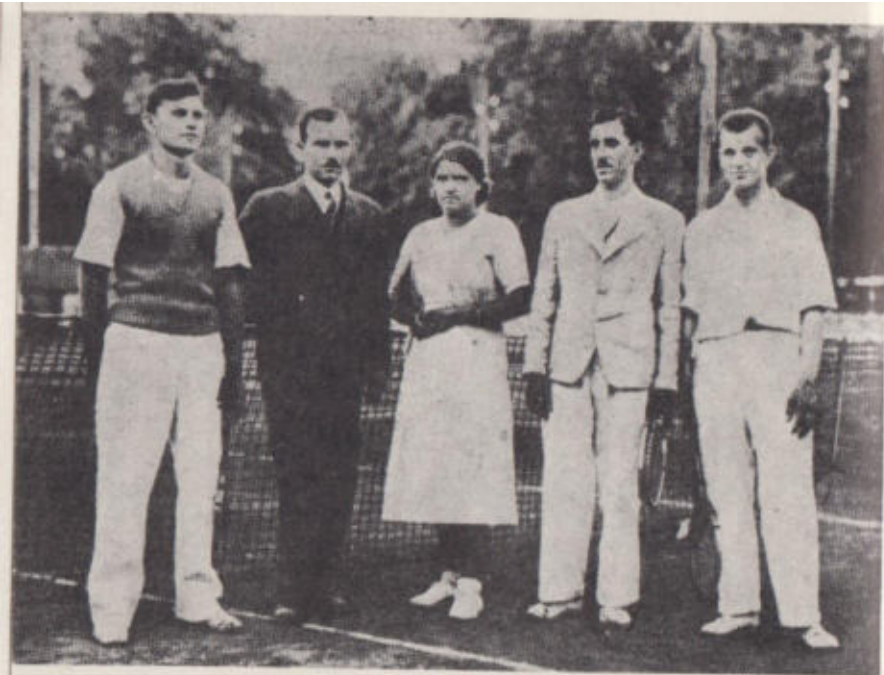
Od Burianka nauczyłam się bardzo dużo. Zrozumiałam, jak cenna jest gra z trenerem. Jaka szkoda, że nie mogłam korzystać z rad trenera wtedy, kiedy stawiałam pierwsze kroki na korcie — być może, moja gra byłaby wówczas bardziej stylowa i w przyszłości osiągałabym większe sukcesy. W każdym razie dzięki bytności Czechosłowaka poczyniłam niewątpliwe postępy, toteż któregoś dnia zawezwano mnie do sekretariatu w domku klubowym.

— Jadziu, pojedziesz do Katowic i wejdiesz w skład naszej drużyny na mecz Kraków — Katowice.

Ledwie mogłam uwierzyć własnym uszom. Czy to aby nie omyłka, czy naprawdę mam grać w Katowicach? A może będę tylko w rezerwie?...



W akcji na korcie Wimbledonu



Na korce krakowskiego AZS: Tarłowski, Malsburg, Jędrzejowska, Czyżowski, Horain



Międzynarodowe mistrzostwa Polski w Warszawie: Jan Loth (znany piłkarz i tenisista) i Jadwiga Jędrzejowska oraz para fińska Brunon i Grohenfeld

Nie potrzebuję opowiadać, jak wielkim przeżyciem stał się dla mnie wyjazd na Śląsk. Takie wyróżnienie było nie lada zaszczytem — wszak znalazłam się w drużynie tenisistów znanych w Polsce, takich jak dr Potuczek, Zachar, Konopka, Boniecka. A w Katowicach miałam zobaczyć rakietę tej miary, co Steiner i dr Foerster.

Cieszyłam się ogromnie z pierwszej dłuższej podróży koleją. Dotychczas jeździłam pociągiem tylko w okolicę Krakowa. Moi rodzice nigdzie dalej nie wyjeżdżali, a wakacje spędzaliśmy zawsze w mieście.

Nadszedł dzień wyjazdu. Od samego rana miałam wielką treść. Bałam się spóźnienia na pociąg, pierwsza przyszedłam na dworzec, a potem nie mogłam doczekać się odjazdu. Do ostatniej chwili wydawało mi się, że kierownik drużyny zmieni zdanie i każe mi pozostać w domu. Odechnęłam z ulgą, gdy wagony ruszyły.

Niestety, wspomnienia z tej mojej pierwszej podróży nie są przyjemne. Wyczuwałam wyraźnie, że przez niektórych kolegów z drużyny jestem zaledwie tolerowana, jako jakieś zło konieczne. Nie wszyscy chcieli zająć miejsce obok mnie w przedziale. Nie byłam traktowana jako koleżanka, lecz jako „zapasowa”, którą zabiera się w nadziei, że zdobędzie potrzebne do zwycięstwa punkty.

Przybyliśmy na korty Katowickiego Klubu Tenisowego. Było tu więcej placów niż u nas w Krakowie. Domek klubowy był większy i dostatniej urządzony. Jednym słowem mogłam łatwo dojść do wniosku, iż grywają tu ludzie o wiele bogatsi niż w Krakowie.

Mecz rozpoczął się jednocześnie na kilku kortach. Denerwowałam się biegając od placu do placu i śledząc przebieg spotkań. Wreszcie i mnie zawołano na boisko.

Moją przeciwniczką jest Ślązaczka Stephanówna — tenisistka już doświadczona, o wiele starsza ode mnie. Wchodząc na kort odczuwam szaloną treść. Nogi uginają się podę mną.

Usiłuję skupić się i opanować nerwy. Dostrzegam tylko Stephanównę; wszystko inne tonie we mgle. Piłka leci z ogromną siłą, widzę, jak Stephanówna daremnie stara się ją odbić. I nagle — moja trema ginie bezpowrotnie. Panuję na boisku i muszę wygrać.

Wokół kortu gromadzi się coraz więcej ciekawych, wkrótce zaś cała publiczność obsiada nasz plac. Słyszę oklaski, które jeszcze bardziej mnie podniecają.

Mecz ze Ślązacką wygrałam bez trudu. Dostałam po raz pierwszy kwiaty. Jacyś nieznani ludzie ściskali mi rękę, gratulowali. W prasie ukazała się wzmianka o mojej grze. Ktoś napisał, że zapewne wkrótce zagrozę wszystkim polskim tenisistkom. Czy ten ktoś sobie ze mnie pokpiwa, czy istotnie tak myśli?...

Do Krakowa powróciłam szczęśliwa, z wiarą w przyszłość. Zaufałam swym siłom i postanowiłam: zdobędę tytuł mistrzyni Polski!

Nie zastanawiałam się nad tym, że mam zaledwie czternaście lat i bardzo mało doświadczenia. Wierzyłam w swoje niezwykle silne uderzenia, które przychodziły mi z taką łatwością.

Nie zdawałam sobie jeszcze wówczas sprawy, ile trzeba włożyć pracy i samopoświęcenia, ilu rzeczy trzeba się wyrzec, aby dojść do perfekcji w grze tenisowej. Nie rozumiałam, że sama jedna bez należytej pomocy nie poddam się pod stałą opieką trenera, który nauczyłby mnie nie tylko mocnych, niemal „bokserskich” uderzeń z głębi kortu, lecz również ataków przy siatce, doprowadziłby do perfekcji grę wolejami, nauczyłby smeczować, a przede wszystkim dałby wskazówki, jak należy taktycznie rozgrywać mecze.

Poza tym nikt wtedy w Polsce nie rozumiał, że jeśli się chce dojść do poważnych wyników w tenisie, należy również uprawiać gimnastykę i inne sporty uzupełniające.

*Biała sukienka \* Spotykam się z Dubieńską \* Ucieczka hipnotyzera \* Nim Lubieńska została aktorką... \* Mistrzyni Polski nie może być uczennicą szkoły p. Weigla*

Moje ciche marzenia spełniły się, gdy miałam lat piętnaście (był rok 1927). Zostałam dopuszczona do mistrzostw Polski, które miały się odbyć na kortach AZS w Krakowie, a więc na terenach, które doskonale znałam. Dodawało mi to jeszcze większej otuchy i wiary we własne siły. Gdy dziś z odległości lat patrzę na ten mój pierwszy start w mistrzostwach, rozumiem, że był to nonsens. Jakże taka piętnastolatka jak ja (choćby nawet wyjątkowo uzdolniona) mogła z powodzeniem stawiać czoło rutynowanemu, dojrzałemu zawodniczkom? Nikt wówczas nie zastanawiał się jednak nad tym, że będzie to walka nierówna, wymagająca zbyt wielkiego wysiłku od młodego organizmu.

W pierwszych latach historii tenisa polskiego jeszcze nie istniała oddzielna konkurencja dla juniorów. Wprowadzono ją dopiero w wiele lat później.

Klub jednak chciał koniecznie mnie wystawić. Przypuszczano, że zdołam zdobyć punkty. Poza tym zaś przyjemnie się było pochwalić przed całą Polską, że w Krakowie wychowano zdolną tenisistkę.

Co tu zresztą dużo mówić, ja również chciałam za wszelką cenę spróbować swych sił. Ostatecznie zostało postanowione — startuję w wielkim turnieju.

I tu nowe zmartwienie. Dowiedziałam się, że warunkiem udziału w mistrzostwach jest biała bluzeczka i śnieżna spódniczka z falbankami oraz długie, białe pończochy, bowiem wyjście na kort bez pończoch uważane było wówczas

czas za wielkie wykroczenie przeciw dobrym obyczajom towarzyskim...

Co teraz pocznę? Nie miałam białej sukienki, a kupno tenisowego kostiumu było oczywiście niedoścignionym marzeniem. Wszystkie moje oszczędności poszły na kupno książek szkolnych, a odkąd przestałam zbierać piłki, nie miałam żadnych dochodów. Rodzice nie byli w stanie kupić mi sukienki. Wiele łez wylewałam po nocach przez ten przekłuty kostium.

Zawezwano mnie do sekretariatu klubu. Wybrałam się tam, ogarnięta strachem, że nie będę mogła startować.

— Jadziu, musimy ci zakomunikować ważną nowinę — usłyszałam — klub postanowił zakupić dla ciebie kostium tenisowy. Musisz to ocenić, nasz związek jest przecież biedny i mamy tylko fundusze zebrane ze składek członkowskich, więc rozumiesz... Musisz się za to postarać zagrać bardzo dobrze.

Skakałam do góry i gdybym się nie wstydziła, wdrapałabym się, jak przed kilku laty, na najwyższe drzewo w krakowskim parku.

Lecz radość trwała krótko. Gdy tylko otrzymałam kostium, ubrałam się w niego czym prędzej i poszłam pokazać się na kortach. Było tam właśnie kilka dam z „towarzystwa”. Spostrzegłam znów dobrze mi znane drwiące uśmiešky, które wyraźnie mówiły: „Cóż to za skandal, co za maskarada, tej smarkatej kupiono sukienkę za nasze pieniądze. Do reszty przewróci się jej w głowie — takiej «dziewczynie od zbierania piłek»”.

Cała moja uciecha prysła w jednej chwili. Czułam się tak upokorzona, że łzy stanęły mi w oczach.

Tymczasem nadszedł początek mistrzostw. Rano odbyło się losowanie.

I tu znów katastrofa: dowiedziałam się, że już w pierwszej kolejce mam się spotkać z Wandą Dubieńską. Poczulałam się jak na okręcie, który natknął się na minę. Wiem, że ta pani mnie nie znosi, że protestowała przeciwko przyjęciu mnie do klubu, że nadal traktuje z góry „dziewczynę od podnoszenia piłek”, córkę robotnika. Poza tym nie kryła się nigdy z tym, że uważa mnie za antytalent tenisowy. Mówiła przecież nieraz, że ze mnie nie będzie nigdy zawodniczki o wysokiej klasie i że nie warto się mną opiekować, bo każdy grosz inwestowany w moją osobę jest wyrzucany w błoto.

Oczywiście — teraz Dubieńska będzie chciała za wszelką cenę udowodnić, że miała rację, i zagra z wielką ambicją. A ja przecież nie znam jej sposobu gry.

Wchodzę na kort z mocnym mimo wszystko postanowieniem zwycięstwa. Wkładam w moje uderzenia cały zapal piętnastoletniej dziewczyny. Już nie uderzam piłek, lecz walę w nie z całej siły. Dziwię się, że Dubieńska wszystkie te „strzały” precyzyjnie odbija. Stoi w głębi kortu i bez trudu odpiera ataki. Nadaremnie szukam jakiejś luki na korcie. Moja partnerka znajduje się zawsze na stanowisku.

Byłam wówczas jeszcze zbyt głupia i niedoświadczona, aby obmyślić jakiś plan i taktykę gry. Nie przyszło mi na myśl, aby wywabić przeciwniczkę do siatki, a potem mijać lub lobować. Tracę coraz bardziej głowę, brak mi tchu. Przegrywam pierwszego seta 1:6. Spostrzegam na twarzy mojej partnerki złośliwy uśmieszek, uśmieszek, który tak dobrze znam.

A muszę tu przypomnieć, że w owych czasach wszystkie kobiety grywały wyłącznie z głębi kortu, jakieś wybieczki do siatki były po prostu niewybaczalnymi odchyleniami od przyjętych zasad.

W drugim secie jestem kompletnie załamana. Teraz zrozumiałam, że źle rozłożyłam siły, „wystrzelałam” się na początku i jestem bezbronna. Nogi stają się ołowiane. Z coraz większym trudem poruszam się po korcie. Set jest już tylko formalnością, przegrywam go na sucho.

Schodziłam z boiska nie mogąc powstrzymać łez, które cisnęły mi się do oczu. Tak, nic ze mnie nie będzie, Dubieńska miała rację; ona jedna poznała się na mnie.

To był zawód, który może przeżyć tylko piętnastoletnia, niedoświadczona dziewczyna.

Szkoda, że nikt z moich opiekunów nie umiał mi wówczas wytłumaczyć, że taka smarkata jak ja musiała gładko ulec rutynowanej rywalce.

Rozczarowanie wzmogło się jeszcze bardziej, gdy w drugiej turze zostałam wyeliminowana z gier mieszanych. Przyszło mi do głowy, że teraz z całą pewnością odbiorą mi białą sukienkę, i byłam gotowa oddać ją bez żalu.

Pozostała jeszcze ostatnia szansa: startowałam w grze podwójnej kobiet i wraz z Godlewską doszłam do finału. W tym decydującym meczu stanęłyśmy naprzeciw tak

groźnej i bardzo zgranej parze, jaką stanowiły łodzianki — siostry Richterówny. Jedna z nich — Wera — była wówczas mistrzynią Polski.

Wyszłam na kort z wielką wolą rehabilitacji. „Muszę dać z siebie wszystko” — powtarzałam sobie co chwila. Niestety moje wysiłki szły na marne, pierwszego seta przegrałyśmy.

Na początku drugiego zaczęłam zastanawiać się nad przyczynami naszych niepowodzeń. Nagle błysnęła mi szczęśliwa myśl. Krzyknęłam do partnerki:

— Stań przy siatce i odbijaj tylko te piłki, które będą leciały w twoją stronę! Nie cofaj się. Zostaw mi wszystkie, które padają głębiej.

Jestem teraz zupełnie sama na końcu placu i biegam od jednego do drugiego rogu. Złapałam „drugi oddech”, czuję się coraz lepiej. Pamiętam zawsze o tym, aby piłkę odesłać tam, gdzie stoi słabsza Richterówna. Wygrywamy drugiego seta, zwyciężamy w trzecim. Zrozumiałam wtedy, że można odnosić sukcesy dzięki dobrej taktyce.

Po raz pierwszy zostałam więc mistrzynią Polski — wprawdzie tylko w grze podwójnej. Zwycięstwo to niesłuchanie podnosi mnie na duchu po porażkach w singlu i mikscie.

W nagrodę otrzymałam złoty zegarek, z którego byłam niezmiernie dumna. Gdy przyniosłam go do domu, rodzice nie byli zbyt zadowoleni:

— Oj, Jadziu, po co ci ten zegarek? W głowie ci się przewróci i nic z ciebie dobrego nie wyrośnie. Już czas, abyś się zabrała do jakiejś solidnej pracy. Lepiej byś rzuciła ten tenis.

Zrobiło mi się przykro. Wiedziałam jednak, że tenisa już nigdy nie porzucę. Stał się moim żywiołem. Słowa rodziców wzięłam jednak głęboko do serca i postanowiłam, że jedyną odpowiedzią będzie jeszcze większy wysiłek w szkole, którą chciałam skończyć, aby potem uczciwie pracować.

Gdy dziś przypominam sobie pierwsze w moim życiu mistrzostwa Polski, muszę wspomnieć, w jak ciężkich warunkach grywało się wówczas w tenisa. Nie było nowoczesnych kortów *en tout cas*. Place były ziemne i piłka odbijała się na nich bardzo wolno. Często trzeba było przerywać mecze i łątać dziury w korcie. Gra na ta-

kich terenach stanowiła swego rodzaju sztukę i często groziła upadkiem.

Niedługo po zakończeniu krakowskiego turnieju, klub delegował mnie na zawody do Krosna. Wygrałam tam finał ze Stokerówną w dość oryginalnym stosunku 6:0, 0:6 i 6:0. Otrzymałam jako nagrodę neser, z którym od tej pory nigdy się nie rozstawałam. I choć w następnych latach otrzymywałam za zwycięstwa niejedną nagrodę, ten pierwszy krośnieński neser był dla mnie zawsze najdroższy.

Na jesieni zostałam zaproszona na turniej do Zakopanego. Było to dla mnie przeżycie nie mniejsze niż udział w mistrzostwach Polski. Po raz pierwszy miałam zobaczyć góry.

Po drodze zatrzymaliśmy się w Rabce. Pamiętam, że na podwieczorek gospodarze poczęstowali nas ciastkami, których mogłam zjeść, ile chciałam. Zawsze bardzo lubiłam słodczyce, a tak rzadko mogłam je jeść.

Jeden wypadek z pobytu w Rabce był bardzo zabawny i rzucał światło na głupotę i zabobonność naszych „dam z towarzystwa”.

Wieczorem zaproszono nas do Domu Zdrojowego, gdzie występował pewien magik — hipnotyzer. Proponował on publiczności, że będzie wprowadzał w trans wszystkich chętnych, a w nagrodę spełniał się ich najbardziej skryte życzenia. Jedna z naszych koleżanek — Szeraucówna — zgodziła się uczestniczyć w tym seansie.

Usiadła na scenie, magik „zahipnotyzował” ją i zapytał:

— Jakie jest twoje największe pragnienie?...

— Chciałabym jutro wygrać z Boniecką...

Już nie pamiętam dalszego ciągu seansu, natomiast widzę przed oczami to, co się działo następnego dnia.

Stremowana Szeraucówna, która była słabsza od Bonieckiej, wchodzi na kort. Nikt z nas nie wątpił w łatwe zwycięstwo Bonieckiej, tymczasem zaś dzieje się rzecz niespodziewana. Szeraucówna wygrywa pierwszego gema, gra bardzo dobrze i wkrótce prowadzi już 4:0. W tym momencie wśród widzów zjawiał się hipnotyzer. Spozstrzegła go Boniecka. W jednej chwili rzuciła się w jego stronę z podniesioną do góry rakieta. Magik zaczął uciekać, co sił starczy, Boniecka ruszyła za nim w pogoń.

Wkrótce para ta wśród ogólnego śmiechu znikła za ogrodzeniem kortu.

Jak mi później opowiadano, rozwścieczona tenisistka gonila hipnotyzera aż do lasu, w którym ten się ukrył. Tymczasem sędzia zdyskwalifikował Boniecką za samowolne opuszczenie boiska i przyznał zwycięstwo Szerawównie.

Z Rabki pojechaliśmy w dalszą drogę do Zakopanego. Tam znów spotkałam się z Dubieńską. Grałam już nieco lepiej niż w Krakowie, lecz uległam w stosunku 3:6, 2:6. I tym razem starsza rywalka zwyciężyła mnie dzięki silniejszym nerwom i doświadczeniu. Grała na tak zwany przerzut, wybijając mnie z uderzenia.

Po zakończeniu turnieju brałam udział w wycieczce do Morskiego Oka. Nigdy nie przypuszczałam, że nasze góry są takie cudowne!

Nadchodzi jesień. Na kort spada coraz więcej pożółkłych liści. Wiatr hula i znosi piłki z boiska. Gra z każdym dniem staje się trudniejsza. Zbliża się zima i trzeba będzie pożegnać się z kortami. Moi partnerzy zapomną o mnie i niewiele ich wtedy będzie obchodziło, co ja porabiam, czy dobrze się uczę, czy nie jestem głodna, czy mam się w co ubrać.

Jest mi coraz smutniej, nie pociąga mnie nawet ślizgawka, na której zbiera się cała młodzież. Myśląc dziś o tamtych latach, mam cichy żal do ludzi, którzy traktowali mnie tylko jako tenisistkę i nie pomyśleli o tym, abym mogła uprawiać inne sporty. Gdyby moi klubowi opiekunowie wytłumaczyli mi, że zimowe sporty pomagają w udoskonaleniu gry i sprawności fizycznej, na pewno zaczęłabym je z zapałem praktykować. A tak... muszę przyznać się ze wstydem, że do dziś nie umiem nawet pływać...

Przy okazji wspomnę, że w naszym parku znajdowała się również letnia pływalnia. Była ona swego czasu jakby „drugim domem” świetnej aktorki Karoliny Lubieńskiej, która również urodziła się w jednym z domków położonych w krakowskim parku. Ja, jak wspomniałam, urodziłam się niemal na korce, a Karolina... na pływalni.

Po wojnie wspominałyśmy kiedyś z Karoliną krakowskie czasy. Opowiedziała mi o jednej ze swych pływackich przygód, które zapamiętałam i postaram się teraz powtórzyć.

...Silny wiatr kołysał fale Zatoki Puckiej. Mimo pełnego lata, działało się to w pierwszych dniach sierpnia, dzień był bardzo zimny. Termometr wskazywał zaledwie 14 stopni. Już samo wejście do wody było bohaterstwem. Na sygnał startera kilkadziesiąt osób rzuciło się w burzliwe wody. Rozpoczął się wyścig pływacki Hel — Gdynia.

Karolinę ogarnęły chłodne fale, naokoło widziała dziesiątki głów swych rywali, kołysane gwałtownie przez coraz natarczywiej atakujące białe, spienione grzywy.

Lubieńska miała za sobą dobry trening i niejedną już start w pływalni krakowskiej, kiedy zwabiona wieścią o wyścigu Hel — Gdynia zgłosiła się do organizatorów. Jeden z nich, potężnie zbudowany, spojrzał z wysokości swych 190 cm i zapytał z niedowierzaniem:

— Panienska chce startować? Takie chucherko?... To nie żarty. Wyścig jest diabelnie ciężki, kilkanaście kilometrów trasy, a woda dzisiaj jak lód.

— Mimo to popłynę — odpowiedziała Karolina stanowczo. — A poza tym nie jestem żadne chucherko... Ważę 49 kilo.

Organizator — olbrzym zaśmiał się ironicznie:

— Nie jestem niańką do dzieci. Panienska chce płynąć, proszę bardzo. Ja z wody nie będę wyciągać.

Wraz z innymi zawodnikami stanęła na starcie. Eskortował ich kuter rybacki, nadto płynęło kilka łodzi z zapasami żywności. Regulamin wyścigu był bardzo surowy. Gdy chciało się otrzymać posiłek, nie wolno było nawet ręką dotknąć burty łodzi. Pili w rezultacie kawę ze słoną wodą morską, a mokre kanapki były obrzydliwe. Nie było na to rady, po kilku godzinach doskwierał głód.

Po dwóch kilometrach z gromady zawodników zostały w lodowatej wodzie zaledwie trzy osoby. Płynęła dalej jakaś młoda dziewczyna, 18-letni chłopak i przyszła aktorka.

Jeden z pierwszych odpadł ów gruby organizator, który nie chciał się zgodzić na udział Karoliny w zawodach. Mimo solidnego podkładu tłuszczu, nie wytrzymał zimna i kołysania fal. Lubieńska zaś wraz ze swoimi 49 kilogramami płynęła dalej. To był jej pierwszy prawdziwy sukces sportowy. Ale potem fale podniosły się jeszcze bardziej i temperatura spadła. Cała trójka trzęsła się z zimna.

— Wyłazcie z wody — błagali z kutra organizatorzy.

— Za żadne skarby — odpowiadali zgodnym chórem.

Dopiero na prośby i groźby organizatorów dali słowo honoru, że jeśli jedno z nich poczuje się źle, wszyscy solidarnie zrezygnują z dalszej walki. Rzeczywiście, płynąć dalej byłoby istnym szaleństwem. Razem wyszli z wody, opatulono ich kocami. Jazda do Gdyni odbyła się, niestety, nie o własnych siłach, lecz na pokładzie kutra.

Do brzegu pozostawało zaledwie trzy kilometry, a z Helu przepłynęli dwanaście. Karolina dostała dyplom, i tak się skończył jej udział w wyścigu Hel — Gdynia. W każdym razie wyszła z wody niepokonana przez nikogo.

— Do dziś jestem dumna z tego wyczynu — zakończyła swe opowiadanie Karolina.

Karolina Lubieńska nie zaprzestała uprawiania sportów, podobnie jak i ja. We wrześniu 1953 roku dokonała nie lada wyczynu, gdyż przy temperaturze wody, wynoszącej 11 stopni, przepłynęła tam i z powrotem Morskie Oko. O ile się nie mylę, podobnego wyczynu nie dokonała przedtem żadna kobieta. Prócz pływania kochała narciarstwo.

Odbiegałam daleko od wspomnień o naszych krakowskich kortach, a tymczasem śnieg już pokrył je dość grubą powłoką. Zapominam o tenisie i uczę się teraz chętnie i dużo. Uczęszczam do szkoły ekonomiczno-handlowej.

Pewnego dnia dyrektor szkoły, Weigel, wezwał mnie do kancelarii. Czułam przez skórę, że czeka mnie jakaś przykra rozmowa. Zapukałam nieśmiało. Dyrektor kazał mi wejść i szczelnie zamknąć drzwi. Minę miał bardzo srogą. Przez chwilę wydawało mi się, że znajduję się na korcie i zaczynam poważny mecz, który za wszelką cenę muszę wygrać.

Dyrektor chrząknął i od razu przystąpił do ataku:

— Uczennice z mojej szkoły nie mogą należeć do klubów sportowych. Ja żadnych sportsmenów nie mam zamiaru u siebie tolerować. To wielki wstyd dla naszej szkoły! Proszę natychmiast opuścić te mury i więcej nie pokazywać się w klasie!

To było jak uderzenie obuchem w głowę. Zaniemówiłam — bo cóż miałam na swe usprawiedliwienie? Wiedziałam, że dyrektor postępuje w myśl przepisów. Dygnęłam przed nim i opuściłam kancelarię. Dyrektor przy-

brał minę człowieka, który zdemaskował groźnego przestępcę.

Idę do klasy, zbieram książki i zeszyty, żegnam się z koleżankami, które nie mogą pojąć, co się stało. Wracam do domu wolnym krokiem i rozmyślam: „Czyż mam zrezygnować, czy ten mecz jest ostatecznie przegrany?” Gra w tenisa zdążyła mnie już nauczyć nieustępliwości i odporności wobec przeciwności. Postanowiłam walczyć do ostatka. Tak łatwo nie poddam się!

Oczywiście w domu miałam nieprzyjemność. Matka na wiadomość o wyrzuceniu mnie ze szkoły zaczęła płakać.

— Widzisz, Jadziu, miałam rację. Zawsze mówiłam, że z tego tenisa nic dobrego nie wyjdzie.

— Niech mama nie płacze, jeszcze wszystko dobrze się skończy. Zobaczysz mama, że powrócę do szkoły — pocieszałam ją jak mogłam.

Usiadłam do stołu. Zredagowałam długi list, który wysłałam do Warszawy do Polskiego Związku Tenisowego z prośbą o interwencję u władz oświatowych.

Czekałam na odpowiedź przez wiele tygodni, do szkoły nie chodziłam i marnowałam czas. Wreszcie otrzymałam decyzję przychylną. Ministerstwo zdecydowało się uczynić dla mnie wyjątek.

Bodaj był to istotnie jedyny wyjątek, ministerstwo bowiem stało na straży przepisów: żaden z uczniów nie mógł należeć do klubu sportowego. W ten sposób ówczesne władze oświatowe właściwie wypowiedziały otwartą wojnę powszechnemu wychowaniu fizycznemu. Wielu uczniów, którzy nie chcieli wyrzec się sportów, przybierało w klubach pseudonimy. Tak na przykład znałam kilku bokserów, którzy walczyli pod pseudonimami, a więc „Teddy” (Pietrzykowski) czy Kajnar (Cyranik) i wielu innych.

Pan dyrektor Weigel powitał mnie z bardzo kwaśną miną, lecz nie mógł sprzeciwić się decyzji ministerstwa.

Wspomnę tu jeszcze, że po ukończeniu czteroletniej szkoły podstawowej starałam się o przyjęcie do gimnazjum urszulanek. Niestety, nauka w tym zakładzie kosztowała zbyt drogo. Przez dłuższy czas ubiegałam się o uzyskanie ulg w opłatach, lecz kierownictwo szkoły kategorycznie mi odmówiło.

*Nowa porażka z Dubieńską \* Dlaczego przegrywaliśmy w meczach o Puchar Davisa? \* Tajemnica Nurmiego \* Wyrównując porachunki z Dubieńską*

Rozpoczyna się sezon 1928 roku. Mam już szesnaście lat. Wydaje mi się, że jestem dorosłą kobietą. Jak co roku, pracuję wraz z robotnikami przy porządkowaniu kortów. Czuje się między nimi doskonale.

— Kiedy panna Jadzia da tym damom łupnia?... — pytają mnie z uśmiechem.

— Już ja im dam, bądźcie spokojni, przyjdzie czas i na mnie — odpowiadam wesoło i jestem bardzo szczęśliwa, że to oni właśnie życzą mi sukcesów.

Istotnie, po tym sezonie obiecuję sobie wiele i skrycie marzę o wywalczeniu tytułu mistrzyni Polski. Wiem, że nie będzie to sprawa łatwa, gdyż coraz trudniej przychodzi mi zdobywanie odpowiednich partnerów do gry. Trenując ze słabszymi przeciwnikami nie przynosi korzyści; raczej wręcz przeciwnie — wybija z uderzenia, które staje się zbyt miękkie. A nasze „gwiazdy” klubowe, o których już tyle razy wspominałam, ciągle boczą się na mnie. Chciałyby, być może, trenować ze mną, lecz im „nie wypada”. Grywam tylko z mężczyznami i marzę o trenerze, którego w klubie nie ma. Zdaję sobie sprawę z licznych błędów i niedociągnięć, jakie popełniam, lecz nikt nie koryguje moich omyłek i nikt nie udziela wskazówek.

Na szczęście mam młodych przyjaciół, nieodstępnych adoratorów, Stacha i Zygmunta. Grywam z nimi na zmianę całymi godzinami, a w wolnych chwilach studiuje książkę o tenisie sławnego Francuza Lacoste’a. Według

jego wskazówek próbuję ustawić sobie serwis i inne uderzenia.

Już na wiosnę AZS organizuje turniej, w którym startuję, a nieco później biorę udział w rewanżowym meczu Kraków — Katowice. Wygrywam moje punkty.

W czasie turnieju krakowskiego przeżywam nowe rozczarowanie, gdyż znowu pokonuje mnie Dubieńska. Ulegam po bardzo zażartej walce 6:8, 6:8.

Zaczynam bardzo starannie i systematycznie przygotowywać się do mistrzostw Polski, mających odbyć się w lecie w Katowicach. Na treningi poświęcam wiele czasu. Uczę się po nocach.

Z Warszawy nadeszły wtedy niepomysłne wiadomości o niepowodzeniu naszych tenisistów, którzy rozegrali mecz o Puchar Davisa z Danią i ulegli 0:5. Barw Polskich bronili Maks Stolarow i Warmiński. Na tej imprezie było zaledwie 500 widzów, co świadczy o tym, jak małym zainteresowaniem cieszył się wówczas tenis.

Przy okazji wspomnę, że pierwszy mecz o Puchar Davisa rozegrała Polska z Anglią w 1925 roku. Przegraliśmy 0:5, nie zdobywając ani jednego seta. Nawet stosunek gemów był dla nas katastrofalny, gdyż wynosił 15:90! Naszych barw bronili w singlu Kuchar i Steinert, a w deblu Foerster i Szwede.

W 1926 roku Polska spotkała ponownie drużynę Anglii w Harrowgate i przegrała 0:5. Stosunek gemów był już nieco lepszy, 46:96. W naszej drużynie grali Czetwertyński, Kleinadel i Steinert.

Zastanawiałam się, dlaczego jesteśmy tacy słabi. Tenis był niewątpliwie sportem niezwykle ekskluzywnym. Wtedy jeszcze na korty nie dopuszczano młodych, zdrowych i silnych chłopców ze sfer robotniczych. Zabroniono uczniom należenia do klubów. Brakowało sprzętu, który był niedostępny dla biedniejszych. Ja stanowiłam bodaj jedyny wyjątek i zażarcie musiałam walczyć, aby przełamać zapory snobizmu, samolubstwa i przesądów tak zwanych „wyższych sfer”.

Tenis nie był sportem dla mas i dlatego nie posiadał żadnych rezerw. Grywali w kółko ci sami bogaci ludzie, którzy mieli wiele czasu i pieniędzy. W dzień bawili się na korcie, a wieczorami grywali w domku klubowym w brydża lub pokera. Związek nie troszczył się o sprowadzenie trenera, który by się zajął przygotowaniem kadr,

a jeśli był jakiś instruktor, to jak wspominałam, opłaca-ny prywatnie.

Być może w PZT znaleźliby się rozsądni ludzie, którzy zdawaliby sobie sprawę z popełnianych błędów i rozumieli potrzebę sprowadzenia trenera, lecz byli oni mniej-szością, a nadto — co najważniejsze — Związek nie po-siadał odpowiednich funduszy. Trenerzy zagraniczni starali się wyzyskać koniunkturę i żądali za przyjazd do Polski bardzo wygórowanych honorariów.

Taka była sytuacja w tenisie w czasie, kiedy rozpoczy-nały się mistrzostwa Polski w Katowicach. Na Śląsk zje-chali się najlepsi tenisiści z całej Polski: z Poznania, Ło-dzi, Warszawy, Krakowa i innych większych ośrodków.

Do półfinału dość łatwo wywalczyłam sobie drogę i spotykam się z łodzianką Wera Richterówną, którą uważano za faworytkę turnieju. Nic dziwnego, Richte-równa od roku 1924 była „żelazną” mistrzynią Polski i dzierżyła ten tytuł od trzech lat. Była to zamożna oso-ba, która często jeździła za granicę i trenowała z dobry-mi instruktorami. Richterówna dobrze serwowała, często podchodziła do siatki grając na półkorcie. Tego rodzaju system był na naszych kortach bardzo rzadko stosowany.

Nikt w Katowicach nie wątpił, że Richterówna rozpra-wi się ze mną, chodziło tylko o to, w jakim stosunku i czy potrafię choć w jednym secie nawiązać równorzęd-ną walkę.

Jednak bynajmniej nie zamierzałam ustąpić z placu boju. Kilka razy uważnie obserwowałam grę Wery i zau-ważyłam, że lubi ona ostrą wymianę piłek, a więc grę, która mi odpowiadała. Poza tym byłam młodsza, miałam dużo zapału i silną wolę zwycięstwa, a moje piłki były szybsze. Ano spróbujemy!

Zaczynamy grać, biję mocno, lecz Richterówna odpo-wiada niemal z równą siłą. Lubię taką grę, zapalam się i czuję się coraz lepiej. Startuję do piłek bez wysiłku i wygrywam seta 7 : 5.

W drugim secie spostrzegam, że Wera stawia wszyst-ko na jedną kartę. Wiele biega, podchodzi do siatki, przyjmuje piłki z powietrza. Wygrywa seta 6 : 4, lecz nie obawiam się o ostateczny wynik, gdyż wyczuwam, że Richterówna dała już z siebie wszystko i musi osłabnąć w trzecim secie. A zatem nadeszła chwila mojego ataku. Zaczynam plasować piłki po rogach. Łodzianka początko-

wo trzyma się dzielnie, lecz widzę, że słabnie coraz bar-dziej. Wygrywam 6 : 4 kwalifikując się do finału, w któ-rym zagram z Dubieńską.

Po raz pierwszy w życiu jestem w finale. Niestety, mu-szę grać znów z Dubieńską, do której nie czuję sympatii. Walczę do ostatniego tchu, lecz przegrywam 6 : 8, 4 : 6. I o dziwo, nie płaczę, nie martwię się. Wprawdzie uleg-łam, ale wiem z całą pewnością, że już nigdy w życiu nie dam się pokonać tej zawodniczce. Jeszcze raz zwy-ciężyła rutyna — ale to już po raz ostatni!

Mistrzostwa jeszcze się dla mnie nie zakończyły, do-szłam bowiem do finałów w grze mieszanej i podwójnej. W mieszanej gram z Czwertyńskim przeciw Richterów-nie i Jerzemu Stolarowowi. Więc za przeciwników mamy parę niezwykle silną i zgraną. Jerzy był w owych cza-sach znanym deblistą i mikscistą. Grał bardzo dobrze przy siatce, a serwis miał niezwykle mocny.

Pierwszego seta wygraliśmy 6 : 4, drugiego oddajemy 4 : 6. W decydującym momencie nasi przeciwnicy prowa-dzą 5 : 4 i 40 : 15, a więc brak im tylko jednej piłki do zdobycia mistrzostwa. Serwuje Stolarow w moją stronę. Mignęła mi przed oczami „bomba”, którą ledwie dostrze-głam. Ucieka mi spod rakiety. Ostatnim wysiłkiem odbi-jam z całej siły. Moja piłka trafia z wielką mocą w bocz-ny słupek podtrzymujący siatkę, przedostaje się jakimś przedziwnym kiksem na drugą stronę. Stolarow na próż-no do niej biegnie. Pierwszy meczbol został obroniony.

Teraz Stolarow podaje do Czwertyńskiego i zachodzi identyczny wypadek. Odbita piłka trafia w słupek i prze-slizguje się na drugą połowę. Wyrównujemy!

Tego rodzaju wypadek, żeby dwie kolejne piłki trafiły w słupek, nie zdarzył mi się nigdy później w czasie mo-jej bogatej kariery zawodniczej.

Zdarzenie to zupełnie załamało naszych partnerów, do-pomogło nam do wygrania seta 7 : 5 i zdobycia mistrzow-skiego tytułu.

Jeszcze tego samego dnia pozostawał mi do rozegrania finał debła kobiet. Jako partnerkę miałam Groblewską. Przeciw nam stanęła najsilniejsza para polska: Richte-równa — Dubieńska. Zdaję sobie sprawę, że będą grały z wielkim „zębem” i dołożą wszelkich starań, aby zwy-ciężyć. Istotnie, w pierwszym secie nie mamy nic do po-wiedzenia i ulegamy 2 : 6.

W dalszym ciągu nic nam się nie udaje. Zaczynam odczuwać lekkie zmęczenie po grze mieszanej, którą tak niedawno rozegrałam.

Tak się złożyło, że finał debla mężczyzn i kobiet odbywał się jednocześnie na sąsiadujących kortach. Na stadionie znajdowała się wysoka budka, z której spiker informował o stanie meczów w obu konkurencjach.

Właśnie gdy w drugim secie nasze partnerki prowadziły 3:1, doszedł mnie donośny głos spikera:

— Richterówna i Dubieńska prowadzą w drugim secie 3:1, a więc ostateczny wynik spotkania nie ulega wątpliwości.

Gdy usłyszałam te słowa, coś się we mnie obudziło.

— Jak on śmie z góry przewidywać naszą przegraną! — zawołałam do Groblewskiej. — Stawaj przy siatce, ja bronie tyłu kortu!

Atakuję bezustannie Dubieńską, nie daję jej chwili wytchnienia. Widzę, jak zaczyna tracić głowę. Zapomniałam już o zmęczeniu i wpadam w „trans zwycięstwa”. Wyrównujemy na 3:3. Coraz natarczywiej szturmujemy i wygrywamy seta 6:3!

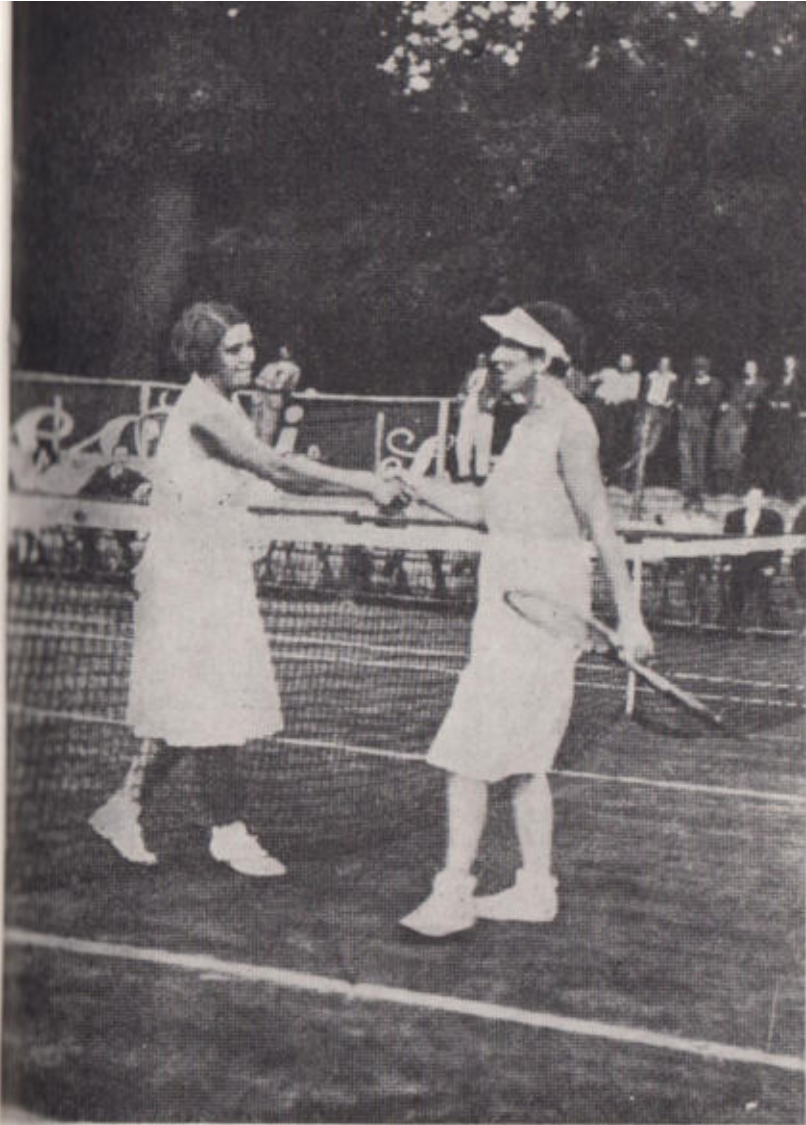
Decydująca partia staje się już tylko formalnością. Rywalki denerwują się i psują łatwe piłki. Wygrywamy seta 6:1 i mecz.

Nie mogłam doczekać się, kiedy nadejdzie prasa sportowa. Wreszcie otrzymałam Przegląd Sportowy. Pisano o mnie w ten sposób:

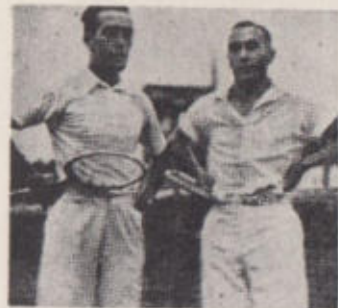
„Jadwiga Jędrzejowska stała się rewelacją tegorocznych mistrzostw. Takich drajwów chyba nikt w Polsce nie ma. A zaciętość, a talent! Dziewczyna zupełnie instynktownie wyczuwa każdą piłkę i plasuje instynktownie, wszystko u niej to wrodzone”.

Niemal z każdym tygodniem zyskuję popularność. Jestem zapraszana na turnieje w całej Polsce. Czas muszę dzielić pomiędzy szkołę a korty. Wyjeżdżam na zawody nie tylko z rakieta, lecz z książkami i zeszytami. Zdarza się, że w czasie przerw pomiędzy meczami wkuwam lub rozwiązuję zadania matematyczne. W szkole nie mam trudności, jeśli nawet opuszczę kilka dni, z łatwością doganiam koleżanki. Mam opinię zdolnej dziewczyny. W ten sposób upłynął rok 1928 i zaczął się 1929.

Na wiosnę zaproszono mnie po raz pierwszy do Warszawy na międzynarodowe mistrzostwa. Cieszę się bar-



Pierwsze wielkie zwycięstwo Jadwigi Jędrzejowskiej (1930) — wielokrotna mistrzyni Polski Wanda Dubieńska schodzi z kortu pokonana



Mistrz świata Henri Cochet  
omal nie został pokonany w  
Warszawie (1931 r.) przez Ma-  
ksa Stolarowa



Wera Richterówna, wielo-  
krotna mistrzyni Polski, w  
towarzystwie Poradowskiej

Uczestniczki międzypaństwowego meczu tenisowego Polska —  
Niemcy: Gruenberg, Redlich, Jędrzejowska (Polska), Herbst, Volk-  
merówna (Polska), Eisenmenger



dzo, że zobaczę stolicę. Turniej rozgrywano na kortach Warszawskiego Lawn Tennis Klubu, położonych bardzo pięknie w Agrykoli. Gospodarze ulokowali mnie w jednym z pensjonatów przy ulicy Kredytowej. Zapamiętałam do tej chwili ten lokal i jego kuchnię, ponieważ byłam ciągle głodna. Miałam wilczy apetyt młodej dziewczyny, a paniusia, właścicielka tego zakładu, okazała się bardzo skąpą osobką i karmiła nas jak z łaski.

Gdy po raz pierwszy zjawiłam się na kortach, patrzono na mnie w jakiś osobliwy sposób. Eleganckie damy oglądały mnie przez „lorgnony” jak dziwoląga czy cyrkówkę, która ma im dostarczyć emocji. Wydało mi się, że mówią między sobą: „Patrzcie, to jest ta dziewczyna od podnoszenia piłek, która ma takie silne uderzenie”.

WLTK był najbardziej ekskluzywnym klubem tenisowym w Polsce. Każdy kandydat na członka musiał przejść przez surowy balotaż. Wpisowe było bardzo wysokie, a składki dla wielu osób, szczególnie dla młodzieży — zupełnie niedostępne. W zasobnym tym klubie grupowali się dyplomaci, przemysłowcy, arystokracja, jednym słowem — bardzo bogaci ludzie.

Na warszawskich kortach stałam się istotnie atrakcją. Wygrałam z Poradowską 6:1, 6:3, pokonałam Szczerbą i w finale zwyciężyłam mistrzynię Finlandii Brunon 6:3, 1:6, 6:1.

Już w czasie pobytu w Warszawie dowiedziałam się, że planuje się wyprawę za granicę na mecz z reprezentacją Budapesztu. Przeżywałam chwile emocji: czy zostanie włączona do tej ekipy.

Wkrótce otrzymałam pomyślną wiadomość: wyjeżdżam na Węgry! Skaczę z radości do góry. Nie zapomnę tej chwili, kiedy po raz pierwszy znalazłam się na granicy. Urzędnik oddał mi mój paszport mówiąc:

— A to panna Jadzia, która tak dobrze gra w tenisa. Życzę pani zwycięstwa w Budapeszcie.

Na Węgrzech często myślałam o tym obcym, serdecznym człowieku i starałam się nie zawieść jego zaufania.

Nasz pociąg pędził przez Czechosłowację. Nie opuszczałam miejsca przy oknie. Z entuzjazmem młodej dziewczyny starałam się wchłonąć piękne widoki, krajobrazy górskie.

W Budapeszcie pokonałam mistrzynię Węgier Cilly Latés — 6:1, 6:2. Było to pierwsze moje zwycięstwo za

granicą. Podniosło mnie ono bardzo na duchu i dodało bodźca do dalszej pracy nad sobą.

Po powrocie do kraju startuję coraz częściej. Debiutuję w Poznaniu i w mistrzostwach tego miasta biję Boniecką 6:2, 6:2. Z Poznania jadę do Gdyni i oglądam po raz pierwszy w życiu morze. Piękne polskie morze!

W Gdyni dyrekcja hotelu „Riwiera” organizowała rocznie turnieje na swych własnych kortach. Chodziło o to, aby urozmaicić pobyt nad morzem licznym pensjonariuszom hotelu.

Z Gdyni zaproszono nas do Sopotu. Mieliśmy dostarczyć atrakcji liczным snobom z Polski, którzy jeździli tam, aby grywać w kasynie w ruletę czy baccarat. Stanowiliśmy dla klubu sopockiego „tani towar”, gdyż mieszkaliśmy w Gdyni, dokąd przysyłano po nas samochód. Organizatorzy nie potrzebowali zwracać nam kosztów podróży i innych wydatków.

W Sopocie spotkałam się z najlepszymi tenisistkami Niemiec. Pokonałam Giese, Finkenstein, Mayer. Dopiero w finale przegrałam z mistrzynią Rzeszy — doskonałą i bardzo rutynowaną zawodniczką — Reznicek.

Z Wybrzeża wróciłam do Poznania, gdyż tu odbywały się mistrzostwa Polski. Cieszę się, że wreszcie będę mogła wyrównać stare porachunki z Dubieńską.

Wylosowałam Boniecką, którą biję 6:2, 6:2, później eliminuję Orzechowską 6:0, 6:1 i dowiaduję się, że z pojedynku z Dubieńską — „nici”. Wycofała się z turnieju na skutek choroby oka. W finale bez trudu pokonałam Poradowską 6:1, 6:2, a moje porachunki z Dubieńską musiałam odłożyć na później.

Spełniły się więc marzenia — po raz pierwszy w życiu zdobyłam tytuł mistrzyni Polski w grze pojedynczej. Od tej pory nie oddają już tytułu i do roku 1953 nie tracę ani jednego seta w walkach finałowych.

Jeszcze raz wyjeżdżałam za granicę, gdy polska drużyna została zaproszona na mecz międzypaństwowy do Finlandii. Jedziemy pociągiem przez Rygę i Tallin. W Tallinie dowiaduję się, że do Helsinek lecimy samolotem. W owych czasach nie było jeszcze wielkich wygodnych maszyn pasażerskich, przelot nad Zatoką Fińską odbywał się w małym otwartym samolocie, który zabierał zaledwie czterech pasażerów.

Gdy wsiadłam do takiej awionetki i zaczęto przypinać mnie do siedzenia pasami, miałam wielką treść. Jednak pozbyłam się jej szybko, gdyż pomyślałam sobie, że bałabym się bardziej, gdybym na przykład teraz stała na korcie naprzeciw mistrzyni świata, Wills Moody.

Samolot szybko wzbił się w górę. Lot nad morzem trwał niespełna pół godziny. Spojrzałam w dół — przed oczami rozciągały się jeziora i niskie, niemal karłowate bory sosnowe.

W Helsinkach pokonałam bez większego wysiłku Hesse 6:0, 6:1. Zaraz po zakończeniu spotkania zaczęłam się dopytywać gospodarzy, czy przypadkiem wśród widzów nie znajduje się sławny Paavo Nurmi. Wspaniały biegacz, zwycięzca olimpijski, był w owe czasy najpopularniejszą postacią Finlandii. Chciałam go bardzo poznać, lecz, niestety, Nurmiego widocznie nie interesował tenis.

Nurmi miał opinię bardzo małowernego człowieka i nigdy nie udzielał wywiadów dziennikarzom. Wiele lat później opowiadano mi o przygodzie, jaką miał jeden z redaktorów francuskich, który przybył do Helsinek, aby porozmawiać ze sławnym biegaczem.

Nurmiemu powodziło się dobrze, przekroczył, jak mówiono, przepisy o amatorstwie i w ten sposób poczynił dość duże oszczędności (Nurmi został zdyskwalifikowany jako amator). Wtedy to założył w Helsinkach sklep z konfekcją męską i wybudował dwa domy.

Dziennikarz udał się do sklepu Nurmiego i tam chciał z nim nawiązać rozmowę, lecz „wielki Fin” przyjął go lodowato i nie wykrztusił ani jednego słowa.

W kilka dni później dziennikarz poznał przypadkowo pewnego architekta, który mu powiedział:

— Jeśli pan chce zrobić wywiad z Nurmim, to niech pan idzie ze mną. Paavo rozgada się z całą pewnością.

Architekt nie pomylił się, Nurmi istotnie przemówił. Długo i z ożywieniem rozmawiał o interesach, gdyż architekt miał zająć się remontem jego domów. Wielki biegacz targował się o każdy grosz... A gdy się już rozgadał, architekt zresztą skierował konwersację na tematy sportowe. Wtedy to Nurmi zdradził jedną ze swych wielkich tajemnic. Jak bowiem wiadomo, biegał on zawsze ze stoperem w rękę, aby regulować tempo.

— Stopera używałem nie tylko dla sprawdzania tempa — przyznał się Nurmi — lecz również w tym celu,

aby zastraszyć swych rywali. Przekonałem się bowiem, że ten przyrząd w moim ręku wpływał demobilizująco na konkurentów, którzy uważali, że w każdej chwili jestem zdolny do największego wysiłku i walka ze mną jest beznadziejna.

Sezon tenisowy 1929 roku miał się już ku końcowi. Na jego zakończenie Akademicki Związek Sportowy w Krakowie zorganizował turniej wewnętrzny. Były to zawody mieszane, w których urządzono tylko jedną wspólną konkurencję dla kobiet i mężczyzn. Przypadło mi w udziale walczenie z dobrym graczem Horainem. Po zażartej wymianie piłek wygrałam pierwszego seta. Gracmy drugiego. Horain nagle skrócił piłkę, która spadła przy samej siatce. Biegnę do niej i raptem czuję, że noga grzęźnie mi w miękkim korcie. Chwyta mnie przejmujący ból. Upadam na ziemię. Nie jestem w stanie podnieść się o własnych siłach. Koledzy znieśli mnie z kortu. Noga puchła w oczach. Trzeba było natychmiast zawezwać pogotowie. Lekarz stwierdził złamanie kości w stopie. Odwożą mnie do szpitala i tam pozostaję przez kilka tygodni.

Przeżywam ciężkie chwile, rozmyślam ciągle nad tym, że noga może się źle zrosnąć, będę kulała i na zawsze pożegnana się z tenisem. Na szczęście lekarze pocieszają mnie i zapewniają, że wszystko będzie dobrze i na wiosnę powrócę na korty.

Doktorzy nie pomylili się. W kwietniu 1930 roku już mogłam grać, lecz, niestety, wypadek jesienny wywarł duży wpływ na moją przyszłą karierę tenisową. Już zawsze, w czasie poważnych spotkań, gdy trzeba było dużo biegać, odczuwałam ból w stopie. Traciłam wtedy pewność siebie, stawałam się na boisku zbyt ostrożna i — przegrywałam.

Jako główny cel w 1930 roku postawiłam sobie zdobycie po raz drugi tytułu mistrzyni Polski. Wprawdzie już w 1929 roku dostąpiłam tego zaszczytu, lecz nie spotkałam się wtedy z moją najgroźniejszą rywalką Wandą Dubieńską.

Mistrzostwa odbyły się w Warszawie. Wreszcie stanęłam oko w oko z Dubieńską. Mecz ten, wbrew oczekiwaniu, nie wywarł na mnie większego wrażenia, zwyciężyłam bowiem zbyt łatwo (6:4, 6:2) i nie przeżywałam żadnych emocji.

W tym samym roku odbył się w Krakowie mecz międzypaństwowy kobiet Polska — Niemcy. Wygrałyśmy 4:1, co niewątpliwie było dużym sukcesem. Wywalczyłam wtedy punkty w dwóch singlach: z Herbst 6:2, 6:2, i z Eisenmenger 6:4, 6:2; w grze podwójnej z Volkmerówną pokonałyśmy parę Herbst, Redlich 6:4, 6:2.

Polski tenis kobiety zaczął sobie wywalczać pozycję w Europie. Niestety, był to tylko tenis wyczynowy. Gdy chodziło o jego masowość — sytuacja przedstawiała się katastrofalnie. Pamiętam, że w owe czasy w Krakowie grywało w tenisa zaledwie kilku juniorów, a w całej Polsce można by naliczyć nie więcej niż stu młodzików. Tenis wśród dziewcząt był zupełnie niepopularny.

O przyczynach, które hamowały rozwój tenisa, już wspominałam. Dodam jeszcze, że kluby nie organizowały turniejów dla młodzieży, uważając, że tego rodzaju zawody byłyby zbyt kosztowne. Wytworzyło się błędne koło: młodzieży nie wolno było należeć do klubów sportowych, a kluby znów nie chciały wpuszczać na korty niestowarzyszonych.

Sezon tenisowy zakończyłam w październiku w Meranie. Miejscowość ta jest położona po włoskiej stronie Tyrolu, w wielkiej kotlinie osłoniętej górami od wiatrów. W Meranie można grywać w tenisa nawet późną jesienią, wtedy gdy w Polsce już panują śloty.

W miejscowości tej rokrocznie odbywały się bardzo trudne turnieje. Trzeba było bowiem startować w grze otwartej, w której odpadało się po jednej porażce. Jednocześnie odbywała się jeszcze druga konkurencja, specjalnie dla kobiet, pod nazwą Puchar Lenza. Tenisistki, które doszły do półfinałów, walczyły następnie każda z każdą na punkty. Tego rodzaju mecze były bardzo wyczerpujące.

W grze otwartej uległam świetnej tenisistce szwajcarskiej Payot. W Pucharze Lenza znalazłam się w puli finałowej, w której zrewanżowałam się Payot, lecz uległam Niemce Aussem oraz Włoszce Valerio. W rezultacie zajęłam trzecie miejsce.

Z pobytu w Meranie pozostało mi wiele wspomnień, a przede wszystkim — święto zakończenia winobrania. Na stadionie sportowym odbył się piękny pochód, w którym brali udział delegaci ze wszystkich włoskich prowincji w barwnych strojach regionalnych.

*Matura • Moje przygody w Paryżu • Zwycięska porażka z miss Ryan • Wimbledon od przodu i tyłu • Wstydlive zwycięstwo Cochet'a.*

Wiosną 1931 roku miałam składać egzaminy maturalne. Zdawałam sobie doskonale sprawę z powagi sytuacji: muszę otrzymać świadectwo dojrzałości — muszę zdobyć się na najwyższy wysiłek, aby egzaminy te złożyć dobrze. Wiele czasu poświęcam książkom, uczę się całymi dniami, a często i po nocach. Z rzadka zaglądam na korty.

Pewnego dnia, właśnie kułam jakieś wzory matematyczne, nadeszła depesza ze Związku Tenisowego: w maju mam jechać na międzynarodowe mistrzostwa Francji do Paryża, a Związek poczynił starania, abym mogła składać egzaminy maturalne indywidualnie w terminie wcześniejszym.

Niespodziewana ta wiadomość jeszcze bardziej zdopinguwała mnie do usilnej pracy. Gra w tenisa wyrobiła już wtedy we mnie dużo zaciętości i nieustępliwości. Powzięłam mocne postanowienie: zdasz maturę i pojedziesz do Paryża.

Po kilku dniach dowiedziałam się, że istotnie otrzymałam zezwolenie na zdawanie egzaminów indywidualnie. Nadszedł dzień wielkiej próby. Świadectwo dojrzałości zdobyłam! Byłam niezmiernie szczęśliwa; wszystkim tym, którzy byli zdania, że sportu nie można pogodzić z nauką, dowiodłam, że tak nie jest. Nie w smak to było niektórym zaśniedziałym panom, którzy spowodowali ukazanie się w jednej z gazet krakowskich notatki pod tytułem: „Matura za wyczyny sportowe”.

Złośliwy ten artykułik bardzo mnie zabolął. Do matury byłam przygotowana naprawdę dobrze i traktowałam

ją bardzo poważnie. Egzaminowano mnie dokładnie, z całą surowością. Egzamin był ciężki. Jestem najzupełniej przekonana, że jeślibym go składała wraz z koleżankami, zdałabym o wiele łatwiej. Jadę więc do Paryża nieco zmęczona i rozżalona.

Po raz pierwszy wyruszam w tak długą podróż zupełnie sama, bez żadnej opieki.

Przebywałam w wagonie przez trzydzieści sześć godzin, a dwie noce nie spałam. Wreszcie o szóstej rano pociąg stanął na dworcu paryskim. Zapominam o zmęczeniu, jestem szczęśliwa, że przybyłam do Paryża, zobaczę wielkie miasto, poznam nowych ludzi, obejrzę grę sławnych tenisistów.

Na dworcu paryskim miał na mnie czekać znany skrzypek Łabuński, który niegdyś sam grał w tenisa i w 1912 r. zdobył tytuł mistrza Zakopanego. PZT wpadł na „pomysł” i, wykorzystując prywatne znajomości, poprosił artystę, aby się mną zajął w Paryżu. Kierownicy naszego tenisa zapomnieli jednak o zawiadomieniu o moim przyjeździe ambasady i konsulatu.

Jak mi mówiono — Łabuński obiecał, że będzie mnie oczekiwał na Gare du Nord. Tylko w jaki sposób mnie pozna? Postanowiłam, że dla rozpoznania będę ostentacyjnie trzymała w ręku rakietę. Wsiadam z wagonu, rozglądam się. Tłumy ludzi zatarasowały perony. Każdego z podróżnych ktoś witał, ścisnął, wręczał mu kwiaty. Do mnie jednak nikt nie podchodził.

Peron pustoszeje bardzo szybko. Pozostaję sama ze swą walizką i rakieta. Decyduję się opuścić stanowisko. Może Łabuński czeka na mnie przed wyjściem? Błąkam się po olbrzymich halach dworcowych. Wszędzie panuje gorączkowy ruch, co chwila ktoś mnie potrąca. Chcę już wyjść z tego gmachu, lecz błędę ciągle po labiryntach różnych sal. Gare du Nord jest jednym z największych dworców w Europie.

Wreszcie udaje mi się odnaleźć wyjście. Wychodzę na jakąś boczną uliczkę. Co teraz robić? Nie wiem! Jestem już tak zmęczona, że siadam na krawędzi chodnika i zaczynam popłakiwać. Nie pamiętam, jak długo siedziałam, gdy ktoś nagle trącił mnie w ramię.

— *Mademoiselle...*

Odwracam oczy. Przede mną stoi człowiek w skórzanym kurtce. Orientuję się, iż jest to kierowca taksówki.

Coś tłumaczy i gestykuje. Mówi tak szybko, że nie rozumiem ani jednego słowa. Jestem jednak szczęśliwa, że nareszcie ktoś się mną zainteresował. Kierowca proponuje odwiezienie mnie, lecz dokąd...

Mam w kieszeni list od znajomych z Krakowa, którzy przebywają na studiach w Paryżu. Szperam po kieszeniach i znajduję kopertę z adresem. Kierowca potakuje głową na znak, że zrozumiał, a zatem wszystko jest w porządku. Jedziemy!

Jechaliśmy ze trzy kwadranse. Szofer obwoził mnie chyba po całym Paryżu. Pędziliśmy po wielkich ruchliwych ulicach, zapuszczaliśmy się w wąziutkie zaułki, mijaliśmy mosty, aż wreszcie taksówka zatrzymała się przed jakimś domem.

Nie orientowałam się, ile mam zapłacić, lecz kierowca rozwiązał to zagadnienie bardzo szybko; dał mi do zrozumienia, abym wręczyła mu portmonetkę. Podałam mu ją z pełnym zaufaniem. Kierowca grzebie sam w moim woreczku i zabiera mi banknot stufrankowy. Krzywi się jednak i szuka dalej. Miałam kilkanaście angielskich szylingów, które natychmiast znikły w kieszeni taksówkarza. Na tym się jednak nie skończyło, zabrał mi jeszcze wszystkie marki niemieckie i odjechał.

Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się: okradziono mnie w bezczelny sposób, gdyż sto franków w owych czasach stanowiło dość dużą sumę, za którą przez kilka dni można było utrzymać się w Paryżu.

Odetchnęłam z ulgą, gdy dowiedziałam się, że moi krakowscy znajomi byli w domu. Zaopiekowali się mną serdecznie, zjedliśmy śniadanie i pojechaliśmy na korty Roland Garros w Lasku Bulońskim, gdzie odbywał się turniej. Tam dowiedziałam się, w którym hotelu mam zarezerwowany pokój.

Jak się później okazało, skrzypek Łabuński wyjechał na dłuższe tournée po Francji i o moim przyjeździe nikogo nie zawiadamiał.

Na szczęście moje kłopoty skończyły się, gdyż już miałam wielu miłych opiekunów z naszego konsulatu. Poznałam również znanego kolarza Henryka Szamotę, który stale przebywał w Paryżu i stał się moim nieodstępnym towarzyszem. Teraz całą uwagę skupiałam na tenisie.

Nigdy dotąd nie widziałam tak wielkiego kortu tenisowego. Na olbrzymich trybunach mogło się pomieścić

20 000 widzów. W owych czasach nie znałam kulis sportu tenisowego. Dopiero po kilku latach zorientowałam się, w jaki sposób mógł powstać w Paryżu taki kort. Francuzi wykorzystali znakomicie wspaniałą koniunkturę. Francja posiadała wówczas najlepszych tenisistów świata, zwanych „trzema muszkietierami”. Byli to Lacoste, Cochet i Borotra. Tenisiści ci w finale walk o Puchar Davisa pokonali Amerykanów i przez wiele lat królowali na kortach świata. Finałowe mecze pucharowe rozgrywano rokrocznie w Paryżu. Przynosiły one olbrzymie dochody. Oplacało się więc wybudować tak wielki kort.

Oglądałam mecze rozgrywane przez Borotrę czy Cochet. Siedzę na trybunie jak urzeczona, nie mogąc od nich oderwać oczu. Nie wiedziałam wówczas, że Borotra jest bardzo bogatym człowiekiem i może sobie pozwolić na podróżowanie po świecie i grę w tenisa niemal przez okrągły rok, i nawet przez głowę mi nie przeszło, że Cochet posiada wielki sklep ze sprzętem tenisowym, że dzięki reklamie, którą zdobył na kortach, dorobił się majątku i również wiele czasu może poświęcić „białemu sportowi”.

Wobec tylu sław tenisowych poczułam się kopciuszkiem kortów paryskich. Nikt mnie tu nie znał, nikt się nie interesował moją osobą. Niemal zupełnie nie zwracało uwagi na nieznana, skromnie ubraną dziewczynę. Widziałam wyelegantowane damy w sukniach najświeższej mody, widziałam panów jakby żywcem wyciętych z żurnali. Na stadionie Roland Garros nie było tych paryżan, jakich spotyka się na ulicy. Czyż nie interesują się sportem? Na pewno tak, lecz bilety wstępu na Roland Garros są zbyt drogie, a w Lasku Bulońskim zbiera się zbyt ekskluzywna publiczność.

Widziałam z daleka sławnego tenisistę Lacoste'a, autora książki o tenisie. Lacoste wówczas musiał się wycofać z kortów wobec słabego zdrowia. Miałam wielką ochotę poznać go, lecz wstydziłam się do niego podejść.

Na drugi dzień po przyjeździe miałam zadebiutować w turnieju.

— Z kim będę grała pierwszy mecz? — zapytałam jednego z organizatorów.

— Z miss Ryan.

Niewiele mi to nazwisko mówiło. Wkrótce dowiedziałam się, że Amerykanka Ryan jest doskonałą tenisistką,

która już osiem razy zdobyła tytuł mistrzyni świata w grze podwójnej i mieszanej. Ryan była partnerką najlepszych tenisistek na kuli ziemskiej: Zuzanny Lenglen, a później Wills Moody.

A więc spotkam się z nie byle kim. Wiedziałam, że będę walczyła do ostatka i łatwo nie ulegnę.

Na drugi dzień, gdy o pół do czwartej po południu stanęłam na korcie, słupek termometru wskazywał 30 stopni ciepła. Mecz wyznaczono na boisku nr 4. Był to jeden z bocznych placów, przeznaczonych dla takich kopciuszków jak ja.

Na kort wychodzi miss Ryan. Pamiętam ją dokładnie: była nie pierwszej młodości, potężnie zbudowana. Miała krótko ostrzyżone włosy i może dlatego przypominała mężczyznę.

Zaczynamy walczyć. Już po pierwszych wymianach piłek orientuję się, że system gry mojej partnerki bardzo mi odpowiada, Ryan jest szybka i ofensywna. Często podbiega do siatki i atakuje, lecz moje piłki ją omijają. Ani spostrzegłam się, gdy wygrałam seta 6 : 2.

Nie wszystkie mistrzyni świata są widocznie takie straszne. Zaczyna się drugi set. Wokół kortu robi się coraz cichiej. Ludzie opuszczają trybuny główne i obserwują z zaciekawieniem naszą walkę. Niezwykle rutynowana Ryan najwidoczniej obmyśliła już sposób, aby mnie zmóc, zaczyna bowiem grać niesłychanie złośliwie, podcinając piłki i w ten sposób usiłuje mnie wybić z uderzenia. Walczymy o każdą piłkę, o każdy gem. Po długiej i wyczerpującej walce, doświadczenie Ryan decyduje o secie — przegrywam 7 : 9.

W ostatnim secie daję z siebie wszystko, a nawet prowadzę 3 : 1, lecz czuję, że jestem u kresu sił, a co najgorsze — zaczynam odczuwać ból w nodze, którą niegdyś miałam złamaną. Łapią mnie kurcze. Upał dokucza coraz bardziej. Często, gdy chcę dobiec do skróconej piłki, potykam się, tracę punkt za punktem i, przegrywam seta 3 : 6 i mecz.

Nie przypuszczałam, że moja walka z Ryan może wywołać taką sensację w Roland Garros. Na drugi dzień przyjaciele pokazali mi sprawozdanie zamieszczone w dzienniku sportowym *L'Auto*.

„Miss Ryan przeszła prawdziwe męki, nim pokonała tę małą Polkę, której nazwisko jest tak masywne, jak i jej

drajwy. Mamy wrażenie, że Jędrzejowska zostanie pewnego dnia mistrzynią świata. Pozostaje jej tylko poprawić grę nóg i nabrać więcej zręczności oraz giętkości”.

Inna znów gazeta zamieściła taką notatkę: „Ryan stoczyła bardzo zacięłą walkę z Jędrzejowską i do tej chwili nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jakim sposobem Amerykanka zdołała przełamać fantastyczny opór młodej partnerki”.

(Wspomnę, że moja pogromczyni z Paryża — miss Ryan, jeszcze dwukrotnie została mistrzynią świata w grze podwójnej, wygrywając turniej w Wimbledonie wraz z Wills Moody w latach 1933 i 1934.)

Ponieważ w Paryżu uległam w pierwszej kolejce, miałam jeszcze prawo startować w tak zwanym turnieju pocieszenia. Pokonałam Francuzkę Amaury 6 : 1, 6 : 2, lecz po ciężkiej walce przegrałam z bardzo dobrą Niemką Horn 4 : 6, 9 : 7, 6 : 8.

Z Paryża znów zupełnie sama pojechałam do Berlina i tam uległam Niemce Hammer 0 : 6, 5 : 7. W Berlinie jednak nie skończyła się moja wędrówka po Europie. Dostaje polecenie wyjazdu do Londynu, aby po raz pierwszy wziąć udział w sławnym turnieju wimbledońskim.

W Londynie przed Wimbledonem odbywa się rokrocznie turniej w Queens Clubie. Jest to niejako egzamin dla tenisistów, którzy startują w nieoficjalnych mistrzostwach świata. Mogą się oni zapoznać z trawiastymi kortami, na których grywa się w Anglii.

Gdy po raz pierwszy stanęłam na takim placu, miałam wrażenie, że gram na puszystym, grubo tkanym dywanie. Takie boisko jest bardzo szybkie; piłki dają na nim daleki odskok. Aby przyjąć piłkę serwisową, należy ustawić się przynajmniej na dwa metry za ostatnią linią kortu i pilnie uważać na kąt, pod którym odbija się piłka. Trawiasty plac jest bardzo elastyczny, gra na nim mniej męczą nogi niż start na ubitej ziemi. Gra na trawie również jest łatwiejsza dla wzroku ze względu na zielone, łagodne tło.

Kiedy jednak znalazłam się na trawie, nie umiałam trafić w piłkę. Zdawało mi się, że gram po raz pierwszy w tenisa. Dopiero po dłuższym treningu opanowałam grę na gazonie i zaczęła mi ona bardzo odpowiadać. W każdym razie zdawałam sobie już wtedy sprawę, jak trudny będzie start w Wimbledonie.

W Queens Clubie, gdzie była bardzo silna konkurencja, zwyciężyłam dobrą tenisistkę Feltham 3:6, 6:4, 6:3 i przegrałam z Niemką Hildą Krahwinkel 4:6, 1:6.

Ta rywalka stała się od tej pory moją złą. . .

Była to bardzo wysoka zawodniczka o długich nogach i rękach. W trzech krokach potrafiła znaleźć się przy siatce. Hilda umiała mnie zawsze wybić z uderzenia, a wtedy bywałam bezradna. Wiele czasu musiałam czekać i wiele pracować nad sobą, zanim nadeszła godzina rewanżu.

Termin rozpoczęcia turnieju w Wimbledonie zbliżał się. A więc stanę na kortach, które są marzeniem wszystkich tenisistów świata! Jak wypadnie mój debiut? Wiedziałam, że start w tych zawodach jest dla mnie dużym wyróżnieniem.

Droga do Wimbledonu była bardzo trudna. Mogli tam walczyć jedynie tenisiści zaproszeni imiennie przez organizatorów, po dwóch reprezentantów z każdego kraju. A więc niewątpliwie ten największy na kuli ziemskiej turniej odegrał olbrzymią rolę w historii tenisa światowego, gdyż stał się w dużej mierze jakby dopingiem dla graczy aby dojść do takiej klasy, która pozwala na zaszczytny start. Tak więc, już samo zaproszenie stawało się sukcesem.

Po wielu latach poznałam kulisy tej gigantycznej imprezy, zorientowałam się w jej dobrych i złych stronach, gdyż trzeba również zapoznać się z drugą stroną medalu. Niektórzy twierdzą, że Wimbledon jest właściwie wielkim przedsiębiorstwem handlowym, przynoszącym organizatorom duże dochody. Być może mają rację. Bowiem gospodarze w czasach, gdy ja startowałam, nawet nie zwracali zawodnikom kosztów podróży i jedynie wypłacali każdemu ryczałt w wysokości 25 funtów, za który trzeba było żyć w drogim Londynie i opłacać hotel. Była to suma niewystarczająca. Oczywiście niektóre związki krajowe, posiadające odpowiednie fundusze starały się pomóc swoim zawodnikom. Lecz jeśli w którymś z krajów związek był ubogi, wówczas nawet najlepsi tenisiści nie mieli możliwości zagrania na zielonych kortach Wimbledonu.

Organizatorzy w sprytny sposób wykorzystują snobizm angielski i dobrze wiedzą, że tysiące „dżentelmenów” zapłacą każdą sumę, aby tylko dostać się na trybuny i po-

kazać się wśród londyńskiej elity. Tych ludzi niewiele obchodzi co dzieje się na kortach.

Dlatego bilety na tę imprezę sprzedaje się już na pół roku przed jej rozpoczęciem. Abonament na wszystkie dni kosztował za moich czasów kilkadziesiąt funtów. Już w czasie trwania turnieju, jakkolwiek trybuny mogą pomieścić 20 000 widzów, nie ma mowy o nabyciu biletu, chyba że ktoś chce kupić na czarnym rynku i wtedy musi zapłacić bająską sumę. Natomiast można otrzymać kartę wstępu na teren Wimbledonu, na miejsce stojące, lecz należy już poprzedniej nocy stanąć w kolejce... Jak z tego wynika entuzjaści białego sportu, nawet przeciętnie zarabiający, nie mogą sobie pozwolić na oglądanie tenisa najwyższej klasy.

A korty w Wimbledonie przez cały sezon są niedostępne dla sportowców. Ten wielki park tenisowy tylko raz do roku otwiera swe podwoje. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ trawiaste place są niezwykle starannie pielęgnowane i nikt nie ma prawa na nich grać. Jeśli w czasie turnieju trawa na jednym z nich zostaje uszkodzona, natychmiast łąta się kort kawałkami murawy, której składy znajdują się w specjalnych pomieszczeniach. Odnosi się wrażenie, że Anglicy więcej troszczą się o swe zielone tereny niż o zaproszonych graczy, których pozostawia się własnemu losowi.

W razie deszczu kort centralny jest nakrywany wielką plandeką, a więc, gdy przestaje padać, można natychmiast przystąpić do dalszej gry. Natomiast na bocznych kortach, na których grywają mniej znani, w czasie słońca trzeba grać w skarpetkach, aby się nie przewracać.

Tych kilka szczegółów świadczy o prawdziwym obliczu Wimbledonu zwanego „Mekką tenisistów świata”. Dodam jeszcze, iż zdobycie mistrzostwa Wimbledonu stało się odskocznią dla licznych tenisistów do przejścia na zawodowstwo. Wielu mistrzów świata bezpośrednio z kortów wimbledońskich wędrowało do tak zwanych „cyrków tenisowych”. W tych wędrownych przedsiębiorstwach znaleźli się tacy tenisiści jak Vines, Budge, Richards, Riggs, Perry, Parker, Petra, Kramer i wielu innych. Wszyscy oni swego czasu odgrywali dominujące role w Wimbledonie.

Przed początkiem turnieju wybrałam się tam z rakieta. Chciałam zapoznać się z kortami i trochę potrenować.

Powiedziano mi, że gracze są dopuszczani na korty dopiero na trzy dni przed rozpoczęciem zawodów, a i wtedy można grywać zaledwie po godzinie dziennie.

Losowanie gier odbywa się przed Wimbledonem tradycyjnie w środy rano. Dzienniki przynoszą wyniki w swych wieczorowych wydaniach, wymieniając jedynie spotkania „asów”. O „szaraczkach” pisze się dopiero w czwartek rano i właśnie w tym dniu dowiedziałam się, że mam walczyć z jakąś panią Godfree. Nazwisko to nic mi nie mówiło, a moi przyjaciele też jej nie znali.

Nadszedł dzień mojego debiutu. Jestem przekonana, że odeślą mnie podobnie jak w Paryżu na jakiś odległy boczny kort, a tymczasem dowiaduję się nie bez pewnej emocji, że mam grać na placu oznaczonym numerem 2. Był to kort otoczony trybunami, na których mogło się zmieścić kilkanaście tysięcy widzów. Zabiło mi serce, wiedziałam bowiem, że na ten kort dopuszczani są tylko tenisisci już znani, tacy, których nazwiska przyciągają widzów. Czyżby z mojego powodu wyznaczono mecz na centralnym korcie? Z całą pewnością — nie, a zatem moja przeciwniczka jest widocznie wysoko notowana na giełdzie wimbledońskiej.

Wychodzę na kort i rozglądam się: trybuny są już wypełnione po brzegi. Po raz pierwszy w życiu mam grać przy tak licznej widowni.

Witam się z tenisistką, której wiek oceniam na lat trzydzieści kilka. Zaczynamy mecz. Na moją stronę placu padają długie plasowane piłki, które trafiają w rogi. Orientuję się, że gram z prawdziwą szermierką tenisa, znającą wszystkie arkana tego sportu. Posyłam kilka moich silnych drajwów, lecz Angielka przyjmuje je bez wysiłku. Ani się spostrzegłam, kiedy przegrałam seta 2 : 6.

Przez chwilę zastanawiam się — dlaczego tak wysoko uległam? Już wiem: grałam zbyt miękko, ani razu nie zdobyłam się na ostry atak. Decyduję się przejść do natarcia. Biegam do wszystkich piłek i odbijam je ofensywnie. Słyszę pierwsze oklaski, które mnie dopingują jeszcze bardziej. Wywalczam seta, zaczynamy grać decydującego. Niestety, wkrótce orientuję się, że nie zdołam utrzymać tempa, które narzuciłam w drugim secie. Byłam zbyt młoda, abym potrafiła równomiernie rozłożyć siły. Umiałam już wtedy walczyć, lecz nie umiałam wygrywać. Schodzę z kortu pokonana. Jestem zła i prawdziwie zmar-

twiona. A tymczasem ku memu wielkiemu zdziwieniu nieznanymi mi ludzi podchodzą do mnie, winszując wielkiego sukcesu. Nic już nie rozumiem. Wydaje mi się, że to jakaś pomyłka, że oni wszyscy powariowali...

Dopiero na drugi dzień nieco rozjaśniło mi się w głowie. Przeczytałam gazety i dowiedziałam się, iż Godfree była wielokrotną mistrzynią świata, a swoje zwycięstwo nade mną wywalczyła z trudem.

Mój pobyt w Londynie (jakkolwiek w Wimbledonie nie odniosłam sukcesów) przyniósł mi niewątpliwie dużo pożytku. Widziałam wielkich tenisistów i obserwując ich grę pogłębiłam swą wiedzę.

Po powrocie do kraju czuję się na korcie coraz pewniej, z zagranicy napływają nowe zaproszenia. Często wyjeżdżam na mniejsze turnieje i zdobywam doświadczenie. Tytuł mistrzyni Polski zdobywam bez trudu, bijąc w finale Volkmerównę.

W czasie turniejów zagranicznych nabieram rutyny i jednocześnie poznaję kulisy wielkiego tenisa. A są one wielce charakterystyczne. Przekonałam się wkrótce, jak wielu znanych tenisistów utrzymywało się wyłącznie z gry. Nazywali się oni amatorami, lecz w istocie byli zawodowcami. Niejeden z nich po cichu lub pod jakimś pretekstem pobierał wielkie sumy za udział w turniejach lub meczach. Niektórzy popularni zawodnicy wystawiali fikcyjne rachunki za koszty podróży i w ten sposób jeździli po całym świecie.

Charakterystyczny jest przykład wieloletniego mistrza świata — Francuza Henryka Cocheta. Aby sprowadzić tego sławnego gracza do Warszawy, trzeba było wysłać do Paryża jednego z naszych działaczy związkowych, który „po cichu” omówił z Cochetem warunki, na jakich zagrałby w naszej stolicy. Widocznie odpowiadały one Francuzowi, gdyż zjechał do Warszawy we wrześniu 1931 roku. Olbrzymia reklama poprzedziła przyjazd mistrza świata. Organizatorzy podejmowali go jak udzielnego księcia, ulokowali w specjalnie zarezerwowanym luksusowym apartamencie hotelu „Polonia”.

Na dwie godziny przed meczem odbył się na cześć Cocheta bankiet w Hotelu Europejskim, sfinansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Francuz najzupełniej lekceważył sobie polskich przeciwników i w czasie obiadu wypił zbyt wiele koniaków.

Sądził, że odniesie zwycięstwo bez wielkiego trudu. Tymczasem stało się inaczej.

Mistrz świata stanął do meczu z Maksem Stolarowem, bardzo dobrym technikiem i teoretykiem tenisa. Trybuny uginały się od ludzi. Zgromadziło się przeszło 10 tysięcy widzów mimo bardzo drogiego biletu i mimo iż w tym samym dniu startował w Warszawie sławny biegacz fiński Paavo Nurmi, z którym rywalizował Janusz Kusociński.

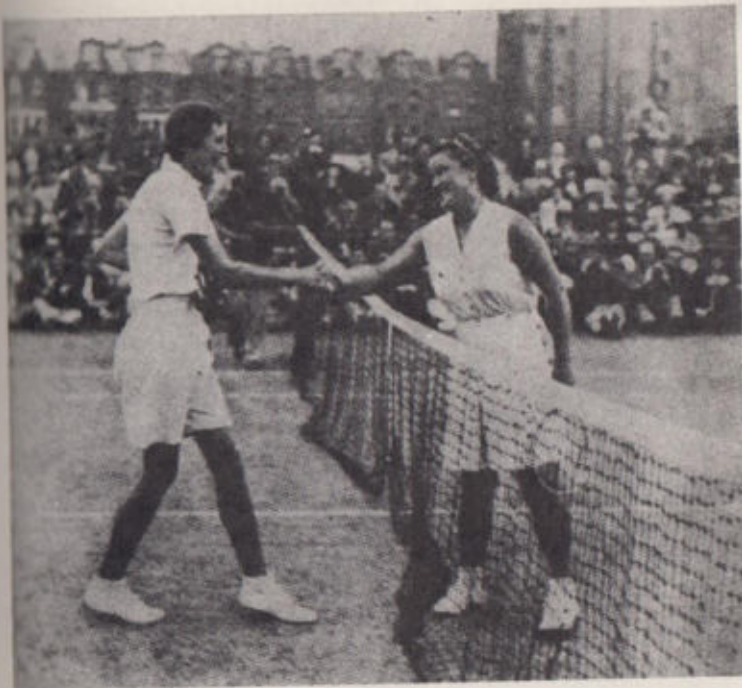
Stolarow walczy z Francuzem jak równy z równym i Cochet dopiero po największym wysiłku wygrywa pierwszą partię 9 : 7. W drugim secie walka zaostrza się jeszcze bardziej. Maks trzyma się wspaniale, długimi piłkami atakuje mistrza świata. Męczy go, zmuszając do ciągłego biegania od rogu do rogu. Sensacja! Stolarow wygrywa seta 7 : 5.

Jeszcze większe zdziwienie ogarnia widzów, gdy Stolarow zdobywa trzeciego seta 6 : 4. Cochet zielenieje, robi wrażenie niezwykle zmęczonego. Na szczęście dla mistrza następuje dziesięciominutowy odpoczynek. Francuz przychodzi do siebie, nabiera nowych sił i wygrywa 6 : 1.

W piątym decydującym secie Stolarow stawia wszystko na jedną kartę, gra z niesłychaną ambicją. Przy stanie 5 : 4 dla Stolarowa osiąga on piłkę meczową. Na trybunach cicho jak makiem zasiał. Cochet serwuje. Maks odpowiada długą, plasowaną piłką, która pada na sam koniec kortu — dokładnie w róg i wyraźnie dotyka linii. Piłka jest wspaniała. Cochet czyni rozpaczliwy skok, aby ją złapać, lecz nadaremnie — nie jest w stanie odbić. A więc triumf, zwycięstwo nad mistrzem świata!

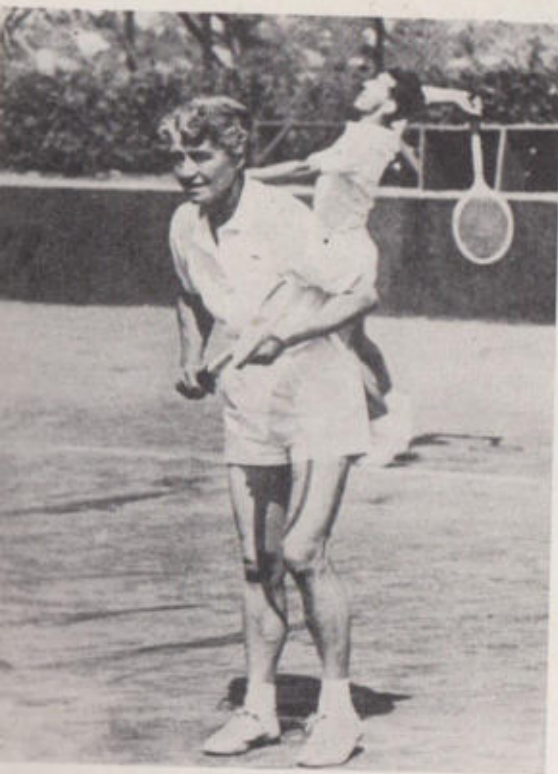
Na widowni entuzjazm, huragan braw! Oklaski zagłuszają sygnał sędziego liniowego, który krzyknął „aut”, uznając piłkę za złą. Nie mogło mu po prostu zmieścić się w głowie, że wielki Cochet może być pobity w Warszawie. W owe czasy cierpieliśmy na jakiś niezdrowy kompleks niższości w stosunku do zagranicznych sportowców.

Gra toczy się dalej. Obaj zawodnicy mają teraz po 5 gemów. Niestety Stolarow załamuje się psychicznie, już nie potrafi zdobyć się na wysiłek i koncentrację. Dwa gemy oddaje bez większej walki.



*Dopiero w 1938 roku Jędrzejowskiej po raz pierwszy udało się pokonać „długonogą zmore” — Hildę Krahwinkel*

Liczne sukcesy w grze podwójnej odnosiła Jędrzejowska razem z Zuzanną Noel



Jadwiga Jędrzejowska  
w skupieniu oczekuje  
przyjęcia piłki

Obaj tenisiści schodzą z kortu — moralny zwycięzca Stolarow, gorąco oklaskiwany, i Cochet ze spuszczoną głową — tak jakby miał nieczyste sumienie.

Przez dłuższy czas po meczu Cochet dyskutował na temat kwestionowanej piłki i starał się dowiedzieć za pomocą rysunków, że istotnie była ona sporna, choć bezsprzecznie sędzia liniowy mógł ją uznać za dobrą...

A teraz zajrzyjmy za kulisę... „Amator” Cochet wywózł z Polski 7 000 złotych. W owych czasach była to bardzo wielka suma, za którą można by zaangażować wielu trenerów. Nadto Francuz zainkasował wszelkie koszty przejazdu i utrzymania w drodze (wagon sypialny pierwszej klasy). Jest wielce interesujące, iż Cochet, oficjalny amator, podlegający przepisom międzynarodowym, mógł sobie pozwolić na pobranie tak wielkiego honorarium. Ale Cochet miał zawsze gotowe tłumaczenie. Twierdził uparcie, że pieniądze zbiera na swój rodzinny klub tenisowy w Lyonie, który go wychował — a klub ten jest bardzo biedny... Biedny lyoński klub niewątpliwie nigdy nie oglądał pieniędzy wywiezionych z Warszawy.

Jak już wspomniałam, Cochet miał w Paryżu wielki magazyn ze sprzętem sportowym i robił na nim dobre interesy. Gotówka obrotowa była mu zawsze potrzebna, dlatego mistrz świata bardzo lubił takie wycieczki turystyczno-handlowe.

W niedługim czasie po wyprawie do Warszawy Cochet stał się już jawnym zawodowcem i przystąpił do „Cyrku Tildena”. Dopiero w czasie wojny, nie wiem na jakich podstawach, Związek Francuski reaktywował go. Teraz znów Cochet jeździ po świecie i gra w tenisa, zbierając gotówkę na swój lyoński klub...

Kiedyś, bodaj po wojnie, wpadły mi do ręki pamiątniki Cocheta. Ani słowem nie wspomina o meczu warszawskim. Czyżby się go wstydził?

*Riwiera, czyli „tenis hotelowy” • Spotkanie z „Kusym” • Jak niemiecka gazeta pomogła mi wygrać z Jacobs • Prawda o All England Club*

Przed wojną zimy stawały się dla tenisistów polskich martwym sezonem. Trzeba było na dłuższy czas żegnać się z rakieta.

Nie było w kraju ani jednego krytego kortu, na którym można by trenować. Związek nie troszczył się o zawodników, nie interesował się ich losem, nie organizował wspólnych treningów. Nic więc dziwnego, że z wiosną nasi gracze wchodzili na korty sztywne, jakby dopiero zaczęli się uczyć gry w białą piłeczkę.

Jedyne możliwości treningu istniały w owe czasy na Riwierze, gdzie warunki klimatyczne pozwalały na grę już w początkach lutego. Oczywiście wyjazd na Lazurów Wybrzeże połączony był z wielkimi kosztami. Nasz Związek Tenisowy mógł sobie pozwolić na wysyłanie do południowej Francji zaledwie kilku graczy. Finansował wyłącznie ekspedycję tenisistów wyczynowych.

W końcu lutego zjeżdżają na Riwierę czołowi tenisisci ze wszystkich krajów. Trening ich polega na bezustannych turniejach. Co tydzień gra się w innej miejscowości. Gdy zawody zakończą się w Nicei, zaczynają się w Beaulieu. Z Beaulieu wyjeżdża się do Monte-Carlo na największy turniej. Z Monte-Carlo tenisisci przenoszą się do Mentony i tak koczują jak Cyganie po całej Riwierze.

Turnieje organizowane są przez wielkie hotele, którym zależy na dostarczeniu gościom jak najwięcej rozrywek. Hotelarze, doceniając dobry interes, starają się ułatwić tenisistom pobyt na Riwierze, dając im bezpłatne pomieszczenie i utrzymanie.

Sz szczególnie po roku 1930 hotelarze czynili wszystko,

aby turnieje na Riwierze były jak najliczniej obsadzone. W tym bowiem czasie na południu Francji rozpoczął się kryzys. Narciarstwo stawało się coraz modniejsze i turyści, szczególnie młodzi, wyjeżdżali w góry. Hotele na Lazurowym Wybrzeżu zaczynały świecić pustkami.

Nie tylko hotelarzom zależało na atrakcyjności turniejów na Riwierze. W tego rodzaju rozrywkach dla turystów byli również zainteresowani właściciele wielkich magazynów — i oni również starali się popierać imprezy sportowe za pomocą licznych nagród. Zwycięzcy otrzymywali tak zwane bony na oznaczoną sumę pieniędzy. Za taki czek tenisista mógł wybrać we wskazanym sklepie towary, jakie tylko chciał.

Tego rodzaju premiowanie graczy wzbudzało wielką konkurencję i prowadziło w prostej linii ku ukrytemu zawodowstwu. Podobny system stosowano niemal w całej Francji oraz Anglii, w której jakoby tak skrupulatnie przestrzega się wszelkich przepisów odnośnie amatorstwa w sporcie. Dobry zawodnik, który miał czas na częste branie udziału w turniejach, mógł dzięki zdobytym bonom ubierać się od stóp do głów, a nawet spieniężać część nagród.

Walka o bony bez wątpienia demoralizowała niektórych tenisistów, którzy starali się wygrywać za wszelką cenę. Dlatego też wielu graczy zapominało o zasadach sportowej uczciwości, a sędziowie nierzadko przyczyniali się do zwycięstw swych faworytów. Jednak muszę przyznać sprawiedliwie, że turnieje na Riwierze przynosiły graczom wiele pożytku — a szczególnie tym, którym klimat w ich kraju nie pozwalał na wczesne rozpoczęcie sezonu.

I oto w lutym 1932 roku znalazłam się między wybranymi Związku Tenisowego. Miałam zobaczyć z bliska „hotelowy tenis” na Riwierze.

Pamiętam dzień, kiedy pakowałam rzeczy. Nasz mały domek w krakowskim parku tonął w zaspach śnieżnych, lodowe kwiaty kładły się na oknach.

Szczęśliwie dojechałam do Wiednia, dalej przez cudowny, zaśnieżony Semmering dotarłam do granicy włoskiej. Przez godzinę byłam w Wenecji, zamarłej i pustej o tej porze roku. W nocy w drugim dniu podróży nasz pociąg minął Mediolan. Nazajutrz rano przebudziły mnie ciepłe promienie słońca. Wyjrzałam przez okno. Na dworze pa-

nowała cudowna wiosna. Pędziliśmy wzdłuż morskiego wybrzeża, gdzieś tam kwitły już złociste mimozy. Wydawało mi się, że znajduję się w jakimś zaczarowanym kraju.

Przebywam na Riwierze kilka tygodni. Jestem stęskniona za tenisem, uczestniczę we wszystkich turniejach i konkurencjach. Na kortach czuję się doskonale, lecz gdy mrok zapada, jest mi w tym kraju dziwnie obco.

Pewnego dnia zwiedziłam sławne na cały świat kasyno gry w Monte-Carlo. Wnętrze sprawiało wrażenie jakiegoś wielkiego mrowiska ludzkiego. Przy licznych stołach tłoczyli się amatorzy hazardu. Różni to byli ludzie: starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni. Niemal wszyscy mieli wy pieki na twarzy, rzadko kto potrafił ukryć zdenerwowanie. Niektórzy siedzieli jak mumie, bezmyślnie wpatrzeni w wirującą kuleczkę na tarczy rulety. Piramidy sztonów leżały na stołach, a krupierzy co pewien czas donośnym głosem zachęcali do dalszej gry. Widziałam ludzi bezustannie notujących, siedzących nad papierkami zapisanymi setkami kabalistycznych cyfr, chcieli oni widocznie zgłębić tajemnicę powodzenia... Stali bywalcy mówili mi, że tacy „odkrywacze systemów” wyjeżdżali zazwyczaj z Monte-Carlo doszczętnie zrujnowani.

Obok wspomnianego domu gry znajdowało się jeszcze jedno nowo wybudowane kasyno przeznaczone wyłącznie dla bogaczy, gdzie grano o bardzo duże sumy. Nie mogłam zwiedzić tego lokalu, gdyż wymagano tam strojów wieczorowych.

Wielu z bywalców domów gry spędza noce przy zielonych stolikach, a w dzień przebywa w luksusowo urządzonej strzelnicy. Monte-Carlo jest bowiem sławne z konkursów strzelania do gołębi. Tysiące ptaków giną w księstwie Monaco dla rozrywki snobów. Zwycięzcy otrzymują bardzo wysokie nagrody pieniężne. Aby uczestniczyć w takim turnieju, można nie umieć strzelać, trzeba natomiast mieć wypchany portfel. Turnieje są bowiem przeznaczone wyłącznie dla członków klubu strzeleckiego w Monte-Carlo, do którego przyjmowani są ludzie „wysoko urodzeni” i będący w stanie opłacać bardzo wygórowane składki. Obecnie, dzięki interwencji księżny Grace Kelly, rzeź gołębi została zabroniona.

Muszę jednak wspomnieć o kortach w Monte-Carlo. Tamtejsze tereny tenisowe są bodaj najpiękniej położone

na świecie; na zboczu góry wznoszącym się nad brzegiem morza. Na tej pochyłości wykuto place do gry w postaci wielkich tarasów. Toną one w kwiatach i zieleni. Na samej górze zbudowano pałacyk, w którym mieszczą się szatnie i luksusowa restauracja. U stóp wzniesienia znajduje się sztuczna pływalnia z morską wodą.

Budowa tego parku tenisowego musiała pochłonąć olbrzymie sumy, a złożyły się na nie pieniądze pozostawiane przez turystów w kasynie gry. Nie ulega wątpliwości, że jeśli zdecydowano się na tak wielkie inwestycje, wynajmowanie kortów musi przynosić bardzo duże dochody.

Na Riwierze zwracałam największą uwagę na poprawienie gry, próbowałam i uczyłam się nowych uderzeń, mniejszą wagę przywiązując do wyników sportowych. Udało mi się jednak pokonać kilka dobrych tenisistek, a między innymi Francuzkę Adamoff 2:6, 6:2, 6:2. Uległam jednak pierwszej rakiecie Francji — Mathieu 1:6, 3:6.

Na Riwierze spotkałam Janusza Kusocińskiego przygotowującego się niezwykle solidnie do Olimpiady, która w lecie 1932 roku miała się odbyć w Los Angeles. Codziennie o 7 rano Janusz rozpoczynał zaprawę lekkoatletyczną; zazwyczaj biegał wzdłuż autostrady z Nicei do Cannes.

Kusociński mieszkał w Nicei w nędznym, czwartorzędnym hoteliku. My, tenisisci, stanowiliśmy atrakcję dla gości Riwieri, Kusocińskiego nikt wówczas nie znał i nie interesowano się nim zbyt. Na treningi na Riwierze otrzymał Janusz skromniutkie środki od Polskiego Związku Lekkoatletycznego i musiał utrzymać się w ramach tego szczupłego budżetu. Ale „Kusy” wychowany w skromnych warunkach życiowych, był niezwykle twardy i odporny. Zawział się stawiając przed sobą jako cel życia złoty medal olimpijski. Celu tego dopiął, zdobywając tytuł mistrza olimpijskiego w Los Angeles na dystansie 10 000 m.

Kusociński imponował mi zawsze olbrzymią wytrzymałością, zaciętością i ambicją, z jaką trenował nie tylko wtedy na Lazurowym Wybrzeżu, lecz również w późniejszych latach. Nie załamał się nawet wtedy, gdy zachorował (choroba nogi) i zdawało się, że będzie musiał na

zawsze pożegnać się z bieżnią. Dzielnie przetrwał kryzys i ustanowił nowy rekord Polski na dystansie 5000 m.

Od czasu pobytu na Riwierze przyjaźniliśmy się bardzo, a Janusz — gdy już na stałe zamieszkałam w Warszawie — często przychodził na korty, gdzie grywaliliśmy wspólnie w tenisa.

Z moich wypraw na Riwierę pozostało mi wiele wspomnień nie tylko sportowych. Przede wszystkim na zawsze pozostanie w pamięci osoba króla szwedzkiego, Gustawa V, grającego na Lazurowym Wybrzeżu pod pseudonimem „Mister G”. Cóż to była za wspaniała postać!

Byłam niejednokrotnie jego partnerką. Traktowaliśmy tego starszego, niezwykle miłego pana jako dobrego kolegę, a nie koronowaną głowę. „Mister G” kochał tenis i w wielkim stopniu przyczynił się do rozkwitu tego sportu w swoim kraju. W grach mieszanym bardzo lubił ustawiać się przy samej siatce i smeczować. Oczywiście bez trudu można go było złobować lub minąć, ale wszyscy gracze starali się od czasu do czasu sprawić przyjemność starszemu panu i kierowali piłkę wprost na jego raketę. A wtedy „Mister G” wygrywał punkt, promieniał i był niezmiernie zadowolony.

Chyba to był rok 1933, kiedy po Lazurowym Wybrzeżu rozeszła się wiadomość, że na włoskiej Riwierze, w San Remo przebywa Polak — inż. Dunikowski, który ...z piasku fabrykuje złoto! Bardzo mnie ta postać zainteresowała. Jeden z moich przyjaciół dziennikarzy wybrał się do San Remo, aby napisać kilka reportaży o tym alchemiku. Po powrocie z tej wyprawy opowiadał mi swe wrażenia: Dunikowski pojawił się w 1930 r. we Francji i tam zaczął „fabrykować złoto”. Oskarżono go o oszustwo i skazano na więzienie. Kiedy odbył część kary zwolniono go, ale kazano opuścić Francję. Wyjechał do Włoch, do San Remo i tam w dalszym ciągu prowadził swe doświadczenia, zapowiadając proces rehabilitacyjny.

Zacytuję tu opowiadanie mego przyjaciela — dziennikarza, gdyż jest niezwykle charakterystyczne:

„Po przyjeździe do San Remo długo błądziłem po tym miasteczku, nie znając adresu. Wreszcie poszedłem do komisariatu policji i zapytałem łamaną włoszczyzną —

Dunikowski — „fabricante doro”? — Si, si, mamy tu takiego! — uśmiechnął się komisarz i dał mi adres.

Błądząc po wąskich uliczkach najbiedniejszej dzielnicy, docierałam do celu. Długo pukam, nikt nie odpowiada. Wreszcie ktoś się odzywa. Zapytuję po polsku i kobieta po drugiej stronie drzwi nabiera zaufania.

— Przepraszam, że tak długo nie otwierałam, ale mąż kategorycznie zabronił mi kogokolwiek wpuszczać do mieszkania. A on właśnie wyszedł do adwokata. Pan zapewne wie, że mieliśmy tyle przykrości. Na świecie są tacy źli ludzie!

Okazało się, że mecenas mieszka niezbyt daleko, poszedłem tam i po kilkunastu minutach poznałem Dunikowskiego. Zapamiętałem jego oczy, były niewątpliwie myślące i mądre, lecz kryły w sobie niepokój. Inżynier zaprosił mnie do siebie. Znowu znaleźliśmy się w wąskich uliczkach. W pewnej chwili szepnął — Proszę nic nie mówić i nie oglądać się — tam po drugiej stronie ulicy widzę jakiś cień! A gdyśmy uszli kilkadziesiąt metrów, powiedział — Bo widzi pan, mnie tu śledzą na każdym kroku. Do San Remo przybyli agenci wielkich bankierów. Bankierska mafia całego świata dąży wszelkimi siłami abym nie mógł eksploatować mego wynalazku. Oni boją się o swe własne złoto... Oni wsadzili mnie do więzienia i postanowili mnie zniszczyć. Obawiam się, że mnie zamordują!

Znalazłem się znowu w skromnym mieszkaniu inżyniera, który przy czarnej kawie opowiadał — Ja bynajmniej nie fabrykuję złota, lecz staram się przyspieszyć proces który w naturze trwa 3 tysiące lat. Chcę połknąć czas, przyspieszyć proces, aby trwał zaledwie jedną noc. I tak z piasku powstaje drogocenny kruszec!

Nie miałem wówczas pojęcia, czy to co mówił miało jakiś sens i czy nie kolidowało z podstawami nauki. Nie znam się na tym. W pewnej chwili Dunikowski zapalił się, rumieńce wystąpiły mu na policzki. Sprawiał niesamowite wrażenie. Przyszła mi nawet myśl do głowy, czy jest on normalny. Niestety alchemik nie pokazał mi jak robi złoto z piasku. Podobno tej nocy musiał odpocząć i nie miał odpowiedniego surowca.”

Jak się dowiedziałam, mój przyjaciel jeszcze kilka razy odwiedził Dunikowskiego, który mu pokazał małe czer-

wonawe płytki, które jakoby były złote. Sprzedawał on je co jakiś czas jednemu z jubilerów.

Po kilku latach grałam na kortach w San Remo. Nikt nie umiał mnie poinformować o Dunikowskim. Podobno wyjechał. Proces rehabilitacyjny nigdy nie odbył się. Aż któregoś dnia w kraju wyczytałam w dziennikach sensacyjną wiadomość. Ze Szwajcarii donoszono o tajemniczym zaginięciu polskiego inżyniera. Któregoś dnia znaleziono jego laboratorium kompletnie zdemolowane. Dunikowski znikł bez śladu wraz z rodziną. Podobno miał on wyjechać na wyspy Filipińskie. Nic nie wiem o jego dalszych losach. Nie wiem, czy był to człowiek genialny, maniak czy też zwykły oszust. Tak czy owak, zacytowałam tę historię jako przykład, z jak interesującymi historiami i ludźmi można się zapoznać dzięki wyprawom sportowym.

W kwietniu powróciłam do Polski. Czułam się doskonale. Zdawało mi się, że jestem w dobrej formie. W maju zostałam zaproszona na turniej do Berlina. Wyjeżdżałam do Niemiec spokojna o sukcesy, ale już w kilka godzin po przyjeździe zabiło mi serce z emocji: losowanie nie było dla mnie pomyślne. Na mojej drodze stała znana tenisistka amerykańska Helena Jacobs, która wtedy była klasyfikowana jako czwarta rakieta świata. Poza tym przeczytałam w którejś z gazet berlińskich następującą prognozę: „Polka nie posiada żadnych szans w meczu ze znakomitą Jacobs”.

Czytam jeszcze raz — tak, nie ma pomyłki — już z góry skazują mnie na porażkę. Byłam zła, lecz zapowiedź klęski bynajmniej nie załamała mnie. Zobaczmy jutro na korcie...

Trybuny dookoła kortu były wypełnione. Reklama, jaka poprzedziła przybycie Amerykanki do Berlina, niewątpliwie przyczyniła się do frekwencji publiczności. Posyłam pierwszą piłkę i wyczuwam natychmiast, iż „siedzi” świetnie na rakiiecie. Staram się narzucić coraz większe tempo. Piłki wędrują nad siatką, są szybkie jak błyskawica. Niektóre wymiany stają się tak gwałtowne, że piłka miga w oczach i odbijam ją niemal automatycznie. A ponieważ wszystko mi się udaje, zaczynam ryzykować uderzenia z całej siły. Moje drajwy nabierają brutalności, Amerykanka odbija je z coraz większym wysiłkiem. Nie zapominam jednak i o taktyce gry: wiem, że

trzeba ciągle atakować forhend, który Amerykanka ma dużo słabszy od bekendu.

Ku ogólnemu zdziwieniu wygrywam seta 6:2. W światku tenisowym spostrzegam poruszenie. A dzielił się on na dwa obozy: sympatyków moich oraz Amerykanki. W czasie krótkiej przerwy podbiegła do mnie jedna ze znanych tenisistek, radząc, abym teraz zagrała piłką półwysoką i miękką. Stosuję się do tych wskazówek. Walka zaostrza się — to ja, to moja partnerka zdobywamy po gemie. Stan seta jest 4:4. Jacobs przypuszcza gwałtowny atak, odbiera mi inicjatywę i wygrywa seta 6:4.

Po dwóch partiach następuje dziesięciominutowy odpoczynek. W szatni odwiedza mnie znana tenisistka Rezniczek, zawsze dla mnie bardzo serdeczna. Udziela mi wiele cennych rad:

— Teraz, Jadziu, musisz stosować swą normalną grę, strzelaj jak najczęściej drajwów. Możesz dużo ryzykować, przecież nie masz nic do stracenia, a wszystko do wygrania. Jeśli zwyciężysz, odniesiesz wielki triumf, a jeśli nawet ulegniesz, to i tak przegrana z Jacobs w trzech setach będzie dla ciebie sukcesem.

Powracam na kort z nowymi siłami i wielką wolą zwycięstwa. Staram się skoncentrować wszystkie siły przed ostateczną walką. Zaczynam atak, lecz moje niesłychanie silne drajwy mijają się zaledwie o kilka centymetrów z końcową linią. Tracę wiele punktów, a Jacobs stara się wybić mnie z uderzenia, zwalniając tempo i od czasu do czasu dając wysokie loby, które jak baloniki z wólą wędrują w moją stronę. Ani się spostrzegłam, gdy Amerykanka prowadziła 4:1.

Spojrzałam na nią. Miała wygląd bardzo pewny siebie, jak gdyby już miała zwycięstwo w kieszeni. Nagle straciłam wiarę w możliwość sukcesu.

Lecz oto przypomniałam sobie „przepowiednię” niemieckiej gazety: wystarczyło, aby mnie przebudzić z chwilowego letargu. Złapałam „drugi oddech”. Niedoczekanie twoje! — wymówiłam głośno, jakby przede mną stał ten dziennikarz.

Zaczynam grać ze zdwojoną energią. Zdobywam się na najwyższy wysiłek, podbiegam do wszystkich piłek, nawet tych, które są na pozór beznadziejne do przyjęcia. Wkrótce stan seta jest już 2:4, 3:4. Gdyby jeszcze jednego gema, gdyby tylko wyrównać! Jeszcze raz rzucam

spojrzenie w stronę Heleny. Bardzo się teraz zmieniła — przybladła, zaciska usta, jest wyraźnie zdenerwowana. Została „wybita” z uderzenia i psuje dużo łatwych piłek. Wreszcie zdołałam wyrównać. Obie mamy po cztery gemy. Zdajemy sobie sprawę, że w tej chwili ważą się losy meczu. Walczymy o każdą piłkę i wreszcie zdobywam prowadzenie 5:4.

Jacobs jest coraz bardziej zdenerwowana i nawet nie stara się tego ukryć. A zatem nadszedł odpowiedni moment do ostatecznego ataku: teraz albo nigdy. Atakuję z pasją i słyszę, jak sędzia ogłasza 40:15. A więc mam dwie piłki meczowe!

Na trybunach zaległa cisza, słychać tylko charakterystyczny dźwięk strun. Przyjmuję piłkę, czuję ją świetnie na rakięcie. Cały mój wysiłek wkładam, aby odbić ją jak najsilniej. Poleciała na drugą stronę ze świstem i trafiła w sam róg kortu. Jacobs dobiegła do niej, nadsztawia rakieta, lecz piłka jest tak silna, że ześlizguje się po strunach. Słyszę oklaski. Widzę, jak Jacobs podbiega do mnie, wina mi zwycięstwa. Jakkolwiek wygranie pięciu kolejnych gemów było olbrzymim wysiłkiem, zapominam o zmęczeniu. Chciałabym dojrzeć w tłumie twarz tego dziennikarza, który przepowiadał moją klęskę, bo — kto wie — czy wówczas nie uściśnęłabym go serdecznie. Być może, że on właśnie nieświadomie podniecił moją ambicję i stał się „współautorem” mojego zwycięstwa.

Byłam niezmiernie szczęśliwa. Pokonanie Jacobs to przecież sukces o międzynarodowym znaczeniu! Jeszcze nigdy dotychczas nie zwyciężyłam tenisistki tak wysoko klasyfikowanej na liście światowej.

A jednak turnieju w Berlinie nie wygrałam. Tak ciężko wywalczone zwycięstwo nad Amerykanką wyczerpało mnie zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Najjutrz uległam Krahwinkel, z którą nigdy nie umiałam rozwiązać meczu taktycznie.

Moje zwycięstwo nad Jacobs oceniono jako triumf tenisa polskiego. Zbiegło się ono z pokonaniem Holandii przez drużynę polską 4:1 w meczu o Puchar Davisa. Wówczas gdy ja w Berlinie pokonałam Helenę, chłopcy w Warszawie „rozłożyli” Holendrów, w których drużynie grał doskonały Timmer.

Po niezbyt długim pobycie w kraju wyjeżdżam znów za granicę. Po raz drugi w moim życiu jadę do Londynu, gdzie mam grać w turnieju Queens Clubu, a później próbować sił w Wimbledonie. Gdzieś w kącie serca kołaczę małą iskierką nadziei, a może w tym roku powiedzie mi się w walce o tytuł najlepszej tenisistki świata. Zdaję sobie sprawę, że droga do sukcesów jest daleka, mam wiele braków, a moje rywalki posiadają znacznie lepsze warunki treningowe.

W Queens Clubie powiodło mi się nadspodziewanie dobrze. Wygrałam z Angielką Westeroft 6:4, 4:6, 6:2, później zaś po ciężkiej walce zwyciężyłam dobrą tenisistkę niemiecką Horn 6:3, 7:5. W finale przegrałam z Amerykanką Burke. A więc zdobyłam wicemistrzostwo Londynu, co było niemałym sukcesem. Niestety, pod koniec turnieju zaczęłam odczuwać coraz większy ból w złamanej niegdyś nodze. Bardzo mnie to martwiło ze względu na zbliżający się Wimbledon.

W turnieju wimbledońskim spotkało mnie rozczarowanie: mimo zwycięstwa nad Jacobs nie zostałam zaliczona do elity i nie byłam rozstawiona. A co najgorsze, znalazłam się w tej samej ćwiartce co moja największa rywalka, Krahwinkel. W pierwszej rundzie spotykałam się z Angielką Law i eliminuję ją 6:3, 6:4. W następnej kolejce zwyciężam Rindley 6:2, 6:4. Przychodzi czas na mecz z moją „zmorą” — Krahwinkel. Przystępuję do niego zrezygnowana, bez koniecznej woli zwycięstwa, i zostaję pokonana.

W czasie mego pierwszego pobytu w Londynie wspominałam już o kulisach Wimbledonu. Teraz dowiedziałam się o jeszcze jednym szczególe: Otóż All England Club, w którego posiadaniu znajdują się korty wimbledońskie, zapłacił 5000 funtów tytułem podatku od dochodu za ostatni turniej. Olbrzymi ten podatek wskazuje, jakim świetnym interesem są turnieje wimbledońskie.

Któregoś dnia zapytałam znajomego tenisistę angielskiego, czy należy do All England Clubu.

— Pani chyba żartuje, miss — wzruszył ramionami. — Klub ten jest najbardziej ekskluzywny w Wielkiej Brytanii. Zdarza się, że ludzie czekają po kilkanaście lat na przyjęcie. Znam takich, którzy złożyli podanie o przyjęcie w poczet członków, lecz nim zarząd zgodził się — im już włosy posiwiały i przestali grywać w tenisa...

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Wydawało mi się, że kluby tenisowe istnieją wyłącznie po to, aby udostępnić młodym ludziom uprawianie sportów...

Po zakończeniu turnieju w Londynie zostałam zaproszona do Dublina. Tam zdobywam tytuł mistrzyni Irlandii. Powracam do kraju i biorę udział w międzynarodowych mistrzostwach Polski, bijąc w finale Dubieńską 6:1, 6:4.

## R O Z D Z I A Ł S I Ó D M Y

*"Cyrk Tildena" w Warszawie \* Stammers, Jacobs, czyli seria niepowodzeń \* Wimbledon bez treningu \* Siódme zwycięstwo Krahwinkel \* O poszukiwaniu posady i produkcji rakiet*

Sezon tenisowy w Polsce miał się ku końcowi, gdy dowiedziałam się, że późną jesienią ma przyjechać do Warszawy „Cyrk Tildena”. Był to wypadek niecodzienny. Trupa zawodowców zorganizowana przez Tildena objechała już wszystkie miasta amerykańskie i teraz zrobiła wypad do Europy. Zawodowcy musieli stale szukać nowych „rynków”, ponieważ gra ich szybko nudziła publiczność. Nie walczyli przecież o żadną stawkę i w gruncie rzeczy było im zupełnie obojętne, kto z nich wygra. Spotkania ich miały charakter meczów pokazowych.

Nasz Związek uzyskał jednak zezwolenie Międzynarodowej Federacji na rozegranie w Warszawie spotkania zawodowców z amatorami i dlatego impreza ta zapowiadała się dość interesująco.

Przybycie „cyrku” do naszej stolicy poprzedziła wielka reklama. Bilety rozchwymano. Nic dziwnego, gdyż Tilden był niewątpliwie wielkim tenisistą, którego warto było zobaczyć.

W Warszawie omal nie doszło do wielkiego skandalu, gdyż „wielki” Tilden po przybyciu do stolicy oświadczył, że nie może grać i musi natychmiast odwiedzić chorego przyjaciela w Berlinie. Po dłuższych pertraktacjach dał się jednak ubłagać i pozostał.

Gra Tildena podobała się warszawiakom, choć szczerze mówiąc, nie wywołała entuzjazmu. Na korcie zabrakło elementu walki, tak niezbędnego we wszystkich sportach.

Zdawało mi się, że sezon jest dla mnie zakończony, lecz do Związku nadeszło jeszcze jedno zaproszenie: miałam wziąć udział w dorocznym turnieju w Meranie. Bar-

dzo lubiłam tę miejscowość położoną we włoskim Tyrolu. Meran ma cudowny klimat, a słońce nawet późną jesienią praży tak, jak w pełni lata.

W Meranie, w konkurencji o tak zwany Puchar Lenza, zajęłam drugie miejsce, wygrywając z Francuzką Henriotin i Włoszką Riboli. Zostałam jednak pokonana przez Niemkę Horn.

W zimie wyjeżdżałam do Kopenhagi, gdzie grałam na krytych kortach i pobiłam Dam 6:1, 6:2 oraz Sperling 2:6, 6:4, 6:2.

Nadchodził sezon 1933 roku. Dowiedziałam się, że Związek Tenisowy postanowił, abym udała się do Londynu i tam na krytych kortach trenowała pod kierunkiem znanego instruktora Hieronza. Po zakończeniu tej przedsezonowej zaprawy miałam pozostać w Anglii i startować w turnieju o mistrzostwo Londynu.

Byłam niezmiernie zadowolona z tej decyzji. Cieszyłam się, że będę mogła grywać z trenerem. Istotnie wiele skorzystałam pracując nad sobą bardzo solidnie.

Do turnieju przystąpiłam dobrze przygotowana. Już w pierwszej kolejce gładko pokonałam Angielkę, miss Round. Nie przypuszczałam, że zostanie ona w przyszłości dwukrotną mistrzynią świata. W półfinale spotkałam się z wiotką, bardzo szybko grającą miss Stammers. Miałam tremę, gdyż grała ona lewą ręką, a nigdy dotąd nie spotykałam się z tenisistką walczącą w ten sposób.

Spotkanie ze Stammers wygrałam 6:4, 7:9, 6:2. W finale zmierzyłam się z Amerykanką Nuthall. W pierwszym secie narzuciłam tak wielkie tempo, że przeciwniczka moja straciła głowę, została zepchnięta do defensywy i przegrała „na sucho”. W drugim secie Nuthall czyniła wszystko, aby zwolnić moją grę, i istotnie udało się jej to. Wygrała 6:4. W trzecim secie łapię „drugi oddech” i zwyciężam 6:3.

Mimo tak znacznego sukcesu, prasa fachowa nie szczędziła krytycznych uwag pod moim adresem. Wytykano mi braki przy przyjmowaniu piłek z powietrza, a również złe smeczowanie. Radzono, abym grywała więcej z trenerami, a rzadziej uczestniczyła w turniejach, gdyż zbyt częste mecze osłabiają system nerwowy.

Krytykę tę uważałam za bardzo słuszną, orientowałam się bowiem doskonale w popełnianych błędach, które już spowodowały niejedną porażkę.

Wracam do Krakowa i dowiaduję się, że do Warszawy przybył trener francuski Estrabeau, który przygotowywał naszych tenisistów do spotkania z Holandią o Puchar Davisa. Jadę więc do stolicy. Trenuję tu z Francuzem, korzystając z jego wskazówek. Grywam również z naszymi czołowymi tenisistami — muszę się przyznać, że zawsze wołałam trenować z mężczyznami, których silne piłki zmuszały mnie do najwyższego wysiłku.

Po zakończeniu obozu treningowego w Warszawie wyjeżdżam na turniej do Wiednia. Startuje tam również Helena Jacobs, a więc zapewne dojdzie pomiędzy nami do rewanżowego pojedynku. W półfinale zwyciężam Węgierkę Baumgarten 6:2, 6:1 i tak jak przewidziałam spotykam się z Heleną.

Niestety pogoda nie dopisuje. Wchodzimy na boisko po długotrwałym deszczu. Bardzo nie lubię takich rozmokniętych i śliskich kortów, na których czuję się niepewnie. Obawiam się o nogę, która od czasu wypadku w Krakowie stała się moją prawdziwą „piętą achillesową”.

Jacobs uzyskuje prowadzenie 3:1, później 4:2. Zbieram wszystkie siły, atakuję doprowadzając do 5:5. Helena jeszcze raz zyskuje przewagę 6:5, lecz nie myślę kapitulować — wyrównuję. Wygrywam następnego gema i czuję, że wreszcie wpadłam w uderzenie, że moje piłki odzyskały odpowiednią długość i siłę. Wydaje mi się, że seta muszę wygrać, niestety, zaczyna znów padać deszcz. Ulewa jest tak wielka, że uciekamy z kortu.

Mecz został wznowiony dopiero po dłuższym czasie. Powracam na boisko jeszcze bardziej śliskie. Już nie mogę wpaść z powrotem w uderzenie. Przegrywam dwa kolejne gemy, oddaję seta.

W czasie drugiego seta deszcz nie przestaje padać. Ślizgam się co chwila, tracę równowagę. Amerykanka prowadzi 5:3. Czyż mam zrezygnować ze zwycięstwa...? Nie! Muszę walczyć do ostatka. Zdejmuję pantofle, aby się nie ślizgać. W samych skarpetkach czuję się pewniej i doprowadzam stan gry do 6:6. Deszcz zmienia się teraz w ulewę. Jestem cała przemoczona, nogi bołą mnie coraz bardziej. Każdy krok sprawia ból. Przegrywam drugiego seta i mecz.

W szatni zdejmuję skarpetki, stopy mam pokrwawione i całe w bąblach. Jacobs zrewanżowała się za berlińską porażkę.

Z Wiednia jadę na doroczny turniej o międzynarodowe mistrzostwa Francji. Pociąg zbliża się do Paryża. Przypominam sobie ów dzień, kiedy po raz pierwszy przybyłam do Francji i zablakałam się w nieznanym mieście. Teraz jestem już doświadczoną podróżniczką i nie boję się żadnych tego rodzaju przygód. Udam się na dobre mi już znane korty Roland Garros i dowiaduję się, że na mojej drodze znów staje Hilda Krahwinkel. Jestem zła i załamana, tracę cały zapał do gry. Zamiast opracować plan taktyczny meczu z Hildą — myślę tylko o tym, w jakim stosunku Niemka mnie pokona.

I tym razem uległam mojej „zmorze”, a porażkę moge zapisać przede wszystkim na konto złej formy psychicznej.

W Paryżu jedyną pociechą był dla mnie wielki sukces Józefa Hebdy, który po wspaniałej walce pokonał Australijczyka Mac Gratha — zawodnika o światowej sławie. Mac Grath był znany z tego, że gdy otrzymał piłkę na prawą stronę, chwycił rakietę oburącz i w uderzenie wkładał całą siłę. Jego piłki były niesłychanie mocne i trudne do przyjęcia. Hebda bardzo inteligentnie mijał rywala precyzyjnymi piłkami przy siatce, czym doprowadzał go do rozpacz. Ostatecznie Hebda zwyciężył 8:6, 6:2, 7:9, 9:7. Niestety, radość nasza trwała krótko, na drugi dzień Hebda, wyczerpany ciężką walką, uległ mało znanemu Anglikowi Wilde.

Z Paryża miałam udać się wprost do Londynu, aby trenować na trawiastych placach. Musiałam jednak wracać do kraju, okazało się bowiem, że kasa naszego Związku jest pusta i na mój wyjazd zabrakło pieniędzy. Wspomnę tu, że finanse Polskiego Związku Tenisowego były ściśle uzależnione od meczów o Puchar Davisa, które zawsze wywoływały największe zaniepokojenie i ścigały tysiące widzów. W tym roku wylosowaliśmy mecz z Holandią w Hadze. Byliśmy niemal pewni zwycięstwa i szykowaliśmy się do następnego spotkania, które miało się odbyć z Niemcami w Warszawie. Kierownictwo naszego tenisa liczyło, że właśnie ta impreza wywoła olbrzymie zainteresowanie i zgromadzi tłumy na trybunach. Tymczasem gracze nasi zawiedli w Holandii

Wimbledon 1937. Za chwilę rozpocznie się zażarta walka w półfinale między Jędrzejowską i Alicją Marble (USA)



Przed meczem finałowym z Dorotą Round





Po kontuzji doznanej w... pociągu ekspresowym Chicago — Los Angeles Jędrzejowska schodzi o kulach z trapu „Batorego” w towarzystwie skarbnika PZT Zielińskiego



Podczas pobytu w Atenach Jędrzejowska odwiedziła zwyciężcę maratonu z 1896 r. słynnego Greka Luisa

I mimo starannego przygotowania przegrali 2:3. Przyczyną klęski stała się przede wszystkim gra podwójna. Tenisiści nasi mieli zawsze tendencje do gry indywidualnej i nie potrafili walczyć zespołowo.

Tak więc zostaliśmy wyeliminowani z gier pucharowych. Ze spodziewanymi dochodami z meczu z Niemcami trzeba się było pożegnać, cały plan finansowy Związku zawalił się w gruzy.

Musiałam więc pojechać do Wimbledonu na kilka zaledwie dni przed rozpoczęciem turnieju. Wiem, że jestem źle przygotowana, a na domiar złego przechodzę okres spadku formy. Na początek wygrywam z nieznaną Angielką Mac Dean 3:6, 6:0, 6:2, w następnej kolejce spotykam się z Niemką Horn — dobrze mi znaną zawodniczką. Gram fatalnie, nie wychodzą mi piłki serwisowe. Dość powiedzieć, że w ciągu meczu straciłam aż 8 podań, które powędrowały w siatkę lub na aut. Przegrałam gładko 3:6, 3:6.

Wracam do kraju i staram się unikać większych turniejów, poświęcając czas na treningi. Dopiero późną jesienią biorę udział w meczu Polska — Czechosłowacja w Pradze i zdobywam punkt dla naszych barw. Z Pragi przez Monachium jadę na tradycyjny turniej do Meranu. Jak rokrocznie, biorę udział w dwóch konkurencjach: w turnieju otwartym oraz w grach o Puchar Lenza (na punkty). W konkurencji indywidualnej biję Włoszkę Riboli 10:8, 6:2 i w finale zwyciężam dobrą Francuzkę Henrotin 6:3, 6:3.

Dużo silniejsza była rywalizacja w turnieju o puchar. Niemki — Aussem i Krahwinkel — nie startowały w konkurencji otwartej, oszczędzając siły na rozgrywki punktowe. Pierwszą moją przeciwniczką była Cilly Aussem. Jest to zawodniczka małego wzrostu o filigranowej budowie. W pierwszym secie moje piłki „ciężkiego kalibru” niemal zmiatają ją z kortu. Wygrywam 6:0, lecz już na początku drugiego seta orientuję się, że popełniłam fatalny błąd: źle rozłożyłam siły, zbyt wiele energii zużyłam w początkowej fazie gry — teraz oddycham coraz ciężiej, nogi stają się jak ołowiane. Następne sety przegrywam 2:6, 3:6.

Z Krahwinkel walczę już po raz siódmy w życiu i siódmy raz schodzę z kortu pokonana — 2:6, 3:6. Pozostaje mi jeszcze jedno spotkanie z Włoszką Valerio, tenisistką

bez polotu, lecz bardzo regularną i inteligentną taktyczką. W pierwszym secie nie mogę wpaść w uderzenie i przegrywam, lecz w drugim już czuję się dobrze i przechodzę do ataku. W pewnej chwili piłka pada przy samej siatce, biegnę, aby ją odbić, i nagle odczuwam dotkliwy ból w nodze.

Zniesiono mnie z kortu. Na szczęście wypadek ten nie był groźny, lecz przez kilka tygodni nie mogłam grać.

Zimę spędzam w Krakowie. Moja starsza siostra Zosia otrzymała posadę, pracuje w firmie Solvay pod Krakowem. Przykro mi, że siedzę w domu i nie pomagam rodzicom. Uzyskanie odpowiedniej pracy stało się poważnym problemem. Jeślibym się zdecydowała na posadę w którejś z firm prywatnych czy też w przedsiębiorstwie państwowym, musiałabym pożegnać się na zawsze z tenisem wyczynowym. Wiedziałam, że żaden dyrektor nie zwolniłby mnie na ani jeden turniej, a gdybym pozwoliła sobie na opuszczenie choćby kilku dni, zostałabym zwolniona z pracy.

Czy mam tylko grywać w tenisa?... Jestem zbyt rozsądna, abym wybrała tę drogę.

Gdy tak rozmyślałam o mej przyszłości, zjawił się w Krakowie jeden z warszawskich tenisowych działaczy i przedłożył mi konkretne propozycje: zaproponował mi, abym przeniosła się do Warszawy i została zawodniczką Legii. Klub ten posiadał własne korty, przejawiał dużo ruchliwości i inicjatywy, organizując wiele spotkań międzynarodowych. Legii zależało bardzo, abym grywała w jej barwach.

Obiecano mi mieszkanie oraz posadę...

— Jak to?... A więc będę mogła pracować i grywać w tenisa?

Wyjaśniono mi, że mam otrzymać pracę w przedstawicielstwie firmy Dunlop. Podczas zimy praca w biurze — ale w sezonie mogę dowolnie grywać w tenisa, pod warunkiem jednak... używania tylko rakiet Dunlopa.

Wielkie firmy produkujące sprzęt tenisowy angażowały niemal wszystkich czołowych graczy. Do ich obowiązków należało grywanie rakietami produkowanymi przez wskazaną fabrykę. Dowiedziałam się, że w Anglii wszystkie turnieje z wyjątkiem Wimbledonu i Queens Clubu organizowane są wyłącznie przez wytwórnię sprzętu tenisowego. One to finansują tego rodzaju imprezy i dele-

gują swych graczy, którzy jednocześnie kierują zawodami.

Dla licznych sportowców system ten był wysoce demoralizujący. Przemysłowcy dawali im do ręki łatwy kawałek chleba. Wielu sławnych tenisistów nie zdobywało żadnego fachu. Starzeli się, przestawali grywać, sława przemijała z wiatrem, a byli mistrzowie stawali się jednostkami społecznie bezużytecznymi.

Nadszedł dzień pożegnania z moim domem w parku krakowskim, z którym łączyły mnie tysiące wspomnień.

Matka stała na progu. Nie zapomnę jej łez. Już nigdy nie będziemy razem, już nigdy nie powrócę do domu i nie podzielę się wiadomością o zwycięstwie, a matka nie będzie mnie pocieszać po klęsce.

Ilekoć bywam dziś w Krakowie, staram się odszukać tak drogie memu sercu miejsca. Niestety, nic z nich nie pozostało. Tam, gdzie stał nasz dom i znajdowały się korty, przebiega dziś ulica.

Po przyjeździe do Warszawy okazało się, że znalezienie mieszkania nie jest sprawą łatwą. Wszelkie poszukiwania nie dały rezultatu. Skończyło się na tym, iż wraz z siostrą musiałam zamieszkać w pokojach umeblowanych.

*Spotkanie z Cilly Aussem • Znów Helena Jacobs... • Incydent graniczny o... moją rakieta • Czy wolno poddać się Mathieu? • Kilka słów o tenisowej „elicie”*

O Cilli Aussem już wspominałam. Zapomniałam jednak wtedy powiedzieć, iż Aussem w 1931 roku odniosła wielki sukces, wygrywając mistrzostwo Wimbledonu. Cilly była groźną rywalką, ponieważ zawsze umiała skoncentrować się na korcie i wówczas, gdy jej przeciwniczka najmniej się tego spodziewała, rozpoczynała kontratak, który zazwyczaj przynosił jej zwycięstwo. Miała dar szybkiego spostrzegania błędów partnerki i potrafiła zawsze zaatakować najsłabszą stronę rywalki.

Właśnie z Aussem miałam stoczyć mecz rewanżowy w ramach międzynarodowych mistrzostw Francji w Paryżu. Czulałam się wówczas dobrze i wierzyłam w możliwości zwycięstwa. Niestety, w czasie meczu słońce paliło niemiłosiernie. Oczywiście upał jednakowo ujemnie wpływał na grę tak moją, jak i Aussem. Tak, niewątpliwie nie pomagał on Cilly, ale mnie bardzo przeszkadzał. Możliwe, że byłam zbyt tęga i w czasie upałów męczyłam się szybciej niż inne tenisistki o drobniejszej budowie. A Aussem, jak już wspominałam, była mała i ważyła o wiele mniej ode mnie.

Na początku spotkania przypuściłam gwałtowny atak, który przyniósł mi seta 6:3. W drugim — Cilly starała się męczyć mnie krótkimi piłkami plasowanymi po rogach. Musiałam wiele biegać i odczuwałam coraz większe zmęczenie. Tę partię oddałam rezerwując siły na decydującego seta.

W trzecim gram dobrze, moje piłki nabrały regularności i mocy. Gdy prowadziłam 6:5, pozostawała już tylko jedna piłka do wygrania meczu. Ryzykuję bardzo silny

drajw i już w momencie uderzenia wyczuwam, że Aussem nie będzie mogła go przyjąć. Dostrzegam, jak piłka pada w sam róg, a Cilly czyni rozpaczliwy wysiłek, aby ją odbić. Na próżno, Aussem załamuje ręce na znak poddania. Sędzia główny ogłasza moje zwycięstwo. Lecz co to...? Sędzia liniowy protestuje: „Piłka była zła”.

Muszę grać dalej, lecz teraz już wiem, że przegrałam. W tę ostatnią piłkę włożyłam resztki sił. Jestem bardzo zmęczona, nie potrafię nadal walczyć, tym bardziej że nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Aussem błyskawicznie orientuje się w sytuacji, zwalnia grę i miękkimi piłkami wybija mnie z uderzenia. Seta przegrałam 6:8. Mecz ten był jednym z najbardziej dramatycznych w mojej karierze tenisowej.

Aussem była tak wyczerpana, że o własnych siłach nie mogła pójść do szatni.

W Paryżu otrzymałam depezę, abym powracała do kraju, w Krakowie bowiem miał się rozegrać mecz kobiet Polska — Niemcy. Wygrałyśmy 3:2. Zwyciężyłam wówczas dobrą zawodniczkę niemiecką Kapel 6:1, 6:2.

Po tej imprezie poświęcam sporo czasu na treningi, oczekuje mnie bowiem wyprawa wimbledońska. I tym razem zakończyła się ona niepowodzeniem. W czwartej kolejce stałam do walki z drugą tenisistką Ameryki, Palfrey. Nie mogę opanować nerwów, gram źle i zostaję pokonana 2:6, 2:6.

W Wimbledonie zdarzył się wypadek na pozór drobny, lecz świadczący o psychice gospodarzy. Do Londynu przyjechał Tilden i poprosił organizatorów o bezpłatny bilet na turniej. „Big”, jako zawodowiec, nie mógł oczywiście brać udziału w rywalizacji.

Niemal wyśmiano go i odmówiono karty wstępu. Człowiek, który jeszcze przed kilku laty ściągał tłumy widzów do Wimbledonu i przynosił organizatorom wielkie zyski, teraz został przez nich wyrzucony za drzwi. W Wimbledonie nie ma miejsca na sentymenty, tam panuje tylko business.

Wypadek ten był żywo komentowany przez światek tenisowy i wywołał przykre refleksje.

Z Londynu powracam do Warszawy i startuję w meczu Polska — Dania. Nigdy się nie spodziewałam, że i teraz los zgotuje mi niespodziankę i będę musiała walczyć z Hildą Krahwinkel...

Hilda już nie nazywa się Krahwinkel, wyszła za mąż za Duńczyka Sperlinga, przedstawiciela jednej z firm fabrykujących rakietę. Automatycznie zmieniła paszport i teraz reprezentuje barwy duńskie. Państwo Sperling podróżują po całym świecie, grają w turniejach i reklamują swe rakietę... Powodzi im się doskonale.

Zmiana paszportu bynajmniej nie wpłynęła na formę pani Sperling. W Warszawie grała doskonale i tradycyjnie wygrała 7 : 5, 6 : 4.

Bilans 1934 roku zamykam bardzo niepomyślnie, gdyż na zakończenie sezonu odbyły się międzynarodowe mistrzostwa Polski i w finale przegrałam z Horn 5 : 7, 6 : 3, 6 : 8. Jak wskazuje wynik, walka była bardzo zażarta. Niestety, nie potrafiłam zdobyć się na ostateczny zryw, który zapewniłby mi zwycięstwo.

Rok 1935 rozpoczynam pełną zapału, z mocnym postanowieniem powetowania zeszłorocznych niepowodzeń. Na wiosnę wyjeżdżam do Rzymu i odnoszę pierwszy sukces w grze mieszanej. Grałam wtedy z doskonałym deblistą australijskim Hopmanem i w finale „rozłożyliśmy” świetną parę angielską Hearman — Hughes.

W drodze powrotnej zatrzymuję się w Wiedniu i tam biorę udział w mistrzostwach Austrii. Konkurencja jest jednak słaba, wygrywam bez trudu, bijąc w finale Herbst. W kraju uczestniczę w mistrzostwach Polski, zwyciężając w finale Volkmerównę 6 : 1, 6 : 3.

Zbliża się Wimbledon... Wyjeżdżam dość wcześnie do Londynu i startuję w turnieju Queens Club. Spotykam się z Francuzką Henrotin, z którą gram na śliskim korcie. Czuję się niepewnie i przegrywam gładko 1 : 6, 2 : 6. Porażka ta jest dla mnie dzwonkiem alarmowym przed Wimbledonem. Uświadamiam sobie, że nadal nie umiem grać przy siatce, że jestem zbyt ociężała i mało odporna psychicznie.

Pewnego rodzaju pocieszeniem był dla mnie sukces w grze podwójnej. Znalazłam inteligentną partnerkę, miss Noel, z którą się dobrze rozumiemy. Wygrywamy turniej w Queens Club, bijąc w finale Australijki Hartigan i Hopman 8 : 6, 4 : 6, 6 : 4. Od tej pory grywam już często w deblu i wraz z Noel osiągam wiele sukcesów.

W Wimbledonie wystartowałam dobrze i początkowo walczę szczęśliwie. Spotykam się z Włoszką Valerio, którą eliminuję 6 : 4, 6 : 2. W następnej kolejce biję Angiel-

kę Ford 6 : 0, 8 : 6. Teraz na mojej drodze wyrasta znana zawodniczka angielska Whittingstall. I tę przeszkodę przezwyciężyłam kwalifikując się do jednej ósmej finału. Cóż, kiedy w mej ćwiartce znalazła się Helena Jacobs. Gramy na korcie centralnym, trybuny są wypełnione. Odczuwam wyraźną treść. W pierwszym secie jestem sztywna i zbyt mało ruchliwa. Jacobs często atakuje przy siatce i zabija moje piłki. Przegrywam seta 1 : 6. W drugim zaczynam panować nad nerwami, gra coraz bardziej się zaostrza. Helena walczy świetnie, na nic nie przydały się moje silne draywy. Seta przegrywam 7 : 9 i muszę znów pożegnać się z Wimbledonem.

Po mistrzostwach wimbledońskich zostałam zaproszona na kilka turniejów, które odbywały się na prowincji. We wszystkich tych zawodach zdobywam pierwsze miejsca. Zwiedzam Newport, Birmingham i Sheffield.

W Birmingham poznaję Chilijkę Anitę Lizanę. Była to tenisistka obdarzona bardzo dużym temperamentem, biegła po korcie jak urodzona sprinterka. Jakkolwiek pokonałam ją dwukrotnie, byłam przekonana, że ta dziewczyna w przyszłości stanie się moją groźną rywalką.

Nadszedł czas powrotu do Polski. Wsiadam na jeden z polskich okrętów, „Warszawa”, który odpływał z Londynu do Gdańska. Wiozę ze sobą wiele zdobytych nagród, między którymi były również rakietę. Na wszelki wypadek wystarałam się o zaświadczenie naszych władz konsularnych, że są to pamiątki.

Po przybyciu do Gdańska przedstawiłam zaświadczenie władzom celnym, które nie czyniły mi żadnych trudności. Pożegnałam się z załogą i opuściłam pokład. Wówczas podeszło do mnie dwóch młodych ludzi ubranych po cywilnemu.

— Zostanie pani poddana rewizji — powiedzieli po niemiecku.

Zaprotestowałam gorąco, lecz nie było rady — musiałam się udać do strażniczej budki, gdzie odbyła się powtórna rewizja moich bagaży.

— Tych raket pani nie zawiezie do Polski — oświadczoneo kategorycznie.

Pokazałam im jeszcze raz zaświadczenie z konsulatu. Jeden z tych panów złapał dokument i rzucił go na ziemię.

— Dla nas ten polski świstek nie posiada żadnej wartości — oświadczył z niekłamana złością.

Zorientowałam się, o co chodzi i kim są ci ludzie. Byli to tajni policjanci gdańscy, którzy mieli wyraźne instrukcje szykanowania Polaków w Gdańsku. Hitlerowskie macki ogarniały coraz silniej miasto...

— Rakiety konfiskujemy...

Tu wtrącił się do rozmowy kapitan okrętu, o ile dobrze pamiętam nazywał się Stankiewicz.

— Rakiety zabieram z powrotem na statek — oświadczył spokojnie.

Policjanci obrzucili go nienawistnym wzrokiem, lecz nic nie mogli uczynić. Kapitan zabrał moje bagaże na pokład. Ja również udałam się do swojej kajuty. Za kilka godzin odpłynęliśmy do Gdyni, gdzie już oczywiście nie czyniono mi żadnych trudności.

Po powrocie do Warszawy dowiaduję się, że mam się udać do Hamburga na międzynarodowe mistrzostwa Niemiec. Był to zwykle bardzo ciężki turniej, w którym była ogromna konkurencja.

W ćwierćfinale spotkałam się z Horn. Dotychczas jeszcze nigdy nie wygrałam z tą tenisistką. Była szybsza ode mnie i lepiej grała przy siatce. Do pojedynku z Niemką przygotowałam się starannie, obmyślając z góry taktykę gry. Ostatnio nauczyłam się stosować tak zwane „dropszoty”; są to piłki skracane, które trafiają blisko przy siatce i podcięte spadają jak kamień na kort, robiąc tylko małe „kozioł”. Do tego rodzaju niespodziewanych piłek jest bardzo trudno podbiec. Dezorientują one przeciwnika i bardzo go wyczerpują.

Atakowanie dropszotami jest jednak bardzo trudne i ryzykowne. Trzeba dobrze opanować technikę gry. Tego rodzaju piłki często grzęzną w siatce, a ryzyko polega na tym, że jeśli przeciwnik szczęśliwie dobiegnie — przerzuca piłkę na drugą stronę siatki w sposób trudny do przyjęcia.

Za pomocą dropszotów postanowiłam walczyć z Horn i taktyka ta przyniosła mi sukces — po raz pierwszy pokonałam Horn 6:3, 8:6. Walka jednak była niezwykle zacięta, szczególnie w drugim secie, kiedy Niemka prowadziła 5:3 i miała decydującą piłkę.

Dochodzę do półfinału, lecz tu znów na mojej drodze stanęła groźna Niemka, dobrze mi znana Aussem. Skrót

nie pomogły, lekka i zgrabna Cilly dobiegała do piłki doskonale. Przegrałam dość gładko 2:6, 4:6.

Sukcesy zaczęłam odnosić dopiero przy końcu sezonu 1935 roku. W październiku brałam udział w dorocznym turnieju w Meranie. Rywalizacja zapowiadała się bardzo groźnie. Dowiaduję się, że przybyły moje największe konkurentki: Horn, Krahwinkel i Mathieu.

W grach o Puchar Lenza zwyciężam młodzieńką i zgrabną Belgijkę Adamson 6:3, 6:3 i w następnym meczu spotykam się z Krahwinkel-Sperling. Do tego spotkania przystępuję z wielką ambicją — tak bardzo chciałam pokonać Hildę... Wprawdzie i tym razem zostałam pokonana, ale po raz pierwszy zdołałam odebrać „zmorze” jednego seta. Pojedynek przegrywam 7:5, 2:6, 3:6, lecz wynik podnosi mnie na duchu i teraz już wiem, że nadejdzie moment, w którym zrewanżuję się Hildzie za wszystkie czasy.

Podczas walki często chwytali mnie kurcze w nodze, co niewątpliwie było wynikiem niedostatecznego przygotowania kondycyjnego. Zdaję sobie sprawę, że zbyt mało uprawiam gimnastyki i zaniedbuje pomocnicze sporty.

Następny mecz był niezwykle wyczerpujący. Pokonałam po raz drugi w życiu Horn 6:4, 4:6, 10:8. W trzecim secie walczyłyśmy do upadłego, a Niemka już miała meczową piłkę.

Najbardziej jednak obawiałam się spotkania z Mathieu, pierwszą rakieta Francji. Była to tenisistka świetnie wykształcona technicznie — orientując się szybko w słabych stronach partnerki, potrafiła zawsze wybrać skuteczną taktykę. Już kilka razy spotkałam się z Mathieu na mniejszych turniejach na Riwierze i nigdy nie udało mi się z nią wygrać.

Nim wyszłam na kort, postanowiłam walczyć do ostatniej piłki, do ostatniego tchu! Początkowo staram się oszczędzać siły i wywabiać Francuzkę do siatki za pomocą skrótów, a gdy widzę, że ciężiej oddycha — posyłam bardzo silne piłki na koniec kortu. Wygrywam seta 10:8! Po tym sukcesie jestem wyczerpana, lecz bardzo szczęśliwa — wierzę w ostateczne zwycięstwo. Chcę usiąść choć na jedną sekundę. Nagle słyszę ostry głos Mathieu.

— Nie wolno odpoczywać! Nie wolno siadać!

Poderwałam się na równe nogi. Gramy dalej. Odbieram Francuzce pierwszego gema. Mathieu z wyniosłą mi-

na schodzi z kortu i mówi do swej przyjaciółki — tak głośno, aby ją wszyscy mogli słyszeć:

— Dziś już nie będę grała, lecz jutro pokażę tej małej...

Aha, tak! Rozumiem, o co chodzi. Przecież Mathieu jutro ma się ze mną spotkać powtórnie w drugiej konkurencji — w finale gry otwartej. Francuzka zorientowała się, że przegrywa w walce o Puchar Lenza, wołała więc zaoszczędzić sił na dzień następny i wygrać mistrzostwo Meranu.

Powracam do hotelu. Zastanawiam się, co teraz robić. Pokonałam mistrzynię Francji. Niewątpliwie jest to wielki sukces, co jednak ludzie powiedzą, gdy nazajutrz stanę znów do walki z Mathieu, a ona rozniesie mnie, jak zapowiadała... Powiedzą wtedy, że moje pierwsze zwycięstwo nad Francuzką było przypadkowe.

Długo w nocy nie mogę zasnąć, zadaję sobie pytanie: Czy to będzie po sportowemu, jeśli nie stanę na korcie? Jeżeli nie zgłoszę się do gry, powiedzą, że stchórzyłam, że nie jestem sportsmenką z krwi i kości. Jeśli skapituluję — automatycznie uznają wyższość Mathieu. Prawdziwy sportowiec nie ustępuje z placu boju. Postanowienie zapadło i dopiero wtedy morzy mnie sen.

Gdy na drugi dzień wychodzę na boisko, jestem już zupełnie opanowana i spokojna. Słońce przygrzewa mocno, lecz czuję się dobrze, jestem szczęśliwa, że przełamalam w sobie wahania.

Rozpaczynam od ostrych ataków. Prowadzę 3:1, 3:2, 4:2 i wygrywam seta 6:3. Spostrzegam złość w oczach partnerki, co jeszcze bardziej mnie dopinguje. W drugim secie prowadzę 4:1, później Francuzka czyni olbrzymi wysiłek, aby wyrównać i doprowadzić stan gry do 4:3.

Jedno spojrzenie na drugą stronę kortu wystarcza, abym się zorientowała, że rywalka jest już u kresu sił. Trzeba zatem wzmocnić tempo, zdobyć się na ostatni wysiłek. Nie oddaję więcej gemów. Wygrywam 6:3.

Los chciał, że po kilku dniach znów spotkałyśmy się z Mathieu na turnieju w Lugano. Startowałam wtedy w grze podwójnej z Niemką Friedleben i w finale zmierzyłyśmy się z parą Mathieu — Adamson. Francuzka patrzyła na mnie krzywym okiem, nie mogąc widocznie przeboleć porażki w Meranie. Niestety, i tym razem Mathieu zachowała się nie po sportowemu: gdy wygrałyśmy

pierwszego seta, mistrzyni Francji zeszła z kortu pod pozorem, że jest już zbyt ciemno. Pozwoliłam sobie wówczas na uwagę, że tego rodzaju decyzje należą do sędziego. Mathieu nie nie odpowiedziała wzruszając ramionami.

W czasie mej kariery tenisowej nierzadko spotykałam się z podobnymi wypadkami; wśród tenisistów często zdarzały się niesportowe postęпки. Prawdopodobnie źródło zła leżało w systemie rozgrywania turniejów tenisowych. Dobry tenisista odgrywał rolę czołowego aktora rozbijanego przez wszystkie sceny świata. Tenisista, który wygrywał, stawał się kasowy i otrzymywał zewsząd zaproszenia na turnieje. Gracze z łatwością omijali przepisy o amatorstwie, a zdarzali się tacy, którzy okrążyli rok podróżowali z turnieju na turniej.

W Europie powstała „elita tenisowa” i aby się w niej utrzymać, trzeba było zwyciężać. Dlatego też często wytwarzała się niezdrowa atmosfera dążenia do wygrywania za wszelką cenę.

Zimą 1935—36 roku spędziłam w Warszawie. Pracuję w biurze, w przedstawicielstwie rakiet i piłek Dunlopa. Praca idzie mi dobrze, jestem z niej zadowolona. Jaka szkoda, że w stolicy nie ma krytego kortu! O regularnym treningu nie ma mowy.

Stęskniłam się za tenisem i jestem bardzo szczęśliwa, że Związek postanowił wysłać mnie na Riwierę już w lutym. Po 40-godzinnej podróży przybywam do Monte-Carlo. Tam przyjaciele witają mnie wiadomością, że na La-zurówce Wybrzeże przyjechała bardzo silna tenisistka — miss Stammers, którą klasyfikowano jako trzecią raketę świata.

Byłam ciekawa, jak gra ta „nowa gwiazda”. Wkrótce mogłam się przekonać; spotkałyśmy się na kortach Monte-Carlo.

Stanęłam do walki bardzo stremowana i przekonana, że oczekuje mnie ciężki mecz. Tymczasem bez trudu wygrywam 6:4, 6:0. Wynik ten budzi zdziwienie na Riwierze. Miejscowi dziennikarze starali się usprawiedliwić Stammers tym, iż nie zdążyła się zaaklimatyzować. Zapomnieli, że przecież i ja przybyłam do Monte-Carlo zaledwie przed kilku dniami, a w zimie zupełnie nie startowałam.

— Stammers zrewanżuje się jej w najbliższym turnieju w Mentonie — przepowiadali złośliwi.

W tej chwili jednak nie myślę o tym rewanżu, czeka mnie bowiem gra finałowa z Mathieu w Monte-Carlo. Wiem, że Francuzka od kilku tygodni trenuje na południu Francji i doszła już do formy. Istotnie, przekonałam się wkrótce, że Mathieu osiągnęła doskonałą kondycję — wygrała ze mną 6:1, 6:4, rewanżując się sownie za dwie porażki w Meranie.

## R O Z D Z I A Ł   D Z I E W I A T Y

1800 km w powietrzu \* Nowy incydent graniczny... o kwiaty \* Jestem na stadionie olimpijskim \* Spotkanie z pierwszym mistrzem maratonu

**Z** Monako udajemy się do Mentony, miejscowości pięknie położonej w pobliżu granicy włoskiej. Tam w półfinale „wpadam” na Stammers i po raz drugi biję ją 6:4, 9:7. Mecz był o wiele trudniejszy niż w Monte-Carlo, szczególnie w drugim secie walka rozgorzała na dobre. Prowadziłam już 5:2 i wtedy niepotrzebnie zlekceważyłam przeciwniczkę. Stammers zdołała wyrównać i musiałam dać z siebie wszystko, by uzyskać zwycięstwo. Uodowodniłam jednak, że mój sukces w Monte-Carlo nie był przypadkowy.

Turniej w Mentonie wygrałam zwyciężając w finale Francuzkę Beillard 6:2, 6:1.

Następnie pojechalismy do Cannes i tam w końcowej grze zmierzyłam się znów z Mathieu.

Mecz trwał dwie i pół godziny, obie walczyliśmy do upadłego. W drugim secie obroniłam cztery piłki meczowe, lecz w trzecim nie mogłam już biegać — odparzyłam piętę. Francuzka wygrała w trzech setach.

Na ogół byłam zadowolona z pobytu na Riwierze, wydaje mi się, że mimo porażek z Mathieu grałam dobrze i poczyniłam postępy.

Po zakończeniu sezonu na Lazurowym Wybrzeżu powracam do Polski, lecz zaraz po przyjeździe muszę się znów pakować: nasza drużyna tenisowa została zaproszona na międzynarodowe mistrzostwa Grecji w Atenach. Cieszę się bardzo, że zobaczę ten kraj i jego historyczne zabytki.

Mamy lecieć samolotem. Jeszcze nigdy nie odbywałam tak długiego lotu (przeszło 1800 km) i nie wiem, czy go dobrze zniosę. Na lotnisku warszawskim wsiadamy do

„fokkera”. Tego rodzaju samoloty wyszły obecnie z użycia, gdyż były zbyt powolne. Rano wystartowaliśmy z Okęcia, a gdzieś w godzinach popołudniowych znaleźliśmy się w Bukareszcie, przenocowaliśmy tam i na drugi dzień odlecieliśmy do Sofii. Po krótkim postoju wzniesiliśmy się na wysokość 5000 m, aby pokonać pasmo Bałkanów.

Był to najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny odcinek trasy. Lecieliśmy wysoko nad warstwą gęstych obłoków, przez które od czasu do czasu przebijały się wierzchołki szczytów, czyniąc wrażenie małych wysepek. Wiatr rzucał naszym samolotem jak piórkiem.

Nagle nasza maszyna zaczęła pikować na łeb — na szyję. Samolot rozpoczął lądowanie w Salonikach, gdzie lotnisko mieści się na wąskim pasku ziemi pomiędzy górami a morzem. Nasz „fokker” spada niemal prostopadłe, gdyż w inny sposób nie może podejść do lądowania. Taką nagłą zmianą wysokości jest bardzo męcząca dla pasażerów, w uszach nieznośnie szumi.

W Salonikach musieliśmy się przesiąść na samolot grecki, który ma nas wieźć do Aten. Załatwiamy formalności graniczne i celne.

Wkrótce zapraszają nas do greckiego samolotu i wtedy spotkał mnie niespodziewany wypadek. Kiedy wsiadałam do kabiny, zatrzymał mnie któryś z urzędników celnych. — Pani musi oddać te kwiaty...

Zdziwiłam się bardzo, gdyż nikt nigdy na żadnej granicy nie odbierał mi kwiatów. Nie chciałam oddać bukiecik, który otrzymałam przed odlotem w Bukareszcie.

Nie było jednak rady, musiałam pożegnać się z moją wiązką. Jak mi później wyjaśniono, w północnej części Grecji panowała zaraza na pewne gatunki roślin i dlatego nie wolno było przewozić kwiatów na południe. Zaraza ta wygasła... przed kilkunastu laty, lecz biurokracja zwyciężyła: przepis nadal pozostał w mocy.

Samolot nabierał wysokości, lecieliśmy teraz nad morzem, od czasu do czasu mijając małe wysepki, które czyniły wrażenie kwiecistych plam. Na lotnisku w Atenach oczekiwali nas gospodarze, a wraz z nimi jedna z moich rywalek — Horn.

Wyprawa ta była jedną z najprzyjemniejszych w moim życiu. Ponieważ do rozpoczęcia turnieju pozostawało jeszcze sporo czasu, mogłam zwiedzać miasto. Podziwiałam

Akropolis, oglądałam muzea i wykopaliska. Z zainteresowaniem oglądałam Stadion Olimpijski, na którym w 1896 roku odbyła się pierwsza nowoczesna olimpiada. Trybuny wznoszące się wokół boiska zbudowane są z marmuru. Na tym stadionie zakiełkowała niegdyś wielka idea wskrzesiciela nowoczesnych olimpiad Pierre de Coubertina, który marzył, aby igrzyska stały się ogniwem braterskiego zbliżenia pomiędzy narodami pięciu części świata (pięć kół olimpijskich) i były po wieczne czasy wielkim świętem pokoju — tak jak to działo się w starożytnej Grecji.

Nikt w końcu dziewiętnastego stulecia nie spodziewał się tak olbrzymich postępów lekkoatletyki. Stadion od dawna był za mały. Dzisiejsi miotacze wyrzucaliby dyski czy oszczepy poza granice stadionu.

Muszę się przyznać, że wobec tych nowych wrażeń tenis zeszedł na drugi plan, a termin rozpoczęcia turnieju zbliżał się szybko. Zaczęłam więc treningi na ateńskich kortach i przekonałam się, że są bardzo kiepskie. Place były twarde i pokryte żwirem. Gospodarze tłumaczyli, że w greckim klimacie nie można budować boisk *en tout cas* — takich, jakie istnieją niemal w całej Europie.

Na kortach ateńskich nie czułam się dobrze, piłka czyniła nieprawidłowe odskoki. W półfinale z trudem pokonałam Horn 6:2, 2:6, 6:2, w finale natomiast przegrałam tradycyjnie z Krahwinkel-Sperling 1:6, 4:6. Grałam źle, trzymając się kurczowo głębi kortu, zamiast ryzykować wycieczki do siatki, które mogłyby zdezorientować przeciwniczkę.

Sukces odniosłam tylko w grze mieszanej; wraz z Józefem Hebdą zdobyliśmy mistrzostwo Grecji, bijąc w finale parę niemiecko-francuską Horn — Journu 3:6, 7:5, 6:1.

Początkowo szło nam źle, bo Józek nie miał zaufania do mojej gry i często wpadał na moją część kortu, zabierał mi piłki niemal z rakiety i pudłował. Dopiero po cząwszy od drugiego seta, zaczęliśmy współpracować lepiej i uzyskaliśmy widoczną przewagę.

Po zakończeniu turnieju pozostawało jeszcze kilka dni do odlotu. Któregoś poranka zapytałam moich greckich przyjaciół, czy żyje jeszcze Luis — zwycięzca pierwszego maratońskiego biegu z 1896 roku.

— Pani chciałaby go poznać? Staruszek bardzo lubi

odwiedziny sportowców. Możemy do niego pojechać. Mieszka w małym miasteczku położonym 12 km od Aten.

Zgodziłam się z entuzjazmem. Nasz samochód mknął przez przedmieścia Aten, wreszcie wjechaliśmy na szosę wijącą się wśród pagórków porośniętych karłowatymi drzewkami. Od czasu do czasu strzelały w górę cyprysy królujące pomiędzy oliwkowymi gajami.

Samochód zatrzymuje się na rynku małego greckiego miasteczka o nazwie Amaroussi. Szare, biedne domki otaczały rynek. Dopytujemy się o Luisa. Całe miasteczko zostaje w jednej chwili poruszone. Kilku chłopców wyrusza na poszukiwanie maratończyka. W domu go nie ma. Odnaleźliśmy go w małej kawiarence przy szklance wina.

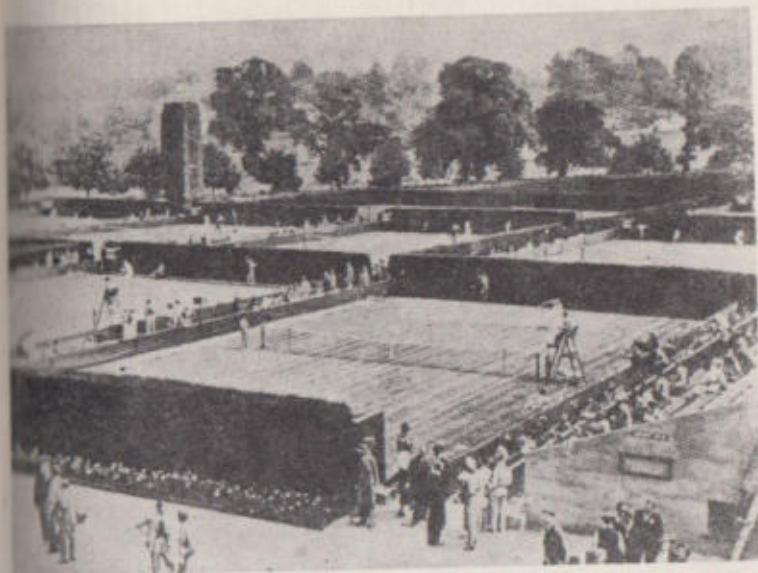
Był to staruszek bliski siedemdziesiątki, bardzo ubogo ubrany: miał na sobie wyszarzały garnitur, którego się wyraźnie wstydził, i coś tam przebąkiwał, że gdybyśmy mu złożyli wizytę w niedzielę, byłby ubrany w odświętny, piękny strój. Luis zaprasza nas do swego domku. Przekraczamy próg skromnej izby. Nigdy bym nie przypuszczała, że tu właśnie mieszka człowiek, którego przed czterdziestu laty nosiła na rękach cała Grecja, człowiek, który stał się bożyszczem tłumu, którego sam król podejmował bankietem. Po sławie nie pozostało już nic. Bieda zadomowiła się w tej niewielkiej izbie. Dostrzegam jedyną pamiątkę — wisząca na ścianie akwarela przedstawia moment, gdy Luis pierwszy wbiega na stadion olimpijski, a król Grecji podchodzi, aby mu złożyć gratulacje.

— Zapewne król wyznaczył panu dożywotnią rentę? — zapytuje przy pomocy tłumacza.

Staruszek wzrusza ramionami i dość smutnie się uśmiecha.

— Ja, proszę pani, pracuję i żadnej emerytury nie posiadam. Jestem pomocnikiem burmistrza.

Rozmawiamy o tym sławnym maratonie. Dostrzegłam błysk w oczach staruszka. Opowiadał, jak na osiem dni przed pierwszą olimpiadą, gdy miał lat 27 i pasał owce na sąsiednich stokach, koledzy namówili go, aby spróbował pobiec. Odbił zaledwie jeden trening. W kilka dni później startował w maratonie olimpijskim. Biegł i biegł, niezbyt zdając sobie sprawę, że zwycięża. Startowało wówczas 17 rywali, wszyscy poodpadali po drodze.



*Słynne korty trawiaste Wimbledonu*



*Anita Lizana (Chile)*



*Elżbieta Ryan (USA)*



„Big Bill” — William Tilden, jeden z najslawniejszych tenisistów świata

— Gdy wygrałem bieg — wspomina Luis — całe Ateny przybyły tu do naszego Amaroussi, aby mi powinszować. Na rynku odbywały się zabawy; tańczono i śpiewano. Lecz potem zapomnieli szybko... — dodaje ze smutkiem. — Teraz bardzo rzadko ktoś mnie tu odwiedza, chyba jakiś zabłąkany dziennikarz...

— A czy po olimpiadzie uprawiał pan nadal sporty?...

Pytanie to zaskoczyło Luisa.

— Po co miałem biegać, przecież już raz wygrałem, a następna olimpiada w Grecji nieprędko się odbyła.

— A te fotografie na ścianie?... Czy to pańscy synowie?

— Tak, mam ich trzech.

— To oni zapewne są doskonałymi sportowcami?

I znów Luis się dziwi, tak jakby moje pytanie było „ni w pięć, ni w dziesięć”.

— Wychowałem ich na oficerów — oświadczył z dumą.

Muszę się przyznać, że było mi trochę smutno i głupio.

Nadeszła chwila pożegnania, Luis prosi, aby pozostać jeszcze chwilę. Podchodzi do szafy, długo szuka i wreszcie pokazuje złoty medal olimpijski. Mam łzy w oczach, gdy ściskam dłoń staruszka.

Kiedy nasz samochód oddalał się szybko, Grek stał jeszcze długo pośrodku rynku, trzymając w ręku jedyną pamiątkę minionej sławy.

Z Aten powracaliśmy do Warszawy również samolotem. Podróż odbyła się z przygodami. Po trzech kwadransach lotu, gdy nasz samolot znajdował się nad morzem, zawrócił nagle i po pewnym czasie wylądowaliśmy z powrotem na lotnisku ateńskim. Okazało się, że jeden z motorów źle działał. Musieliśmy przesiąść się do innej maszyny. Startowaliśmy ponownie i po dwóch godzinach znaleźliśmy się w Salonikach.

Było już zbyt późno, aby przesiąść się na samolot polski. Nocowaliśmy więc w Salonikach — brudnym porcie lewantyńskim. Na drugi dzień nie mogliśmy wystartować, gdyż nad Bałkanami szalały burze śnieżne. W oczekiwaniu na pomyślną pogodę spędziliśmy w Salonikach dwa dni.

Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze raz w Bukareszcie, gdzie serdecznie przyjmowali nas tenisiści rumuńscy, z którymi nawet odbyliśmy krótki trening.

Zwyciężam Jacobs! • Pokonuję Mathieu! •  
Queens Club w obliczu katastrofy • Mistrz  
Wimbledonu na Bermudach • Afisz, na któ-  
rym nie ma Polski

Dajcie mi szklaneczkę *whisky*. Błagam o *whisky*, tylko  
prędko.

Były to pierwsze słowa Amerykanki Heleny Jacobs,  
drugiej rakiety świata, wypowiedziane po zejściu z buda-  
peszteńskiego kortu. Helena była blada jak płótno, kom-  
pletnie wyczerpana ślaniała się na nogach.

Zupełnie inaczej wyglądała, gdy przybywała na stadion  
tenisowy. Przyjechała własną, wytworną limuzyną, którą  
sama prowadziła. Zgrabnie wyskoczyła z auta i pobiegła  
do szatni, aby się przebrać. Niewątpliwie była pewna  
zwycięstwa, gdyż ostatnio przełamała złą passę i odniosła  
nade mną kilka zwycięstw.

Do Budapesztu przybyłam w maju 1936 roku i bardzo  
mi zależało na wygraniu turnieju. W poprzednich dwóch  
latach zdobyłam tytuł mistrzyni Budapesztu. Jeślibym  
wygrała po raz trzeci z rzędu, zgodnie z regulaminem,  
zdobyłabym puchar na własność.

Organizatorom widocznie zrobiło się żal pucharu... Za-  
prosil więc Jacobs, zapewne sądząc, że Amerykanka  
łatwo się ze mną rozprawi i srebrny kubek nadal pozo-  
stanie nad Dunajem.

Do finału doszłam łatwo po zwycięstwie nad  
Austriaczką Krauss 6:2, 6:2. Jediną moją groźną rywal-  
ką była Jacobs.

Pierwszego seta Helena wygrała dość łatwo 6:3, lecz  
w drugim sytuacji zmieniła się zasadniczo. Zaczęłam  
grać wspaniale, urozmaicałam grę różnorodnymi poda-

niami, posyłałam niesłychanie silne, długie piłki, aby za  
chwilę niespodziewanie je skrócić i zmusić rywalkę do  
szybkiego startu. Takie bieganie po całym boisku wy-  
czerpywało wyraźnie Jacobs, która słabła w oczach.

Dlaczego nagle zaczęłam grać tak dobrze?... Czasami  
wpływają na to zupełnie poboczne okoliczności. W pew-  
nej chwili dostrzegłam na trybunie znajomego Węgry,  
którego poznałam przed kilku dniami. Podobał mi się  
bardzo, a po jednej z moich silnych piłek, spostrzegłam  
ukradkiem, jak młody człowiek uśmiechnął się i zaczął  
bić brawo. „Poczekaj — pomyślałam — ja ci pokażę  
jeszcze silniejsze i celniejsze piłki”.

I zaczęłam grać z taką wolą zwycięstwa — jak może  
dotąd nigdy w życiu. Drugiego seta wygrałam 6:1,  
a w trzecim rozniosłam Amerykankę 6:0.

Chłopiec z trybun pierwszy do mnie podbiegł, uściśnął  
rękę i powińszował zwycięstwa. Ucieszyło mnie to więcej  
niż zdobyty puchar...

Przez kilka dni pozostaję w Budapeszcie. Mój miły  
Węgry pokazuje mi to piękne miasto, stajemy się nie-  
rozłączną parą. Zbliżała się jednak godzina rozstania.  
Mam się udać do Wiednia i tam wziąć udział w mistrzo-  
stwach Austrii. Nie mam ochoty jechać do Wiednia, wo-  
łałabym jeszcze kilka dni pozostać w stolicy Węgier...  
Wpada mi w rękę gazeta, z której dowiaduję się, że  
w Wiedniu ma startować Francuzka Mathieu. Mam z nią  
stare porachunki... Zdaję sobie sprawę, jak ciężki mecz  
oczekuje mnie w stolicy Austrii, a tu w Budapeszcie jest  
tak miło, czas płynie tak szybko.

Czyż mam zrezygnować z walki?... Takie pytanie już  
sobie niegdyś zadawałam w Meranie. Teraz na nie odpo-  
wiada mój młody przyjaciel:

— Pojedziesz do Wiednia i wygrasz turniej. Ja rów-  
nież przyjadę na finały i będę całym sercem przy tobie.

Wiedziałam już teraz, co mam czynić. Wsiadłam do  
wiedeńskiego pociągu.

Do finału doszłam bez wielkiego trudu i stanęłam na  
korcie przeciw Mathieu. Nie lubiłam grywać z nią, po-  
nieważ była bardzo zarozumiała. Gdy się jej nie powo-  
dziło, wpadała w złość, nie panowała nad nerwami i za-  
chowываła się niesportowo.

Pierwszego seta Mathieu wygrała 6:4. Zaczynamy walczyć w drugim. Wciąż nie mogę wpaść w uderzenie, psuję łatwe piłki i popełniam dziecinne błędy. Moja partnerka bez większego trudu i niemal bez walki osiąga prowadzenie 4:1. Szanse na zwycięstwo maleją z każdą piłką. Francuzka prowadzi już 5:2 i 40:0 — a zatem wystarczy jej zdobycie jednej piłki do wygrania meczu. A takich piłek ma ona aż cztery w zapasie.

Sytuacja moja jest rozpaczliwa. Wstydę się spojrzeć w kierunku trybun, gdzie znajduje się mój przyjaciel z Budapesztu. A jednak przemogłam się. Dostrzegłam go przez moment, ma uśmiech na twarzy i czyni ruch ręką, jak gdyby doradzał mi, abym teraz postawiła wszystko na jedną kartę i silnymi drajwami starała się ratować. Piłka pada na mój plac, wysoko odskakuje od ziemi, odbijam i wkładam w nią całą moją siłę. Jęknęła i spadła na drugą stronę — Mathieu nawet jej nie dotknęła.

Ryzykuję drugą i trzecią. Obie odbijam z wielką fantazją. Zdobywam gema.

Gramy dalej coraz zajadlej, bez pardonu. Wygrywam następnego gema, lecz nieco później Mathieu ma znów cztery piłki meczowe. Historia powtarza się — gram nadal *va banque*, ryzykuję, wyrównuję.

Stan seta jest 5:5. Zdaję sobie sprawę, że trzymam teraz wszystkie atuty w ręku. Wiem z własnego doświadczenia, co to znaczy niewykorzystanie piłek meczowych i jak niesłuchanie załamuje to nerwowo. Naprzeciw mnie nie stoi już groźna przeciwniczka, lecz kłębek nerwów. Atakuję teraz bezlitośnie i wygrywam seta 7:5, lecz do zwycięstwa jeszcze daleka droga... Zaczynamy grać decydującą partię.

Walka toczy się ze zmiennym szczęściem, wygrywamy na przemian gemy. W pewnej chwili gdy biegnę do siatki, czuję ból w nodze — łapie mnie kurcz. A zatem wszystko przepadło — trzeba się pożegnać ze zwycięstwem. Skaczę jak bocian na jednej nodze... Udało mi się odbić piłkę — ten sukces dodaje mi otuchy. Kurcz na szczęście szybko minął, lecz nagle jakiś pyłek wpada mi w oko, które zaczyna łzawić, piłki dwoją się. Już nawet nie wiem, jaki jest stan seta, odczuwam coraz większe zmęczenie.

Słyszę głos sędziego:

— Jędrzejowska prowadzi 9:8.

Muszę więc zdobyć się na ostatni wysiłek — 40:15, a więc mam dwie piłki meczowe. Przypominam sobie, ile takich piłek straciła Mathieu i czynię błąd taktyczny — zaczynam grać zbyt ostrożnie. Moje miękkie piłki Francuzka z łatwością zabija — wyrównuje. Teraz ja załamuję się psychicznie i Mathieu wkrótce prowadzi 12:11, a nawet uzyskuje piłkę meczową. Bronię.

Do moich uszu dochodzą coraz głośniejsze brawa, bo od początku meczu zdobyłam sympatię publiczności. Wiedeńczycy dopingują mnie i po każdej udanej piłce podniecają do dalszej walki. Jestem już tak wyczerpana, iż odbijam piłki półświadomie, jak automat. Wiem tylko jedno — muszę wygrać mecz.

Wreszcie kończy się ten maraton tenisowy. Zdobywam seta 15:13. Był to najdłuższy mecz w moim życiu, gdyż trwał 3 godziny i 45 minut.

Ledwie mogę utrzymać się na nogach, w głowie wiruje, piłki jeszcze skaczą przed oczami. Zataczam się... Ktoś chwytą mnie w ramiona. Mój węgierski przyjaciel wynosi mnie na rękach do szatni.

W Warszawie zabrałam się do ostrego treningu, gdyż niewiele już czasu pozostawało do rozpoczęcia turnieju wimbledońskiego. Grywałam codziennie po kilka godzin z naszymi najsilniejszymi tenisistami, którzy bynajmniej mnie nie oszczędzali i starali się atakować jak najsilniejszymi piłkami.

Tym razem podróż do Anglii w czerwcu 1936 roku była bardzo męcząca. Pięć razy przesiadałam się, tłukłam się 40 godzin trzecią klasą, aż wreszcie dobrnęłam do Londynu. Przybyłam nad Tamizę w przededniu rozpoczęcia turnieju w Queens Clubie. Nie miałam jednak zamiaru uczestniczyć w grach pojedynczych, zależało mi raczej na treningu na trawiastych kortach w Queens Clubie niż na graniu w męczących i szarpiących nerwy konkurencjach. Chciałam tym razem przystąpić do turnieju w Wimbledonie pełną siłą i wypoczęta.

Moje plany jednak spełzyły na niczym.

— Jak to, Dżadża, pani nam odmawia udziału w naszym turnieju? — zwrócił się do mnie prezes klubu z nutą goryczy w głosie. — Pani chyba dobrze rozumie, że jest to dla nas katastrofa finansowa. Publiczność londyńska bardzo lubi pani grę. Pani jest niezwykle wysoko ceniona. Pani wspaniałe drajwy są porywające.

I tak jakoś sprytnie mnie podszedł, że zgodziłam się na start, choć później bardzo żałowałam tej lekkomyślności. Turniej w Queens Clubie nie przyniósł mi żadnych korzyści, ponieważ rywalizacja była stosunkowo słaba. Nie brały udziału moje najgroźniejsze przeciwniczki, od których mogłabym się nauczyć czegoś nowego. Były zbyt chytre, aby zdradzić swą formę przed zbliżającymi się mistrzostwami świata. Bardzo pieczołowicie natomiast obserwowały moją grę i podpatrywały jej słabe strony.

W pierwszej rundzie wygrałam gładko z Wilson 6:2, 6:4, następnie „rozłożyłam” mistrzynię Szwecji Wittenstran 6:2, 6:4 i pokonałam Angielkę Mac Ostrich 6:3, 6:3, a w półfinale wyeliminowałam Pittman 8:6, 6:0. W finale wygrałam z moją przyjaciółką i partnerką deblową — miss Noel 6:2, 6:3. Zdobyłam więc mistrzostwo Londynu, nie oddając ani jednego seta.

Już w czasie turnieju w Queens Clubie było wiadome, które ze sławnych tenisistek będą walczyć w Wimbledonie. Rywalizacja zapowiadała się bardzo ostro, gdyż do tytułu mistrzyni świata pretendowały: Angielka Stammers, Amerykanka Jacobs, Niemka Krahwinkel-Sperling, Niemka Horn, Chilijka Lizana. Wreszcie niektórzy uważali i mnie za cichą faworytkę tego wielkiego turnieju.

Z tych wszystkich wymienionych zawodniczek najbardziej obawiałam się Anity Lizany, tenisistki o wielkim temperamencie. W pełni doceniałam siły Chilijki, z którą w tym roku na wiosnę dwukrotnie spotkałam się na Riwierze i dwa razy przegrałam. Nasz mecz w Mentonie zakończył się dla mnie dramatycznie: Lizana wygrała pierwszego seta 8:6, a ja drugiego 8:6. W decydującej partii chwycił mnie kurcz w nodze (coraz częściej dokucza mi ta nieszczęsna noga). Upadłam na kort i nie mogłam podnieść się o własnych siłach. Musiałam skapitulować.

Rewanżowe spotkanie nastąpiło w Cannes. Znowu przegrałam 5:7, 1:6. Wprawdzie nie czułam się wtedy dobrze, gdyż ból w nodze ciągle mi dokuczał, muszę jednak przyznać, że Lizana pokonała mnie zasłużenie: była szybsza i znajdowała się w lepszej kondycji fizycznej. Nasza walka w Mentonie trwała dwie i pół godziny. Straciłam po niej kilka kilo.

W Wimbledonie nie spotkałam się jednak z Anitą. Po zwycięstwach nad King 6:3, 6:3 i Noel 6:1, 4:6, 6:2 doszłam do ćwierćfinału, w którym zmierzyłam się ze Stammers. Przed tym meczem odczuwałam dużą treść. Stammers była Angielką. Wiedziałam, że cała sympatia miejscowej publiczności będzie po jej stronie.

Po wymianie kilku piłek zorientowałam się, że Stammers była jeszcze bardziej zdenerwowana niż ja. Ręka odmawiała jej posłuszeństwa przy serwisach, wiele piłek lokowała w siatce. Przez cały czas prowadziłam 3:1, 4:3 i wygrałam seta 6:3. W drugim przeżywałam niebezpieczny moment, Angielka prowadziła 3:2. Wyrównałam jednak i wówczas Stammers opadła z sił, a ja wygrałam 6:3. W ten sposób po raz pierwszy wywalczyłam sobie miejsce w półfinale.

W pozostałych ćwiartkach znajdująca się w doskonałej formie Jacobs wyeliminowała Lizanę 6:1, 1:6, 6:4. Krahwinkel-Sperling wygrała z Round 6:2, 8:6, a Mathieu pobiła Horn 7:5, 6:3.

W półfinale natrafiłam na Jacobs, z którą w tym roku wygrałam w Budapeszcie, lecz na korcie ziemnym. Zdawałam sobie sprawę, że Amerykanka jest na trawie bardziej niebezpieczna i o wiele lepiej ode mnie panuje nad nerwami.

W meczu z Heleną trzymałam się dobrze do stanu 3:3. Później chciałam ją zmęczyć i zaczęłam stosować dropshoty. Piłki te jednak zupełnie mi nie wychodziły — albo grzęzły w siatce, albo Jacobs z łatwością do nich dochodziła. Zamiast powrócić do otwartej silnej gry, z uporem nadal skracałam piłki, tracąc punkt za punktem. Przegrałam seta 4:6. Muszę nadmienić, że w Wimbledonie w bliskości kortu nie wolno siedzieć żadnemu doradcy, który by zwracał uwagę na błędy taktyczne i dawał wskazówki.

W drugim secie grałam nerwowo i chaotycznie, ulegając 2:6. I tym razem ciche marzenia o finale przeminęły z wiatrem. Jedyną pociechą był dla mnie fakt, że przegrałam z nie byle kim, bo mistrzynią świata. W drugim półfinale Krahwinkel-Sperling pobiła Mathieu 6:3, 6:2 i w finale spotkała się z Jacobs. W ostatecznej grze zwyciężyła Jacobs 6:2, 4:6, 7:5.

W Londynie otrzymałam telegram z Warszawy, abym wracała jak najprędzej, ponieważ odbędzie się tu mecz

Polska — Francja. Nie biorę więc udziału w żadnych turniejach na prowincji Anglii i wracam do kraju.

Na mecz z Polską Francuzi delegowali dobrą tenisistkę Henrotin, którą biję 6:0, 6:3. W drużynie francuskiej grał wówczas Petra — tenisista wysokiego wzrostu. Przegrał on z naszymi czołowymi zawodnikami. Nikomu wtedy nawet do głowy nie przychodziło, że Petra w 1946 roku zdobędzie mistrzostwo Wimbledonu.

Petra szybko zdyskontował ten sukces i natychmiast porzucił amatorstwo. Jakiś czas grywał w którymś z amerykańskich cyrków tenisowych, lecz bez większego powodzenia. Później wycofał się z tej imprezy i osiedlił na Bermudach, gdzie został nauczycielem gry w tenisa. Tam dopiero zaczęło mu się dobrze powodzić. Niejeden ze snobów amerykańskich uważał sobie za zaszczyt zagrać choć raz z byłym mistrzem Wimbledonu. A mistrz kazał sobie za to słono płacić.

Mecz z Francją w Warszawie zakończył się naszym dużym sukcesem: zwyciężyliśmy 5:2.

Już nie pamiętam nazwy turnieju, na który przybyłam do stolicy Francji w ostatniej chwili przed rozpoczęciem zawodów. Wiem, że wprost z dworca kolejowego pojechałam na korty. Oczywiście nie było mowy o przeprowadzeniu regularnego treningu przed tak poważnym turniejem i o zaaklimatyzowaniu się na tamtejszych kortach. Nie miałam jednak trudności z dojściem do ćwierćfinału. Cóż — kiedy znów muszę walczyć z Jacobs, która uprzedniego roku pokonała mnie na trawie. Jest ona teraz klasyfikowana jako pierwsza rakietka świata.

Mój mecz z Heleną został wyznaczony na godzinę drugą po południu, z czego byłam bardzo niezadowolona, gdyż w Paryżu panowały wtedy wielkie upały, a spotkania rozgrywane w czasie pełnej operacji słonecznej były bardzo męczące i wyczerpujące.

O godzinie 13.30 zajeżdża po mnie przed hotel samochód, który woził uczestników turnieju na stadion. Limuzyna pędzi z zawrotną szybkością w kierunku Lasku Bułńskiego. Przestaję myśleć o czekającym mnie pojedynku. Całkowicie pochłania mnie szybkość. Nie myślę o Jacobs, o piłkach, o niczym.

Punktualnie o godzinie drugiej wchodzimy na centralny kort. Plac jest rozpalony, wydaje mi się, że znajduję się na miniaturowej Saharze.

Jestem bardzo spokojna i opanowana. Mózg pracuje sprawnie i dyktuje grę. Piłki wędrują tam, gdzie je posyłam. Muskają one linie i padają w miejscu, gdzie Jacobs najmniej się ich spodziewa. Trzymałam na wodzy temperament, który mnie tak często ponosi. Oszczędzałam sił, gdyż dobrze wiedziałam, że Helena to twarda przeciwniczka. Z każdą chwilą oczekiwałam kontrataku i byłam bardzo czujna.

Amerykanka przegrywa piłkę za piłką, gema za gemem. Spostrzegam, że zaczyna tracić głowę. Wyczuwam doskonale, że zgubiła się i nie wie, jaką taktyką ma grać. Zaczyna atakować mój bekhend, lecz mnie to nie przesstrasza. Odpowiadam piłkami tak zaczepnymi, że Jacobs załamuje się jeszcze bardziej.

„Zaatakuję teraz przy siatce” — przeczuwam, że tak myśli Helena. „Bardzo dobrze — niech tak gra” — odpowiadam w duchu. Istotnie Jacobs pędzi do siatki, a ja mijam ją precyzyjną piłką. Jeszcze kilka razy stara się smeczować, lecz bezskutecznie. Czuję, że mam „swoją dzień”. Wygrywam seta 6:3.

Jest już godzina 14.30, a zatem set trwał tylko 30 minut. Czyżby mecz miał zakończyć się w dwóch partiach? Nie wierzę w to, czekam ciągle na przebudzenie się Heleny. Atak nadchodzi, Jacobs świetnie serwuje i po silnych podaniach podbiega do siatki. W ten sposób zabiła mi kilka piłek i wygrała gema na sucho. Nie załamuję się bynajmniej — również potrafię silnie serwować. Wyрівnuję. Walka teraz zaostrza się. Obie zdobyłyśmy po cztery gemy. Ściskam mocniej rakieta i powtarzam sobie w duchu: „Jeszcze tylko dwa gemy, nie wolno Heleny dopuścić do głosu, trzeba skoncentrować się i grać spokojnie”. Bez większego wysiłku zdobywam gema, oddając tylko jedną piłkę. Przy stanie 5:4 następuje mój serwis. Podania moje są tak silne, że niemal wyrzucają Jacobs z kortu. Helena nie odbija już ani jednej piłki.

Jacobs podbiega do mnie pierwsza, ściska moją rękę i mówi:

— Dżadża, grałaś dziś znakomicie.

Żar płynie z nieba. Jest okropnie gorąco, lecz to gorąco i serdeczność, z jaką wieszowali mi koledzy sukcesu, idą całkowicie w parze.

W półfinale oczekiwał mnie pojedynek z Mathieu; jeśli zdołam opanować nerwy, podobnie jak w meczu z Jacobs, powinnam wygrać, niestety stało się inaczej.

Idąc na korty spostrzegam duży afisz reklamujący Międzynarodowe Mistrzostwa Francji. Czytam go uważnie. Na afiszu są wymienione nazwiska przedstawicieli wszystkich państw prócz Polski. Tego rodzaju lekceważenie przez gospodarzy mojej ojczyzny zdenerwowało mnie bardzo. Afisz całkowicie wyprowadził mnie z równowagi.

## R O Z D Z I A Ł J E D E N A S T Y

*Dochodzę do szczytu formy \* Alicja Marble — druga rakieta świata \* Fred Perry opuszcza korty \* Wielka gra i wielka porażka \* Propozycje „Cyrku Tildena”: 25 000 dolarów*

Przystąpiłam więc do meczu z Mathieu w bardzo złym nastroju. Zdawałam sobie sprawę, że publiczność będzie całym sercem po stronie Francuzki. Wiedziałam z góry, że wszystkie sporne piłki zostaną zasądzone na korzyść mojej przeciwniczki.

Mathieu miała w ręku wszystkie atuty — ja żadnych. Już na początku spotkania dałam się kilka razy zwieść Francuzce, która prowokowała mnie do odbijania lobów i w ten sposób wytrącała z silnego uderzenia. Mimo wszystko walczyłam bardzo ambitnie. Upał był tak wielki, że męczył każdy krok stawiany na rozpalonym korcie.

Po pierwszym przegranym secie namyślałam się przez chwilę, czy nie zrezygnować z dalszej walki. Odrzuciłam jednak tę myśl. Nie byłby to sportowy postęp. Mecz przegrałam 5:7, 5:7.

Byłam bardzo niezadowolona z siebie, uważałam, że nie potrafiłam się dostatecznie skoncentrować i popełniałam zbyt wiele błędów.

Prasa sportowa oceniła jednak spotkanie jako bardzo dobre. Pisano, że meczu na tak wysokim poziomie już od dawna nie oglądano na korcie paryskim.

Krytykowano natomiast finałowy mecz Krahwinkel-Sperling — Mathieu, który zakończył się zwycięstwem Niemki 6:2, 6:4. Recenzenci byli zdania, iż spotkanie było nudne i nie przyniosło emocji.

Mimo przegranej z Mathieu czułam się po powrocie z Paryża wspaniale. Zdawałam sobie sprawę, że docho-

dzę do szczytowej formy. Zaczęłam realnie marzyć o sukcesach w Wimbledonie. Chciałam możliwie szybko wyjechać do Anglii i zanim rozpocznie się turniej wimbledoński, startować w kilku prowincjonalnych imprezach. Sądziłam, że w ten sposób najlepiej otrzaskam się z trawiatymi kortami. Zarząd Związku był jednak przeciwnego zdania, uważając, że drobne turnieje zmęczą mnie nerwowo.

Po długich namysłach i dyskusjach Związek zgodził się na mój wcześniejszy wyjazd. Zadebiutowałam na trawiatych placach w Webridge. Pokonałam Angielkę Lyle 6:3, 6:4, Francuzkę Henrotin 4:6, 6:3, 6:2 i w finale po raz pierwszy w życiu stanęłam oko w oko z nie znaną mi zawodniczką — Amerykanką Alicją Marble, klasyfikowaną jako druga rakieta świata.

Marble przybyła do Europy po raz pierwszy, a przyjazd jej poprzedziła istnie amerykańska reklama. Yankee'si zawsze umieli lansować swe gwiazdy sportowe. Setki wywiadów z Marble ukazały się w prasie europejskiej. Dziennikarze twierdzili, że jest to tenisistka, która przetrąca o głowę wszystkie zawodniczki europejskie. Jej gra miała być „cudowna”, niemal „boska”.

Nic więc dziwnego, że byłam niesłychanie ciekawa, jak Marble gra naprawdę, lecz jednocześnie serce biło mi trochę mocniej. Na drugiej stronie kortu zobaczyłam wysoką, zgrabną dziewczynę o muskularnych rękach. Miała na głowie białą czapkę, której daszek niemal zakrywał oczy.

Podchodzimy do siatki, witamy się. Losujemy, która z nas ma serwować pierwsza. Marble rozpocznie grę. Stoję już na stanowisku, wpatrzona w przeciwniczkę. Czyni ona wielki zamach ręką i uderza piłkę, która pędzi ku mnie z niesłychaną szybkością i mocą. „Bomba” musnęła kort, nawet nie zdążyłam nadstawić rakiety. Jeśli Marble nie udało się trafić w kwadrat kortu za pierwszym serwisem, drugą piłkę podawała już o wiele łatwiej. Lecz podcinała ją tak złośliwie, że po odbiciu piłka uciekała niespodziewanie w bok spod samej rakiety.

W pierwszym secie jestem kompletnie zdezorientowana podaniami Marble. Z rzadka tylko udaje mi się odbić piłkę.

— Ależ to armatnie strzały! Dżadza zginie pod takim ostrzałem — słyszę głos z trybuny.

Nie zginęłam: stopniowo przyzwyczaiłam się do serwisu przeciwniczki, ustawiam się coraz lepiej do piłek i coraz częściej je przyjmuję. Nim to jednak nastąpiło, oddałam seta 3:6.

W drugim już całkowicie opanowałam tajemnicę serwisu Marble. Zaczęła się zażarta gra. Przy stanie 4:4 przelałam wreszcie przewagę Amerykanki, zaatakowałam i wygrałam 6:4. Trzeci set poszedł już łatwo. Marble była wyraźnie zaskoczona niepowodzeniem w drugiej partii i wyczerpana walką. Wykorzystuję jej załamanie, atakuję przy siatce i wygrywam trzeciego seta 6:3.

Był to niewątpliwie duży sukces, a moja wiedza tenisowa bezsprzecznie została wzbogacona tym spotkaniem.

Już po tygodniu musiałam stanąć do walki rewanżowej. Spotkałyśmy się w finale turnieju o mistrzostwo Kentu, który odbywał się w Bockenham.

We wstępnych rozgrywkach pokonałam Harvey, a następnie w rekordowym czasie, bo zaledwie w 25 minut rozprawiłam się z Lyle 6:1, 6:1. Po tym meczu, w którym narzuciłam błyskawiczne tempo, zaczęto mnie nazywać *The Polish Express*. Teraz przystępuję do meczu z Marble. Mam zaufanie do swoich sił. Znam już jej słabe strony. W pierwszym secie postanowiłam ostro zaatakować i od razu zepchnąć Amerykankę do defensywy. Nacieralam tak gwałtownie, a piłki miały taką siłę, że Marble tylko kiwała głową i co chwila krzyczała: „pięknie, bardzo pięknie!” Seta wygrałam w siedem minut.

Marble rozegrała się w drugim secie. Teraz zaczyna walczyć o każdą piłkę. Zdołałam doprowadzić do 5:4 i miałam cztery piłki meczowe. Znajduję się o włos od triumfu, lecz Amerykanka broni się wspaniale, wyrównuje i wygrywa partię 11:9.

Gdy stanęłyśmy do decydującego seta — już po kilku akcjach zorientowałam się, że walka w drugim secie wyczerpała Marble kompletnie. Z trudem dobiega do piłek i z wysiłkiem je odbija. Set był już tylko formalnością, wygrałam 6:1.

Dwa moje zwycięstwa nad Marble stały się głośnie na świecie. Fachowcy coraz częściej twierdzą, że będę faworytką turnieju wimbledońskiego. Dziennikarze dowodzą, że w porównaniu z ubiegłym rokiem poczyniłam bardzo duże postępy, lecz nadal nie mam odpowiedniej odporności psychicznej. Kto wie, czy nie mają racji...

Przed Wimbledonem oczekiwał mnie jeszcze jeden turniej — były to doroczne rozgrywki w Queens Clubie o mistrzostwo Londynu.

Staję w obronie tytułu zdobytego w poprzednim roku. Bez trudu dochodzę do półfinału, bijąc Scott 6:3, 9:7. W półfinale spotykam bardzo dobrą Angielkę miss Scriven. Zwyciężam ją 6:2, 10:8, lecz w drugim secie mam pewne kłopoty i muszę obronić piłkę setową.

W finale spotykam znajomą z Riwiery — Angielkę Stammers, typowaną jak i ja na jedną z faworytek Wimbledonu. Atakuję przeciwniczkę plasowanymi piłkami i zmuszam ją do bezustannego biegania od rogu do rogu. Już w drugim secie Stammers jest tak wyczerpana, że ledwie trzyma się na nogach i nie potrafi odbić żadnej silniejszej piłki. Mecz wygrałam 6:3, 6:0. I tym razem zdobyłam mistrzostwo Londynu bez utraty seta. Niewątpliwie osiągnęłam formę życiową.

Wimbledon w 1937 roku rozpoczął się pod znakiem sensacji. Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, iż znany tenisista angielski Fred Perry nie weźmie udziału w mistrzostwach świata. A Perry trzy razy z rzędu wygrywał Wimbledon i był ulubieńcem publiczności angielskiej. Teraz został zawodowcem, przystąpił do „Cyrku Tildena”. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że czas już zerwać z amatorstwem i zająć się robieniem pieniędzy.

Dezercję Perryego uważano w Anglii niemal za skandal towarzyski. Snobistyczna publiczność wimbledońska była zawiedziona i rozczarowana. Perry grał i zwyciężał, a Brytyjczycy lubią, gdy ich reprezentanci odnoszą sukcesy.

Wśród organizatorów turnieju zapanował niepokój. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie było runu na bilety. Podczas pierwszych dni turnieju frekwencja wyraźnie zmniejszyła się w porównaniu do lat ubiegłych.

Co robić? Jak ratować wspaniały interes? I na to znalazł się sposób: organizatorzy wpłynęli na sfery dworskie, aby utytułowane figury pokazywały się w łoży królewskiej. Istotnie, łoża ta od kilku dni była przepełniona. To wystarczyło, aby londyńskie snoby uważały za swój święty obowiązek bywać w Wimbledonie. Wielu z tych ludzi absolutnie nie obchodził tenis — chcieli jednak, aby

ich oglądano w Wimbledonie. Turniej uratowany — tysiące widzów zapełniły trybuny.

Przystępuję do turnieju z wielką wolą zwycięstwa. Jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze. Postanawiam walczyć do ostatniego tchu. Wierzę, że nadchodzą moje wielkie dni.

Nie ulegało wątpliwości, iż znajdowałam się w dobrej formie. Sama często dziwiłam się sile piłek, a czasami byłam nawet zaskoczona, że któraś z rywalek bezradnie zalałame ręce zamiast odbijać moje drajwy.

Bez większego trudu przedostałam się do ćwierćfinału. Z kim spotkam się teraz? W ósemce walczyły dwie moje wielkie rywalki — Marble i Krahwinkel-Sperling. Ze zwyciężczynią miałam spróbować swych sił. Obie były bardzo groźne: z Krahwinkel-Sperling nigdy nie umiałam grać, ani razu jej nie pokonałam. Marble była nie mniej niebezpieczna, lecz nad nią już dwukrotnie odniosłam sukces, poznałam jej grę i wołałam walczyć z nią. Z zainteresowaniem przyglądałam się spotkaniu tych zawodniczek. Wygrała Amerykanka 7:5, 2:6, 6:3.

Byłam rada, że rozegrałam kilka turniejów przed Wimbledonem, gdyż miałam sposobność poznania Marble. Teraz nie boję się, że zaskoczy mnie podciętymi serwisami. Powtarzam sobie co chwilę w duchu: „Nie boję się Marble”.

Dopiero, gdy wyszłam na kort, poczułam wyraźne bicie serca. Na trybunach było mnóstwo ludzi, a dzień był taki upalny. Marble serwuje pierwsza. Odbijam piłki, lecz przeciwniczka umiejętnie skraca je — nie mogę do nich dobiec. Powtarza się to dwukrotnie, później znów popełniam błędy przy odbiciu. Marble prowadzi 1:0.

Teraz ja serwuję; podaję bardzo silnie i... Alicja przybijuje wszystkie piłki, przerzucając je na moją stronę bardzo agresywnie. Kilka razy atakuje przy siatce i prowadzi 2:0.

Zaczynam się niepokoić: w tak ważnym meczu nie wolno lekkomyślnie tracić gemów. Widocznie gram zbyt powolnie — trzeba wzmocnić tempo. Marble znów serwuje i najwyraźniej dziwi się, bo wszystkie jej piłki odbijam bardzo silnie. Nie może już nawiązać walki. Wymiany są szybkie, niemal brutalne. Moje piłki podobne były do nokautujących ciosów. Wygrywam gema na sucho, co bar-

dzo podnosi mnie na duchu. Już w następnej grze wyrównuję.

Teraz Alicja rwie się do natarcia. Biega do siatki, skacze do wysokich piłek, smeczkuje. Prowadzi 3:2, 4:2. W tej fazie Amerykanka gra doskonale, a piłki jej mają idealną długość. Od czasu do czasu Alicja podcina je i w ten sposób stara się wyprowadzić mnie z uderzenia.

Przez sekundę zastanawiam się, co robić. Biorę przykład z mej przeciwniczki: stosuję taktykę wyprowadzenia z uderzenia. Zwalniam na chwilę grę i próbuję lobów. Udać mi się — zdobywam gema. Mam okazję do wyrównania, gdyż zaczynam serwować, lecz podania nie wychodzą. Czynię kilka autów — Marble ucieka na 5:3.

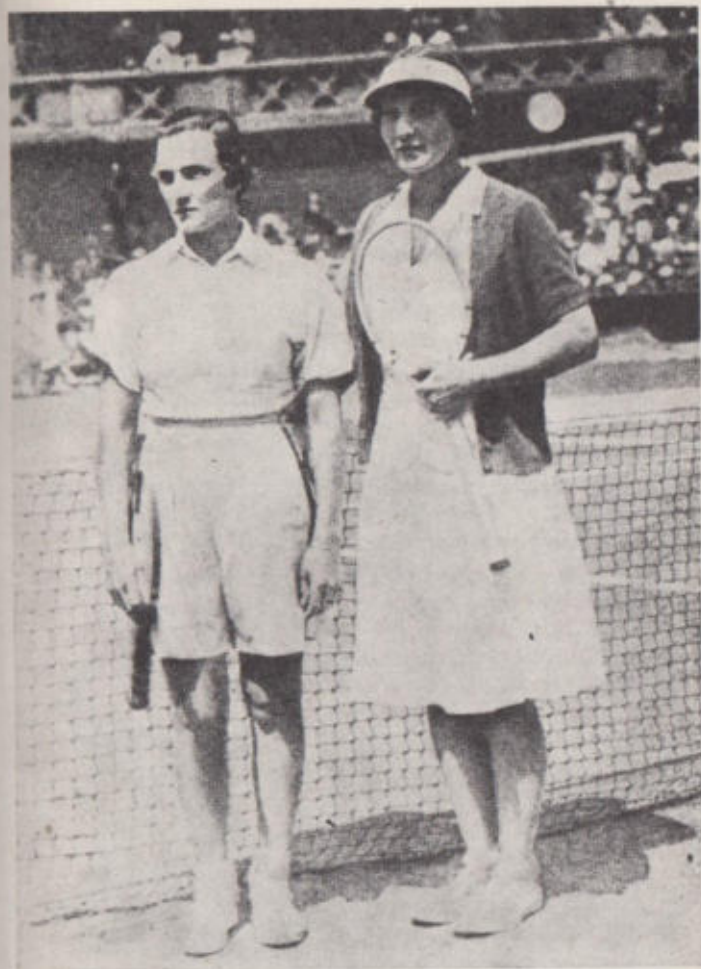
Czy wszystko przepadło, czy mam kapitulować? Nie! — nigdy w życiu. Pobiłam Marble dwa razy — pokonam ją i po raz trzeci.

Walczymy o każdy punkt, nie mamy dla siebie litości, biegamy z jednego rogu kortu w drugi. Nagle jedna z piłek wędruje zbyt wysoko. Widzę, jak Marble pędzi do siatki, chwileczkę czai się, a potem raptem skacze wysoko, dosięga rakieta piłki i smeczkuje z całej siły. Piłka spada na mój kort, ale natychmiast robi wysoki kozioł i ucieka mi z placu.

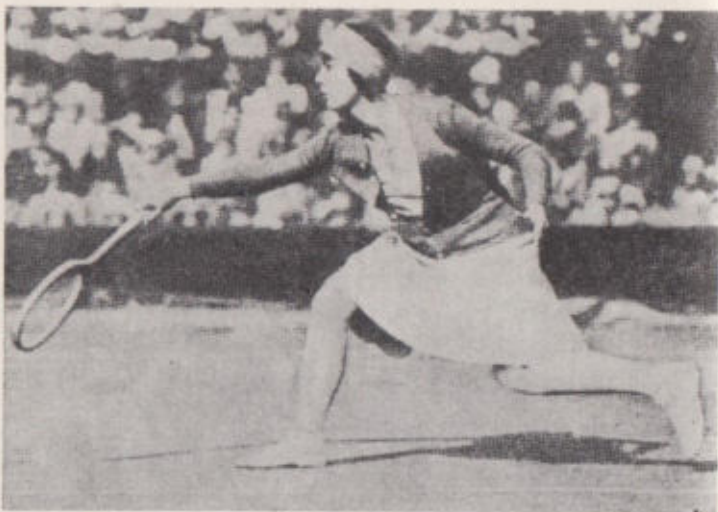
W ten sposób Marble zdobyła setbola.

Trzeba teraz skupić całą uwagę i nie dać się ponieść nerwom. Gram niesłychanie ostrożnie, odbijam piłkę miękko. Obie boimy się ryzykować. Piłka wędruje tam i z powrotem kilkanaście razy. Wreszcie Alicja nie wytrzymała, bije silnie i piłka pada poza boiskiem. Oddycham. Następną piłkę również wygrywam i ratuję gema, lecz Marble nadal prowadzi 5:4.

Powodzenie dodaje mi nowych sił. Piłki moje nabierają odpowiedniej długości i stają się coraz bardziej kąśliwe. Widownia ocenia mój wysiłek i nagradza brawami. Nadchodzi mój kwadrans, atakuję i w błyskawicznym tempie zdobywam dwa gemy, prowadząc 6:5. Historia powtarza się, teraz z kolei Marble musi żałować piłki setowej, bo ja mam ich aż cztery. Alicja broni się jak rannona lwica. Już, już, wydaje mi się, że seta mam w kieszeni, lecz Marble wyrasta nagle przy siatce i zabija mi piłkę. Mamy obie po sześć gemów.

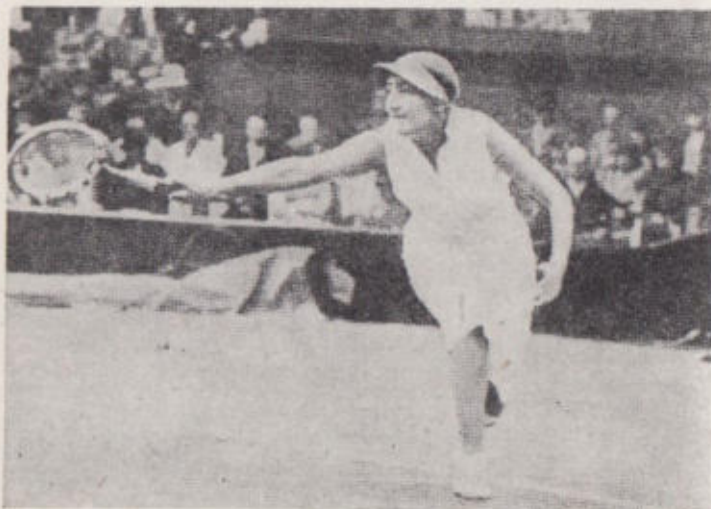


Dwie Heleny — Jacobs (z lewej) i Wills Moody — stoczyły dramatyczny bój w Wimbledonie



*Cilly Aussem (Niemcy)*

*Simone Mathieu (Francja)*



Teraz serwuje Amerykanka, lecz ręka już ją zawodzi — podania jej nie są tak pewne jak na początku meczu. Wygrywam gema i zaczynam serwować.

Pierwsze podanie jest bardzo silne — Marble łapie piłkę. Następuje wymiana. Piłka leci dość wysoko nad siatką. Alicja ryzykuje smecz, lecz piłka pada na aut. Następne podanie jest jeszcze silniejsze. Marble ani drgnęła. Jeszcze raz serwuję, partnerka znów nie zdołała odbić. Sędzia ogłasza 40 : 0. Idę z wolna na linię, ustawiam się, nabieram do płuc powietrza, robię zamach. Piłka z wielką siłą pada po drugiej stronie kortu. Alicja daremnie stara się ją przyjąć. Wygrywam seta 8 : 6, jak mi się początkowo zdawało — straconego.

W drugim czuję się nadal doskonale. Nabieram jeszcze większej pewności siebie, mam taki zasób sił, że pozwalam sobie na zwiększenie tempa. Obserwuję partnerkę i spostrzegam, że jej wypadły do siatki stają się coraz rzadsze i wolniejsze. Alicja spóźnia się do piłek. Wiem, co to znaczy, zaczyna się dramat — nogi odmawiają posłuszeństwa. Znam dobrze to uczucie niemocy.

Amerykanka walczy do stanu 2 : 2. Wygrywam teraz swój serwis. Marble stawia coraz mniejszy opór. Uciekam na 4 : 2, 5 : 2 i 40 : 30.

Marble przyjmuje moje podanie i natychmiast przechodzi do kontrataku, biegnie do siatki. Cała sztuka polega teraz na tym, aby ją wyminąć. Jak to uczynić... Zwodzę przeciwniczkę, aby się wydawało, że zaatakuję ją silnym forhendem, a tymczasem posyłam piłkę z bekhendu wzdłuż linii. Piłka spada spokojnie na drugą stronę kortu. Przez chwilę żal mi się zrobiło Marble, stała biedna i bezradna przy siatce, gdy sędzia już dawno ogłosił moje zwycięstwo: 6 : 2.

Nie ma teraz czasu na sentymenty. Przez sześć lat walczyłam z uporem, aby się doczekać tej chwili. Jakaż to była ciężka droga.

Jutro spotkam się z Angielką miss Round. Gra ona w tym sezonie świetnie, odbija piłki jak maszyna, w ćwierćfinale zmiażdżyła Jacobs 6 : 0, 6 : 0, a w półfinale Mathieu 6 : 3, 6 : 3.

Jutro rozegram najważniejszy mecz w życiu. Przeżyłam dziwne wzruszenie, wielką radość, a jednocześnie przygniata mnie ciężar odpowiedzialności. Wiem, że tam w małym domku krakowskim zabiją mocno serca, wiem,

że moi rówieśnicy z parku krakowskiego z drżeniem będą oczekiwali na wiadomość, czy dziewczyna, która niegdyś zbierała piłki, zdoła zwyciężyć... Zdaję sobie sprawę, że tysiące rodaków w kraju oczekują na telefon z Londynu. A tymczasem jestem tu sama jedna, nikogo bliskiego nie ma przy mnie.

Wiem dobrze, że będę walczyła nie tylko ze wspaniałą Round, lecz i z wrogo nastawioną szowinistyczną widownią... ba! nawet i z sędziami liniowymi. W tym roku bowiem Wimbledon zapomniał o zasadach sportowej uczciwości, którymi dotychczas tak chlubili się Anglicy. Przekonałam się już, że publiczność brytyjska w wypadkach, gdy na boisku walczyli Anglicy, zachowywała się niesforne i niesportowo, oklaskując błędy graczy walczących przeciw jej faworytom. Sędziowie liniowi wydawali skandalicznie stronnicze orzeczenia.

Perry uciekł do obozu zawodowców. Anglii pozostała jedyna nadzieja — miss Round. Wyobrażam sobie, jak publiczność będzie ją dopingowała.

Kładę się do łóżka, lecz nie mogę zasnąć. Przed oczami wiruje karuzela — wimbledońskie korty, Round, domek w parku krakowskim...

Budzę się bardzo wcześnie, zmęczona i niewyspana. Zastanawiam się, co robić. Idę do kina. Siedzę tam trzy godziny, oglądam dwa seanse, lecz gdyby mnie ktoś po wyjściu z sali zapytał, co się działo na ekranie i jacy aktorzy grali w filmie, nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Obiad zjadłam bardzo wcześnie, bo już o jedenastej i pół. Schodzę do stacji podziemnej kolei. Jadę do Wimbledonu.

Pamiętam, że przed rozpoczęciem meczu należy choć kilkanaście minut potrenować i rozgrzać się. Idę więc na jeden z bocznych placów. Usiłuję wpaść w uderzenie, lecz z przerażeniem stwierdzam, że mi to przychodzi z wielkim trudem.

Wołają mnie na kort centralny. Rzucam spojrzenie w kierunku trybun. Ani szpilki wetknąć, wszystkie miejsca zajęte. Serce już nie bije, lecz wali, jak gdyby chciało uciec z piersi. Za mną wchodzi Round, oklaskiwana spontanicznie.

Dochodzi godzina trzecia po południu, dokucza upał. Otacza mnie gromada fotografów, muszę uśmiechać się i to mnie jeszcze bardziej denerwuje. Round co chwila

kiwa głową, kłaniając się znajomym i wielbicielom, którzy tłumnie obsiedli łóża i pierwsze rzędy.

Angielka wylosowała serwis. Zaczyna się wielka gra. Mam okazję zdobycia pierwszego gema, lecz ręka mi drgnęła przy odbijaniu łatwego woleja i piłka grzęźnie w siatce. Round zyskuje prowadzenie. Nadchodzi moja kolej serwowania. Posyłam dwa tak zwane „asy” — to jest piłki nie do odbicia. Siła tych „strzałów” chwilowo załamuje przeciwniczkę. Prowadzę 2 : 1. Za chwilę jestem o krok od wywalczenia następnej gry, lecz Round już zdołała opanować się i wyrównuje.

Niepowodzenie w tym gemie wprowadza mnie w chwilową depresję, denerwuję się coraz bardziej, gdyż zdaję sobie sprawę, że Round dobrze obmyśliła taktykę meczu, celowo nie dopuszcza mnie do forhendu i bezustannie atakuje mój słabszy bekhend. Gram zbyt miękko, straciłam inicjatywę, lecz nie jestem w stanie nic na to poradzić. Od czasu do czasu strzelam z całych sił, lecz są to tylko przeblyski dobrej gry. Round wygrała seta 6 : 2 i to zaledwie w 20 minut.

Gramy dalej. Często na korcie przeżywałam takie momenty: gdzieś w głębi mózgu słyszałam dwa głosy, jeden szeptał: Daj spokój, dlaczego tak szarpiesz swoje nerwy, z jakiego powodu czynisz tak olbrzymi wysiłek fizyczny, zrezygnuj z tej wyczerpującej walki, w której szanse są tak nierówne. Lecz drugi głos nie dopuszczał do żadnej dyskusji: Wstyd, Jadziu — a gdzież jest twoja sportowa ambicja. Nie walczysz tylko dla własnej satysfakcji, lecz dla sławy swej ojczyzny, dla spopularyzowania sportu tenisowego.

Zaczynam grać. Gram starannie, ambitniej, z większą wolą zwycięstwa. Moje forhendy nabrały odpowiedniej szybkości i mocy. Piłka zaczyna słuchać, wędruje dokładnie w to miejsce, gdzie ją posyłam. Round gra z coraz większym trudem. Inicjatywa przechodzi w moje ręce, nie dopuszczam przeciwniczki do atakowania mojego bekhendu. Wygrywam seta 6 : 2 ku wielkiej konsternacji widzów i jestem gotowa do dalszej walki. W Wimbledonie nie ma odpoczynku po dwóch setach, więc gramy dalej.

Czuje pierwsze symptomy zmęczenia, oddech staje się nieco krótszy, zaczyna męczyć bieganie do dalszych piłek. Spojrzałam na Round i zrozumiałam, że jest również

bardzo wyczerpana. A więc o wyniku zadecydują nerwy...

Round zaczyna szczęśliwie i prowadzi 2:1. Zdobyłam się na jeszcze jeden wielki wysilek i przyspieszam tempo. W ten sposób wyrównuję i siłą rozpędu wygrywam jeszcze dwa gemy. Prowadzę 4:2.

Dwa gemy dzielą teraz od mistrzostwa świata... Myśl o nich nie daje mi chwili spokoju.

Jestem bardzo zdenerwowana. Zaczynam grać źle, moje piłki o centymetry mijają się z linią. Czuję się bardzo odosobniona. Nie ma nikogo życzliwego obok kortu, który by poradził jaką taktykę w tak ważnej chwili mam zastosować.

Tracę dwa gemy. Obie mamy po cztery. Publiczność szaleje, oklaskuje wszystkie udane piłki Angielki. Round prowadzi 5:4. Serwuję, powinnam wygrać tego gema, muszę za wszelką cenę.

Jeszcze raz wyrównuję — mamy po pięć gier. Jestem już u kresu sił.

Round podaje piłki, dwoją mi się w oczach, nie odbijam żadnej, przegrywam gema na sucho.

Nadchodzi ostatnia szansa — serwuję. Podaję silnie i Round psuje piłkę, lecz przy następnym uderzeniu mam już tak zmęczoną rękę, że dwie kolejne piłki pakuję w siatkę.

Nieco później Round odpowiada mi na bekhend i znów autuję. Angielka osiąga już 40:15, jeszcze się bronię, piłka wędruje kilka razy nad siatką, wreszcie ucieka mi z rakiety i pada za linią.

Round zdobywa mistrzostwo świata.

Trzeba umieć nie tylko wygrywać, lecz i przegrywać. Podbiegam pierwsza do Doroty. Uśmiecham się do niej, winszuję zwycięstwa.

W szatni jestem zupełnie sama. Nikt mnie nie pociesza, nie mogę już powstrzymać łez. Długo płaczę.

I znów nastąpił konflikt pomiędzy moimi dwoma „wewnętrzными głosami”: jeden nakazuje nadal szlochać, powrócić do hotelu i natychmiast położyć się do łóżka, odpoczywać. Lecz drugi głos, głos wicemistrzyni świata, kategorycznie zaprotestował. Muszę teraz pokazać się w łóżku dla zawodników, trzeba dowieść, że Polka potrafi z godnością znieść gorycz porażki. Naprzód, głowa do góry!

Wchodzę na trybuny. Zbieram gratulacje, wszyscy się do mnie uśmiechają. Podchodzą dziennikarze, proszą o wywiady.

— Zgubiły mnie nerwy — odpowiadam im. — Z Round grałam kiedyś przed laty, była to zupełnie inna tenisistka — teraz zmieniła całkowicie system gry i tym mnie zaskoczyła. Ach, gdybym mogła jeszcze raz w życiu z nią walczyć!

A oto właśnie i Round we własnej osobie. Była to miła dziewczyna, bardzo skromna, z zawodu nauczycielka z prowincji Anglii.

Uścisnęłyśmy sobie jeszcze raz dłonie.

— Nie martw się, Dżed — powiedziała Dorota — jeszcze nadejdzie dla ciebie godzina rewanżu. Muszę ci się przyznać, że w trzecim secie myślałam, że już jest po mnie. Zaskoczyłaś mnie tempem i bardzo się zmęczyłam. Wszystkie moje plany taktyczne, tak misternie wypracowane przez wiele dni, nie zdały się na nic wobec twoich brawurowych ataków. Finał dzisiejszy był dla mnie o wiele cięższy niż ten, kiedy po raz pierwszy zdobyłam mistrzostwo świata, bijąc w finale Jacobs.

Do rozmowy dołączyła się Alicja Marble, którą pokonałam w półfinale. Była podniecona i zdenerwowana.

— Ach, Dżadża, jak śmiałaś zmarnować taką wspaniałą szansę! Mogłaś wygrać i powinnaś wygrać, bo jesteś w tej chwili najlepsza na świecie. Dlaczego masz takie słabe nerwy i ten jakiś niezrozumiały kompleks niższości?... Odniosłam wrażenie, że gdy w trzecim secie prowadziłaś 4:2, przestraszyłaś się, że możesz wygrać. Zaczęłaś grać ostrożnie i to cię zgubiło. Wtedy to właśnie Dorota zdołała przyjść do siebie.

Podszedł do mnie również sam wielki „Big Bill” — Tilden, który znajdował się w Wimbledonie w charakterze dziennikarza i zapytał mnie prosto z mostu:

— Dlaczego tak strasznie bałaś się wygrać?... Gdy prowadziłaś w ostatnim secie, zaczęłaś robić wszystko, aby przegrać. Zwolniłaś tempo, dopuściłaś Round do bekendu i pozwoliłaś jej chodzić do siatki. Nie martw się jednak, Dżadża. Jesteś jeszcze tak młoda. Ja wygrałem po raz pierwszy Wimbledon, gdy miałem już lat 40.

Na drugi dzień z wielkim zaciekawieniem zaczęłam studiować prasę. Jeden z dziennikarzy tak pisał o meczu:

„Najdramatyczniejszy ze wszystkich finałów stał się singel kobiet. Wczorajszy mecz był wspaniały. Odwaga i zaciętość, z jaką obie tenisistki walczyły w czasie wielkiego upału, wzbudziły największy podziw. W drugim secie tempo narzucone przez Polkę było fenomenalne, wtedy dominowała ona nad grą. W trzecim Jędrzejowską zgubiły nerwy. Popewniała zbyt wiele błędów przy serwowaniu”.

Sprawozdawca *Sunday Express* w ten sposób oceniał mecz:

„Był to najlepszy finał gry kobiet, o poziomie wyjątkowo wyrównanym i do ostatniej chwili nie było wiadome, komu przypadnie zwycięstwo w udziale. Jeśli chodzi o grę w głębi kortu — nie istniała pomiędzy tenisistkami żadna różnica. Round dysponowała wspaniałym bekhen-dem, a Jędrzejowska równie niebezpiecznym forhendem. Przy siatce Polka była nawet lepsza, gdyż mimo iż Round smeczowała niezawodnie, to dropszoty i minięcia przy siatce Jędrzejowskiej były zabójcze. Decydującą rolę w zwycięstwie Angielki odegrała jej większa regularność i odwaga w krytycznym momencie trzeciego seta.”

Po zakończeniu turnieju w Wimbledonie pozostałam w Anglii. Byłam bardzo zmęczona zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Anglicy zaprosili mnie do miejscowości wypoczynkowej Felixtown, gdzie miałam wziąć udział w bardzo łatwym turnieju, nie wymagającym żadnego wysiłku. Chętnie się na to zgodziłam, gdyż oczekiwał mnie wyjazd do Ameryki. Już w dniu 16 lipca miałam odpłynąć na S/M „Queen Mary” do Stanów Zjednoczonych, startować w mistrzostwach Ameryki w Forest Hills a następnie odbyć *tournée*.

Amerykanie niechętnie zapraszali europejskich tenisistów do siebie i jeśli któryś z graczy „starego ładu” chciał startować w Forest Hills, musiał płynąć za ocean na własny koszt. Zdziwiłam się też bardzo, gdy oświadczono mi, że Związek Amerykański pokryje wszystkie koszty związane z podróżą. Najwidoczniej Amerykanie skalkulowali, że moje *tournée* po Ameryce będzie dla nich korzystne i opłaci się im finansowo.

Zanim jednak wyjechałam do Ameryki spotkała mnie w Anglii interesująca przygoda. Pewnego dnia złożył mi wizytę Fred Perry, który, jak już wspominałam, po trzy-

krotnym wygraniu Wimbledonu został tenisistą zawodowym.

Fred przystąpił do sprawy bez żadnego wstępu.

— Dżed — powiedział tonem nie znośącym sprzeciwu — przystąp do „Cyrku Tildena” i podpisz z nami kontrakt na rok. Propozycja jest konkretna — dostaniesz 25 000 dolarów oraz 10 procent dochodu od rozgrywanych spotkań. Interes jest doskonały. Oczywiście zgadzasz się, umowa jest przygotowana, należy ją tylko podpisać.

Byłam zaskoczona. Już miałam wziąć pióro do ręki i położyć podpis. 25 000 dolarów! Taka okazja może nie zdarzyć się już nigdy w życiu.

Ale — stop. Pieniądze — to jeszcze nie wszystko w życiu. Będę miała raz na zawsze zamkniętą drogę do amatorskich turniejów. Zapomnę, jaką rozkoszą dla sportowca jest walka i zwycięstwo. Stanę się niewolnicą kortów — manekinem tenisowym... A może w przyszłości wygram turniej w Wimbledonie? Przecież to więcej warte niż wszystkie pieniądze.

I jeśli podpiszę kontrakt, to na wiele, wiele lat muszę się pożegnać ze swym rodzinnym krajem... W Polsce będą uważali mnie za dezerterkę, nigdy nie znajdę się na liście najlepszych sportowców swego kraju.

Odpowiedziałam Perryemu:

— Nic z tego, Fred. Ja nie chcę grać za pieniądze!

Na S/M „Queen Mary” \* Jestem własnością Amerykańskiego Związku Tenisowego \* Poznaje Nowy Jork \* Spotkanie z „baletnicą kortów” \* Czy Charlie Chaplin zna się na tenisie? \* Korty Greta Garbo

Do Nowego Jorku popłynęłam na S/M „Queen Mary”. Był to olbrzymi okręt przypominający pływające miasto. Zwiedzałam wielkie salony, sale restauracyjne, bary, sklepy, kino. Mogłam również trenować, gdyż na jednym z pokładów znajdował się kort tenisowy. Nie zapomniano także o pływalni. Na dziobie okrętu znajdowała się palmiarnia. Jednym słowem towarzystwo okrętowe otaczało pasażerów jak największym luksusem, gdyż były to czasy ostrej konkurencji pomiędzy przedsiębiorstwami żeglugowymi, które w różny sposób starały się zdobywać pasażerów.

Podróż była spokojna. Do Nowego Jorku przybyłam w dobrej formie. W porcie oczekiwali mnie przedstawiciele Tenisowego Związku Amerykańskiego, reprezentanci emigracji oraz naszej placówki dyplomatycznej. Oczywiście byli i dziennikarze, którzy zarzucili mnie lawiną pytań, mniej lub bardziej rozsądnych.

Natychmiast wpadłam w kołowrót amerykański. Załadowano mnie jak cenny towar do samochodu i zawieziono do jednego z hoteli, położonego przy Five Avenue. Wpakowano mnie do windy i wylądowałam na 30 piętrze!

I od tej chwili nie należałam do siebie. Stałam się własnością Związku Amerykańskiego. Już po kilku godzinach czytałam w rewolwerowych pismach reportaże z mojego przybycia do Ameryki. Czegóż o mnie nie wypisywano! Nazywano mnie *Polish Ace*, *Polish net queen* (polska królowa siatki), *Latająca Polka*, *Polish Tittlehol-der*, itd., itd.

Poważnie zlekłam się tych reklamowych tricków. Nazywano mnie na przykład *obrończynią tytułu* — była to oczywiście błaża, bo przecież do Ameryki nie przybyłam w obronie żadnego tytułu, którego nie posiadałam, nigdy bowiem przedtem w Stanach Zjednoczonych nie grałam. Przewzano mnie *królową siatki* — a każdy przecież ze specjalistów wiedział, że gra przy siatce była moją najslabszą stroną.

Reklamowanie mojej osoby jako tenisistki nie polegało jedynie na reporterskich trickach i blagach. Musiałam często pokazywać się w miejscach publicznych w towarzystwie prezesa Związku Tenisowego Ameryki — mr Roberta. Pokazywano mi Nowy Jork, którego panoramę oglądałam z najwyższych drapaczy chmur. Odbyłam spacer po Broadway — najdłuższej ulicy świata, po ulicy bankierów i wielkich finansistów Wall Street, po chińskiej dzielnicy i wielu interesujących miejscach. Pokazano mi również Madison Square Garden, gdzie odbywają się największe mecze bokserские. Właśnie w tym czasie wiele mówiono o walce o tytuł mistrza świata pomiędzy popularnym Joe Louisem a Anglikiem Farrem. Walkę tę odkładano, ponieważ interes nie chwycił za pierwszym razem. Honorarium dla obu pięściarzy miało wynosić 500 000 dolarów, a tymczasem w pierwszym terminie sprzedano biletów zaledwie za 100 000 dolarów.

Trzeba więc było na nowo puścić w ruch aparat reklamowy. Dziennikarze wypisywali różne sensacyjne rzeczy o obu bokserach i wreszcie zdołano wypełnić olbrzymią halę.

Na ogół spodziewano się łatwego zwycięstwa Louisa przez nokaut, a tymczasem spotkanie przeciągnęło się przez 15 rund i Murzyn zaledwie nieznacznie wygrał na punkty. Louis atakował niemal wyłącznie lewą pięścią. Jak się później dowiedziałam, na początku walki złamał dwa palce u prawej ręki i mimo to walczył przez kilkanaście rund. Wyobrażam sobie, jaki ból musiał odczuwać czarny pięściarz. Wiedział jednak dobrze, iż nie wolno mu zejść z ringu i zrezygnować z dalszej walki. Co by na to powiedzieli jego menażer i organizatorzy meczu? Nie mogli sprawić zawodu widzowi, a gdyby spotkanie zakończyło się zbyt szybko, na drugi raz publiczność nie zapełniłaby hali w Madison Square Garden.

Nie mogę nie wspomnieć o dzielnicy murzyńskiej — Harlem. Pokazano mi tam największy dansing. Już z daleka dostrzegłam światło reklamy i wielki błyszczący neonowy napis *Savoy*.

Sala była olbrzymia, tańczyło w niej kilkaset czarnych par splecionych w rytmie dzikiego jazzu. Wszystko odbywało się tam w takt muzyki. Nawet czarny kelner, który nam podawał napoje, podchodził do nas w tanecznych podrygach.

Akurat tej nocy odbywał się w *Savoy* konkurs tańców; impreza organizowana raz na tydzień. Początkowo zaczyna tańczyć kilkaset par, stopniowo komisja eliminuje gorsze, aż wreszcie pozostaje na parkiecie tylko osiem par. Finaliści wyprawiają akrobatyczne sztuki, żonglują swymi partnerkami i wyczyniają wokół nich cyrkowe salta.

Osiem par walczyło do upadłego, pot lał się strumieniami. Tancerze ledwie trzymali się na nogach, a mimo to szaleli na parkiecie.

Moi amerykańscy towarzysze zauważyli, że mam nieco zdziwioną minę, i czuli się w obowiązku udzielić mi kilku wyjaśnień. Dowiedziałam się, że zwycięskie pary są angażowane przez różnych impresario do prowincjonalnych teatrzyków, a nawet do Europy. Tańczą więc, aby uzyskać jak najkorzystniejsze warunki kontraktu.

A więc i tu, gdzie na pozór wszyscy powinni bawić się beztrudno, byłam świadkiem bezwzględnej walki o byt, walki o dolara. Wiele z tych młodych dziewcząt i chłopców zostało zawiedzionych w swych nadziejach. Nieprędko jeszcze „wytańczą” kontrakt. Teraz znów powrócą do bezrobocia, do biednych mieszkańek w Harlemie i codziennej nędzy.

Po kilku dniach byłam bardzo zmęczona „zwiedzaniem” Nowego Jorku i z zadowoleniem powróciłam na korty. Zresztą był już najwyższy czas, aby rozpocząć przygotowania do mistrzostw Ameryki, które miały się odbyć w Forest Hills pod Nowym Jorkiem.

Mistrzostwa Ameryki rozgrywane są w dwóch rzutach, na raty. Rozpoczynają się one w Bostonie od gier podwójnych, a następnie rywalizacja w singlu odbywa się w Forest Hills. Place w Forest Hills są dostosowane wyłącznie do gier w singla. Trawiaste boiska nie mają bocznych korytarzy i nie przyzwyczajonym zawodnikom wy-

dają się malutkie. Tenista europejski, który po raz pierwszy rozgrywa na nich spotkanie, odnosi wrażenie, że nie potrafi ułożyć piłki na tak małym korcie.

Przed mistrzostwami Ameryki rozegrałam kilka turniejów na prowincji. W czasie jednej z takich imprez przegrałam z mistrzynią USA — Marble, lecz już na turnieju o mistrzostwo Wschodnich Stanów pokonałam ją 7:5, 6:4.

W East Hampton na Long Island wygrałam z trzecią rakieta Ameryki — Fabyan-Palfrey 6:2, 6:3. W Bostonie w mistrzostwach deblowych grałam z Bundy i uległyśmy parze Beabcock, Ryan 7:5, 2:6, 6:8.

W turnieju w Forest Hills zostałam rozstawiona jako nr 1, a Marble nr 2. W połowie Marble znalazła się Chilijka — Anita Lizana, zwana „baletnicą kortów”. Z wyników losowania byłam zadowolona. Obawiałam się Lizany, lecz ona przedtem miała się spotkać z Marble i byłam pewna, że Alicja zdoła ją wyeliminować.

Wygrałam z Nennan 6:2, 6:1, pobiłam Hart 6:4, 6:2, gładko zwyciężyłam groźną jak zawsze Jacobs 6:4, 6:4 i dostałam się do finału... Przeciw mnie stanęła Lizana, która niespodziewanie pokonała w półfinale Marble.

Już wiele razy mówiłam, że nie potrafiłam skutecznie grać w czasie wielkiego upału. Gdy stawiałam do walki z Lizaną, było niezwykle gorąco i parno, powietrze mnie dusiło. Oczywiście nie tłumaczy to mojej porażki z Anitą. Po prostu Lizana grała lepiej, górowała szybkością. Musiałam opuścić kort pokonana 4:6, 2:6.

Na podstawie suchego wyniku można by sądzić, że w meczu tym nie stawiałam większego oporu. Wszystkie jednak gemy były niezwykle długie i niemal o każdą piłkę toczyła się zażarta walka. Anita bardzo inteligentnie atakowała moją najsłabszą stronę — bekhend.

Mecz ten nie wywołał żadnego zainteresowania w Forest Hills. Już wówczas szowinizm amerykański brał górę i Yankesów zupełnie nie obchodziła finałowa walka dwóch cudzoziemek. Byłoby inaczej, gdyby przeciw mnie lub Lizanie stanęła któraś z Amerykanek — wówczas miano by kogo dopingować.

Po mistrzostwach brałam udział w kilku mniejszych turniejach. Podróżowałam po Stanach Zjednoczonych w towarzystwie miss Wheeler oraz tenisistów Budge

i Mako. W Chicago pokonałam Wheeler 6:4, 7:5 i Niemkę Horn 6:4, 8:6. Poprzednio wygrałam ze wschodzącą gwiazdą amerykańską Osborne, która w latach 1948, 1949 i 1950 wygrywała Wimbledon.

Z Chicago miałam jechać do Hollywood i brać udział w mistrzostwach Pacyfiku. Cieszyłam się z tego zaproszenia, gdyż bardzo pragnęłam poznać świat filmowy.

Przed wyjazdem do Kalifornii dowiedziałam się, że znany teoretyk tenisa Wallis Myers (już dziś nieżyjący) ogłosił swą roczną listę najlepszych tenisistek świata na rok 1937. Znalazłam się na szczytnym trzecim miejscu za Lizaną i Round. Za mną sklasyfikowano zawodniczki tej klasy, co Krahwinkel, Mathieu, Jacobs, Marble, Horn, Hardwick i Bundy.

Z Chicago do Hollywood miałam zamiar jechać samochodem należącym do miss Wheeler. Podróż trwałaby jednak tydzień, a myśmy chciały jak najszybciej dostać się do Kalifornii. Zdecydowałyśmy się więc skorzystać z expressu, który nad brzegi Pacyfiku zawiózłby nas w trzy dni.

Istotnie, pociąg ten pędził „na złamanie karku”, zatrzymując się tylko dwa razy na dobę.

Nadchodził wieczór, byłam bardzo zmęczona podróżą i miałam ochotę położyć się. Przedtem jednak chciałam zdjąć z górnej półki walizkę. W momencie gdy się po nią wspięłam, pociąg znalazł się na łuku. Potoczyłam się z całą siłą w kierunku wejścia do przedziału i dużym palcem u nogi uderzyłam o drzwi. Poczulałam dotkliwy ból.

Moja towarzyszka podróży wszczęła alarm. Bezskutecznie szukano w całym pociągu lekarza. A nasz express miał się dopiero zatrzymać nazajutrz o 8 rano. Połączono się więc telefonicznie z najbliższą stacją i proszono, aby tam na mnie czekał doktor.

Nie mogłam usnąć w nocy, noga bardzo mi dokuczała, palec spuchł jak bania. Wreszcie express zatrzymał się. Na stacji oczekiwał lekarz, zbadał powierzchownie nogę i stwierdził, że to nic poważnego, wobec czego mogę jechać dalej.

Pociąg ruszył w dalszą drogę. Okłady przepisane przez doktora nic nie pomagały, palec puchł nadal i piekielnie bolał.

Byłam bardzo zadowolona, gdy już dojechaliśmy do

Los Angeles. Na dworcu czekała karetka sanitarna, która odwiozła mnie wprost do szpitala. Była to lecznica przeznaczona dla pracowników wytwórni filmowych. Umieszczono mnie w oddzielnym pokoju pod opieką dwóch pielęgniarek. Okazało się, że miałam złamany duży palec u nogi i trzeba było założyć igłę, która miała pomóc w zrosnięciu się kości. Był to zabieg ogromnie bolesny. Doktorzy powiedzieli, że w samą porę przybyłam do Los Angeles, gdyż dalsze pozostawanie bez opieki lekarskiej groziło zakażeniem. Po założeniu igły nogę unieruchomiono w gipsie na dłuższy czas.

Nie pamiętam, ile dni leżałam, a tymczasem turniej już się rozpoczął. Myślam, że byłam ciągle na kortach i marzyłam o dniu, kiedy pozwolą mi opuścić łóżko. Wreszcie któregoś poranka doktorzy zdecydowali, że będę mogła udać się na stadion. Wnoszono mnie do samochodu na specjalnym fotelu, a gdyśmy dojechali na miejsce, moją lektykę ustawiono w łóży na trybunach.

W czasie jednej z takich wypraw na korty w mojej łóży usiadł szpakowaty pan, który mi się bardzo przyglądał. Akurat na placu walczyli dwaj znani tenisisci — Cramm i Mako.

— Ależ ci chłopcy fuszerują — odezwał się zgryźliwym tonem.

Zaprotestowałam gwałtownie, gdyż mój sąsiad nie miał absolutnie racji. Obaj tenisisci grali zupełnie dobrze.

— Pani się myli — oni popełniają kardynalne błędy. O! — niech pani patrzy, teraz Mako powinien podbiec do siatki, a pozostał w głębi kortu... Już stracił piłkę.

Byłam zła. Uwagi „szpakowatego” nie były trafne, więc powiedziałam dość ostro:

— Widzę, że pan zupełnie nie zna się na tenisie...

Nasza rozmowa przemieniła się w dość ostrą utarczkę słowną. Uparcie stawiałam w obronie kolegów na korcie.

Do tej rozmowy wtrącił się mój opiekun:

— Dżadża, czy pani wie, kto jest ten pan?...

— Nie mam pojęcia, wiem tylko jedno, że nie zna się zupełnie na tenisie i niepotrzebnie zabiera głos w tej dziedzinie...

— Ale on za to bardzo dobrze zna się na filmie, a jeszcze lepiej na psychologii ludzi — to Charlie Chaplin...

Gdybym nie miała nogi w gipsie, niewątpliwie uciekla-

bym złoży. Tyle razy w życiu podziwiałam Chaplina na ekranie i byłam jego gorącą entuzjastką... A teraz siedziałam obok tego wspaniałego aktora i nie poznałam go! Co za wstyd!

Zaniemówiłam. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Chaplin spostrzegł moje zażenowanie i podszedł do mnie z czarującym uśmiechem.

Przedstawił się i zaczął mówić:

— Bardzo panią przepraszam za tę małą kłótnię. Istotnie, zachowałem się jak smarkacz, lecz przyznam się szczerze, że to była gra. Chciałem panią poznać i szukałem pretekstu. Po prostu zacząłem ganić grę Cramma i Mako, bo wiedziałem, że nie mam racji, i że pani zacznie protestować... No, i nawiąże się pomiędzy nami rozmowa.

Od tej pory bardzo zaprzyjaźniłam się z Charlie. Siedział zawsze obok mnie i opowiadał wiele niezmiernie interesujących historii i ciekawostek ze swej kariery filmowej i z życia amerykańskiego.

Kiedyś opowiadał mi, jak przed pierwszą wojną światową stawiał pierwsze kroki na deskach scenicznych. Dzięki protekcji starszego brata Sydneya, który również był aktorem, dostał się do znanej swego czasu w Anglii trupy Freda Karno. Przedsiębiorstwo Freda Karno nazywano na Wyspach „fabryką śmiechu”. Karno posiadał swe teatryki niemal we wszystkich miastach angielskich.

Dyrektor Karno nie znośił Chaplina. Czuł do niego antypatię, twierdząc, iż jest to aktor pozbawiony wszelkiego talentu. Tolerował Chaplina tylko ze względu na jego starszego brata.

W łóżu Chaplina spotkałam wielu popularnych aktorów filmowych. Byli dla mnie niezmiernie uprzejmi i bardzo się z nimi zaprzyjaźniłam. Opowiadali mi wiele historii z życia filmowego, a pewnego dnia dowiedziałam się od nich o potwornej sprawie. Może pamiętacie Shirley Temple? Była to urocza malutka dziewczynka, od najmłodszych lat grała w filmach i była uważana za „cudowne dziecko Hollywoodu”. Ale Shirley rosła, z małej dziewczynki przeistaczała się w dorastającą pannę i z miesiąca na miesiąc traciła swą „wartość handlową” dla przedsiębiorców filmowych. Olbrzymie dochody, które dzięki córce zyskiwali rodzice, kurczyły się szybko. I za-

częła się tragedia — dowiedziono, że rodzice sztucznie tamowali rozwój fizyczny i umysłowy swej córki...

Już po wojnie dowiedziałam się z prasy francuskiej, iż Chaplin zawsze interesował się sportem i to sportem prawdziwym. Kiedyś przebywał na urlopie u swego przyjaciela na głębokiej prowincji francuskiej i nawiązał kontakt z wiejskim klubem sportowym. Ze swych funduszy zakupił dla wiejskich sportowców sprzęt i zapisał się na członka klubu — oczywiście tylko w tym celu, aby wspomagać go finansowo. Składkę członkowską Chaplin wysyłał regularnie.

Wokół kortów często widywałam niemal wszystkich znanych aktorów filmowych z wyjątkiem Greta Garbo. — Czy Greta Garbo nie lubi tenisa? — zapytałam któregoś z moich nowych przyjaciół.

— Greta ubóstwia tenis i nawet posiada własny kort, lecz tu nie pokaże się za żadne skarby świata... To bardzo dziwna postać. Wydaje jej się, że tylko na ekranie potrafi czarować widzów swą niezwykłą urodą, a w życiu codziennym, gdy nie ma odpowiedniego makijażu, jest raczej brzydka, piegowata i nie interesująca. I z tego wysnuła wniosek, że w jej osobistym interesie — jak również i wytwórni filmowej, nikt nie powinien oglądać jej poza ekranem.

Dlatego też Greta, opuszczając swą willę i wyjeżdżając do Los Angeles czy też do innego miasta, zakrywała zawsze twarz gęstym woalem.

Pewnego razu zapytano mnie:

— A może pani chce zobaczyć kort, jakiego pani jeszcze nie widziała nigdy w życiu?

Oczywiście, zgodziłam się chętnie. Pojechalśmy samochodem do dzielnicy, w której wiele gwiazd filmowych miało swe własne wille. Były to wspaniałe rezydencje.

— Wiele z tych will będzie wkrótce do sprzedania — szepnął mi towarzysz i w tonie jego głosu usłyszałam ironię. — Niektóre gwiazdy są już u schyłku kariery, ich pałacyki wkrótce zabierze urząd skarbowy za zaległe podatki.

Nasz samochód zatrzymał się przed pięknym domkiem.

— Tu właśnie mieszka Greta Garbo.

— A gdzie jest ten niezwykły kort? — zapytałam z zaciekawieniem.

Pokazano mi wysokie, niedostępne mury. Ściany te otaczały ze wszystkich stron kort Greta Garbo.

Kto wie, czy Garbo za pomocą tych dziwnych kaprysów nie chciała zdobyć jeszcze większej popularności i zarabiać w Hollywood coraz więcej dolarów?

Po pewnym czasie miałam już zupełnie dosyć pobytu w Ameryce. Chciałam jak najprędzej wracać do kraju, lecz lekarze uważali, że powinnam jeszcze jakiś czas pozostać w szpitalu. Wbrew ich opinii wybrałam się w drogę powrotną. Mogłam już zupełnie nieźle chodzić o kulach i dawałam sobie świetnie radę.

Po kilkudniowej podróży przybyłam szczęśliwie do Nowego Jorku i otrzymałam kabinę na polskim okręcie!

Nareszcie znalazłam się wśród swoich. Nigdy nie zapomnę, z jaką serdecznością przyjmowała mnie załoga.

Na pokładzie obchodziłam imieniny. Załoga zgotowała mi wiele niespodzianek, kucharze sporządzili wspaniały tort ozdobiony rakietami wykonanymi z czekolady.

Cieszyłam się szczerze, że po tylu miesiącach nieobecności powracałam do kraju. Żałowałam tylko, że nie mogłam tańczyć — a tak bardzo lubię tę rozrywkę!

Na morzu poznałam Tadeusza Jarosza. Jechał po raz pierwszy do Polski, aby odwiedzić babkę zamieszkałą na wsi pod Tarnowem.

Jarosz był bokserem zawodowym i zdobył w Ameryce mistrzostwo świata w kategorii średniej. Był to bardzo miły i skromny chłopak. Nie mógł doczekać się przybycia okrętu do Polski i spotkania z nieznaną ojczyzną. Teddy — tak go bowiem popularnie zwano — zakochał się w Gdyni i w drodze powrotnej do Ameryki pozostał w naszym porcie przez kilka tygodni.

Przy okazji wspomnę, że Polacy w Stanach Zjednoczonych czterokrotnie już zdobyli tytuły mistrzów świata na ringach — i to w kategorii średniej. Pierwszym zdobywcą tytułu był Stanisław Kiecał, zwany w USA — Ketschelem, z pochodzenia polski górą, bokser, który zdobył światową sławę.

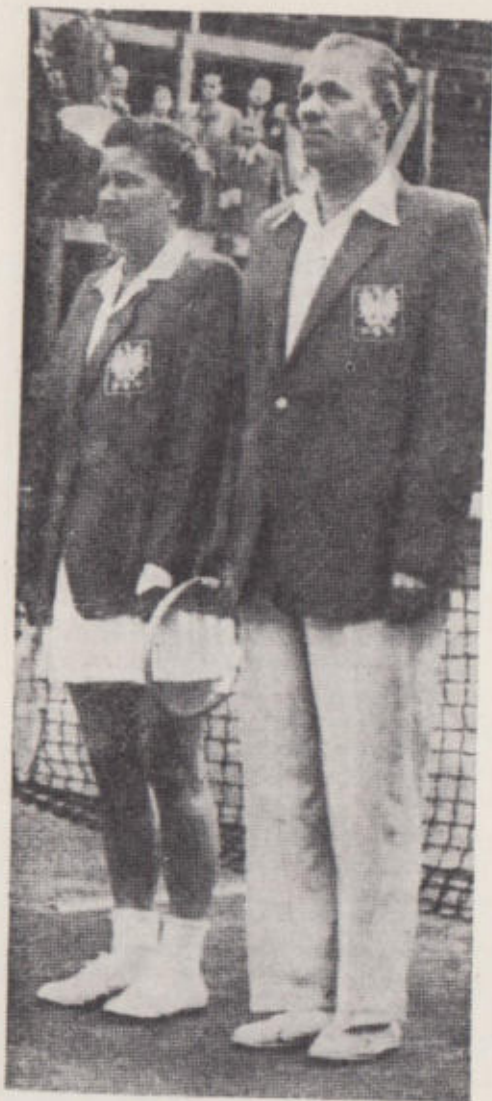
Przed wojną mistrzem został wspomniany Jarosz, któremu odebrał tytuł również Polak „Risco” — Pyłkowski. Po wojnie mistrzem świata był Zale-Zalewski, doskonały bokser, którego wreszcie zdołał pokonać Francuz Cerdan.

Jadwiga Jędrzejowska  
z Ignacym Tłoczyńskim  
pod Łukiem Tryumfalnym  
podczas pierwszego  
pobytu w Paryżu



Jędrzejowska w przyjacielskiej rozmowie z Myersem, który przed wojną układał listy najlepszych tenisistów świata





Zasłużona para reprezentantów polskich barw — Jadwiga Jędrzejowska i Józef Hebda — jeszcze po wojnie odnosiła sukcesy w grze mieszanej

Podczas morskiej podróży nie obyło się bez burzy. Ocean rzucał naszym okrętem jak pudełkiem od zapalek. Pasażerowie z trudem mogli utrzymać się na nogach, a coś dopiero ja, która miałam wtedy tylko jedną zdrową...

Wreszcie przybyliśmy do Gdyni. W porcie oczekiwali mnie: przedstawiciel Polskiego Związku Tenisowego i specjalny wysłannik Przeglądu Sportowego, któremu przez całą drogę do Warszawy musiałam opowiadać o mych amerykańskich przygodach.

W Warszawie na dworcu zgotowano mi serdeczne przyjęcie. Otrzymałam moc kwiatów, winszowano mi sukcesów.

Po pewnym czasie musiałam poddać się operacji. Lekarze usunęli igłę z palca. Kość zrosła się dobrze — na przyszły rok będę mogła powrócić na kort!

W tym czasie w Warszawie odbyły się mistrzostwa polski w tenisie. Wzięło w nich udział wielu tenisistów, w tym również Amerykanie. W Warszawie w tenisie mieszałym zwyciężyła para polska, którą tworzyli Józef Hebda i Jadwiga Jędrzejowska. W tenisie mieszałym Hebda i Jędrzejowska zwyciężyli również w turnieju par. W tenisie mieszałym Hebda i Jędrzejowska zwyciężyli również w turnieju par. W tenisie mieszałym Hebda i Jędrzejowska zwyciężyli również w turnieju par.

W tym czasie w Warszawie odbyły się mistrzostwa polski w tenisie. Wzięło w nich udział wielu tenisistów, w tym również Amerykanie. W Warszawie w tenisie mieszałym zwyciężyła para polska, którą tworzyli Józef Hebda i Jadwiga Jędrzejowska. W tenisie mieszałym Hebda i Jędrzejowska zwyciężyli również w turnieju par. W tenisie mieszałym Hebda i Jędrzejowska zwyciężyli również w turnieju par. W tenisie mieszałym Hebda i Jędrzejowska zwyciężyli również w turnieju par.

*Wyjeżdżam do Anglii • Znow spotkanie  
z Hildą Krahwinkel • Wielki pojedynek  
dwóch Helen • Za oceanem po raz drugi •  
Zawieram przymierze z Mathieu • Jadę przez  
III Rzeszę*

Sezon 1938 roku rozpoczęłam jak zwykle wyprawą na Riwierę. Stając po raz pierwszy na korcie przeżywałam niemałe emocje. A może odezwie się ta nieszczęsna amerykańska kontuzja? Na szczęście nie odczuwam żadnego bólu, gram jak za dawnych, dobrych czasów.

Wpadam znow w wir walki, uczestniczę w wielu turniejach. W Monte-Carlo biję Scriven 6:4, 6:3, w Mentonie wygrywam z dobrą tenisistką jugosłowiańską Kovacs 4:6, 8:6, 6:2.

Wracam do kraju, lecz nie pozostaję tu długo. Wygrywam w Budapeszcie turniej o mistrzostwo Węgier, a nieco później w Wiedniu mistrzostwo Austrii. Grywam chętnie, gdzie tylko jest okazja do walki i treningu. Chodzi mi o jak najlepsze przygotowanie do turnieju wimbledońskiego.

Już w czerwcu wyjeżdżam do Anglii. Startuję w turnieju Weybridge i gładko przegrywam z Marble 2:6, 3:6. Startowałam wówczas po niedawno przebytej grypie i zabrakło mi sił. Lecz brak kondycji nie był główną przyczyną porażki. Niestety, przystąpiłam do tego spotkania bez należytej woli zwycięstwa.

W turnieju brała udział sławna tenisistka amerykańska Helena Wills Moody, wielokrotna mistrzyni Ameryki i świata. Nigdy nie stałam na drodze Heleny, a zawsze marzyłam, aby się z nią zmierzyć. Wydawało mi się, że jestem już dostatecznie silna, abym mogła ją pokonać.

Teraz w Weybridge nadeszła okazja. Wszystkie moje myśli koncentrowały się wokół ewentualnego pojedynku.

Pilnie obserwowałam sposób gry Heleny i już układałam sobie plany taktyczne. A tymczasem... Wills, ku ogólnemu zdziwieniu przegrała z Angielką Hardwick. Moje marzenia prysły jak bańka mydlana i straciłam całe zainteresowanie turniejem. Było mi już zupełnie obojętne, z kim się teraz spotkam i czy zwyciężę, czy też zostanę pokonana.

W takim stanie psychicznym stanęłam do walki z Marble. Grałam bardzo niestarannie, nie mogłam skoncentrować uwagi myśląc ciągle o Moody. Zeszłam z kortu pokonana.

Dotychczas nie miałam okazji wspomnieć o Moody Wills, a historia tej tenisistki jest interesująca i charakterystyczna. Helena Wills pokazała się po raz pierwszy w 1922 roku na kortach Forest Hills w czasie mistrzostw Ameryki. Nikt jej wówczas nie znał, nikt o niej nie słyszał. Była niemal dzieckiem, dziewczynką z dwoma długimi warkoczami. Grała wspaniale, eksperci orzekli, że jest to „cudowne dziecko tenisa”.

Wills dorastała, krzepły jej siły i wkrótce uznano ją za najlepszą raketę Ameryki. Niestety, jednocześnie z wzrastającym powodzeniem ta ładna dziewczyna stawała się coraz bardziej dumna i trudno ją było nazwać miłą. Grała rolę dostojnej członkini międzynarodowej elity tenisowej. Zyskała sobie opinię niedostępnej egoistki. Dziennikarze, którym w dużej mierze zawdzięczała swoją popularność, musieli po kilka godzin wyczekiwać w przedpokoju, zanim wielka Helena raczyła z nimi zamienić kilka słów. Kapryśna mistrzyni była postrachem wszystkich kierowników turniejów.

W tym samym czasie we Francji królowała wspaniała tenisistka — Zuzanna Lenglen. Helena spotkała się z Zuzanną w Cannes. Mecz wywołał niesłychane zaciekanie na świecie. Francuzka wygrała. Zwyciężyła, gdyż miała więcej fantazji, inicjatywy i umiała urozmaicać grę różnymi uderzeniami, a często improwizowała akcje, których najmniej można było się spodziewać. Helena grała raczej szablonem, wspaniale wypracowanym szablonem, który ją zgubił.

Był to pierwszy i ostatni mecz tych największych tenisistek świata. Od tej chwili już nigdy więcej nie zmierzyły się. Lenglen, upojona triumfem, uważała, że jej

amatorska kariera się skończyła. Wkrótce została zawodową tenisistką.

Helena powróciła do Ameryki, wędrowała po wielkich turniejach darując czasami gema, a rzadko seta, lecz nigdy zwycięstwo. Publiczność ubóstwiała jej grę, a Wills coraz bardziej przewracało się w głowie.

W 1934 roku w finale Forest Hills spotkały się, jak wiele razy przedtem, Helena Wills i Helena Jacobs. Nikt nie wątpił w sukces Wills, lecz gdy mecz się zaczął — spostrzeżono ze zdumieniem, że faworytka gra poniżej formy. Straciła pierwszego seta i znalazła się u progu porażki, w drugim Jacobs prowadziła 5 : 2 i 30 : 0.

I oto nagle Wills opuściła rakietę i zeszła z placu. Raczyla tylko powiedzieć, że bołą ją plecy. Publiczność była oburzona. Nie miano pretensji do Wills, że uległa, lecz że przegrała niesportowo, że uciekła z placu boju jak tchórz. Pobila przecież tyle razy Jacobs, a ta walczyła zawsze do końca. Tymczasem Wills uważała za stosowne zasłonić się jakąś urojoną czy może nawet rzeczywistą chorobą. Pisano, że jest dezterką, że należy się jej babcia z rodziny sportowej. Zdawało się, iż kariera Wills została zakończona.

Wyjechała do San Francisco i przez wiele miesięcy nikt nie wiedział, co się z nią dzieje. I oto nagle na wiosnę zjawiała się w Nowym Jorku. Zmieniła się bardzo, stała się uprzedzająco grzeczna dla dziennikarzy.

Nadszedł Wimbledon. Wills miała wiele szczęścia i doszła do finału. Spotkała się znów z Jacobs. Jacobs wygrała pierwszego seta 6 : 3, Wills drugiego w tym samym stosunku. W trzecim Jacobs rozpoczęła finisz w wielkim stylu i prędko prowadziła 5 : 1 i 40 : 30.

Wills odbiła meczową piłkę lobem, krótkim łatwym lobem, który spadł tuż za siatkę. Stała spokojnie, wyprostowana, czekając na cios miłosierdzia. Najwidoczniej chciała dać do zrozumienia, że nie warto już walczyć i tchórzliwie poddawała się losowi.

Lecz stało się coś nieprawdopodobnego. Jacobs, na krok przed zwycięstwem, najłatwiejszą piłkę, którą nawet dziecko zabiłoby smeczem, wpakowała w siatkę. A potem już nie mogła zdobyć punktu. Wills za każdą piłką odzyskiwała pewność siebie i stracony teren. Wygrała mecz i tytuł mistrzyni świata!

Ale ostatecznie Wills ponownie stchórzyła przed Ja-

cobs. Nie chciała w tym roku kusić losu. Po raz drugi nie stanęła do mistrzostw Ameryki, w których znów musiałaby się spotkać z największą rywalką — Jacobs.

A może jednak będę miała okazję zagrania z Moody Wills? Dowiedziałam się, że została zgłoszona do przedwimbledońskiego turnieju w Queens Clubie. Ale do tych zawodów staje również moja rywalka — zmora Hilda Krahwinkel-Sperling. Z jedną i drugą bardzo bym chciała spróbować sił. Tak się jednak złożyło, iż Hilda musiała najpierw rozegrać spotkanie z Heleną Wills. Z zainteresowaniem i emocją obserwuję ten pojedynek. Z którą z tych rywek będę jutro walczyła?...

Krahwinkel-Sperling znajduje się we wspaniałej formie. Długimi piłkami atakuje Amerykankę i często wyrzuca ją z kortu. Helena przegrywa, beznadziejnie przegrywa. A więc znów, chyba już po raz 15 w życiu czeka mnie rozprawa z Hildą. Czy i tym razem mam zejść z placu pokonana?... Tylokrotnie już z nią walczyłam i nigdy nie umiałam znaleźć sposobu, aby osiągnąć sukces.

Krahwinkel-Sperling zdawała sobie dobrze sprawę ze swej przewagi i była przekonana, że i tym razem odeśle mnie szybko do szatni. Jej pewność siebie była zupełnie usprawiedliwiona, gdyż istotnie znajdowała się we wspaniałej formie.

Zaczynamy grać. Zdobywam pierwszego gema. Hilda jednak szybko wyrównuje ze swego serwisu i zdobywa dwa następne! Aha! — zaczyna się stara historia — widocznie i teraz zejść z boiska pokonana. Jednocześnie przypominam sobie, że na trawiastym korcie spotykam się z Hildą po raz pierwszy i widzę, że moje piłki są szybsze i że o wiele pewniej poruszam się na zielonym dywanie niż moja wysoka przeciwniczka.

Zaostrzam grę i wpadam w jakiś dziwny stan, jak gdybym straciła świadomość tego, co się dzieje na korcie. Wiem tylko tyle, że muszę odbijać coraz mocniej i coraz szybciej. Staję się idealnym automatem do wyrzucania piłki. Nic nie widzę prócz białych kulek i prócz Hildy z tamtej strony kortu. Nic nie słyszę prócz dźwięku strun i warkotu przelatujących piłek. Od tej chwili nie oddaję już ani jednego gema i seta wygrywam 6 : 3.

W drugim secie w dalszym ciągu znajduję się w transie. Zaledwie po kilkunastu minutach osiągam zwycięst-

wo 6:0! Ale w dalszym ciągu nie zdaję sobie sprawy z sukcesu, wydaje mi się, że mecz trwa dalej. Ciągłe jeszcze stoję na korcie, a sędzia już dawno ogłosił moje zwycięstwo. A więc spełniły się moje nadzieje, nadeszła godzina rewanżu.

Hilda podeszła do mnie i powinszowała mi:

— Nigdy w życiu tak świetnie ze mną nie grałaś jak dziś.

W wieczornych gazetach przeczytałam kilka recenzji z meczu, które sprawiły mi dużą satysfakcję. Jeden z dziennikarzy pisał:

„Jędrzejowska zademonstrowała tak silny drajw, jakiego jeszcze dotąd Londyn nie oglądał”.

Sprawozdawca *Observera* skreślił takie sprawozdanie:

„Niełatwo jest złamać odwagę tej polskiej dziewczyny! Dokonała ona nieprawdopodobnej sztuki. Wygrała z Krahwinkel 11 gemów z rzędu! Tajemnica jej sukcesu opiera się na trzech elementach — długości i sile piłek oraz na precyzyjnie mierzonych dropszotach. Krahwinkel była bezradna wobec furii uderzeń i wobec zdradliwych dropszotów. Do niektórych piłek nie potrafiła dojść: przystawała w podziwiew na środku kortu. Upór, metodyczność — nic nie pomogło... Jędrzejowska wyrzucała rywalkę poza linię kortu. Każdy, kto grał z Hildą, wie, że to rzeczy niesłychane”.

Po zwycięstwie nad Krahwinkel uważano mnie w Londynie za jedną z faworytek Wimbledonu. Istotnie, w czasie turnieju w Queens Clubie czułam się świetnie, grałam jak nigdy dotychczas. I raptem... — gdy stanęłam na kortach wimbledońskich przeraziłam się: spostrzegłam, że tracę formę w zadziwiający sposób.

Jeszcze kilka dni temu moje piłki miały wspaniałą precyzję, a dziś przestały mnie słuchać, padają na auty, grzęzną w sieci. Nie umiem sobie wytłumaczyć, co mogło się stać i co spowodowało taki spadek. Sądzę, że mecz z Krahwinkel wyczerpał moje siły i nerwy. Przeżywałam go zbyt głęboko.

W Wimbledonie zupełnie niepotrzebnie oddałam drugiego seta Australijce Stevenson. W Queens Clubie moje podania czyniły wiele kłopotu partnerkom. Teraz serwuję miękko i często umieszczam piłkę w siatce. Straciłam również seta w walce z King (6:2, 4:6, 6:4). A to do-

piero początek, co będzie, gdy zmierzę się z czołowymi zawodniczkami świata?...

A tymczasem Wimbledon rozpoczął się od sensacji. Pierwszego dnia Lizana, którą ubiegłego roku uważano za pierwszą rakieta świata, przegrała z Francuzką Mathieu. Anita przybrała na wadze i straciła szybkość, może dlatego grała o wiele słabiej. W światku tenisowym mówiono, że zakochała się w pewnym Szkocie, którego ma wkrótce poślubić.

W czasie tego meczu Mathieu pracowicie zgarniała piłki i męczyła senioritę długimi wymianami. Anita niecierpliwiła się i wiele psuła.

W półfinale grałam z Jacobs. Walczyłam bez wiary w zwycięstwo i zostałam wyeliminowana. Jacobs stanęła do meczu finałowego przeciw swej szkolnej koleżance Wills Moody.

Walka dwóch Helen już od pierwszych gemów staje się niesłychanie zażarta i prowadzona jest ze zmiennym szczęściem. Nagle w ósmym gemie pierwszego seta Jacobs rzuca się do beznadziejnej piłki i usiłuje ją ratować. Traci jednak równowagę i ciężko pada na kort. Podnosi się z trudem z twarzą wykrzywioną bólem. Widać, że naprawdę cierpi. Kuleje, ledwie się porusza. Dalsza gra staje się już tylko przykrym widowiskiem.

Wills nie odzywa się do przeciwniczki ani jednym słowem, chociaż widzi, że Jacobs kuleje i cierpi. Publiczność oczekuje, że Moody podejmie do swej koleżanki i zaproponuje jej choć krótką przerwę. Nic podobnego! Moody — kobieta — jak ją nazywano o „twarzy pokrzywisty” — nie zwraca najmniejszej uwagi na kuszącej ją Jacobs. Przeciwnie, gra jeszcze ostrzej i bezlitośnie kończy koleżankę — inwalidkę. Jacobs już nie biega, a statystuje, nie ustępuje jednak z placu boju.

Na początku drugiego seta podchodzi do Jacobs jedna z członkiń komitetu turniejowego i zapytuje, czy nie zechciałaby odpocząć. Jacobs odrzuca tę propozycję. Wills nie mrugnęła nawet okiem. Przechodzi przy zmianie stron kortu tuż koło Jacobs, niemal się o nią ociera, lecz spuszcza oczy i udaje, że jej nie widzi.

I w ten sposób wygrała Wimbledon Moody Wills. Po dłuższej przerwie już po raz ósmy została mistrzynią świata.

Mecz ten wywarł na mnie przykre wrażenie. Nie mo-

głęboko zrozumieć, jak można być tak okrutną na korcie i to w dodatku w stosunku do swej szkolnej koleżanki i rodaczki.

Moody walczyła o wielką stawkę. Obiecano jej, że jeśli jeszcze raz wygra Wimbledon, zostanie przyjęta do „Cyrku Tildena”, gdzie oczekuje na nią bardzo korzystny kontrakt. Wills grała więc o dziesiątki tysięcy dolarów i nią poza tym nie obchodziło. Zapomniała o prawdziwym sporcie, zapomniała o więzach przyjaźni. Myślała wyłącznie o businessie.

Po mistrzostwach w Wimbledonie zostałam po raz drugi zaproszona przez Amerykański Związek Tenisowy do Stanów Zjednoczonych.

Moja powtórna wyprawa za ocean nie była udana. Złożyło się na to wiele przyczyn. Po pierwsze, znajdowałam się w słabej formie. Po drugie, gdy przybyłam do Ameryki, zaczęły przychodzić z Europy groźne wiadomości. Hitler wszelkimi sposobami dążył do rozbioru Czechosłowacji. W Stanach Zjednoczonych o niczym innym nie mówiono, jak tylko o zbliżającej się wojnie. Oczywiście tego rodzaju nerwowa atmosfera nie mogła sprzyjać grze w tenisa.

W mistrzostwach Stanów Zjednoczonych startowałam bez zapału. Jesień tego roku była wyjątkowo deszczowa, a rozgrywki często przerywano z powodu złej pogody.

Do ćwierćfinału doszłam po zwycięstwie nad rutynowaną zawodniczą Wortman 6:4, 6:2. W następnej kolejce spotkałam się z dobrze mi znaną Amerykanką Fabyan, którą już nieraz zwyciężałam. Przed meczem zwracano mi uwagę, że kort po deszczu jest bardzo śliski i należy włożyć pantofle z kolcami, podobne do tych, jakich używają lekkoatleci. Niestety, nie posłuchałam i zlekceważyłam Fabyan. Stałam na trawiastym korcie w zwykłych tenisowych pantoflach i ślizgałam się jak na łyżwach. Amerykanka okazała się o wiele przezorniejsza i zaopatrzyła się w odpowiednie obuwie.

Mecz trwał krótko, Fabyan wyeliminowała mnie gładko 6:1, 6:4.

Kiedy schodziłam z kortu pokonana, bodaj po raz pierwszy w życiu byłam zadowolona z porażki. Odetchnęłam z ulgą na myśl, że będę mogła powrócić do Polski i że moje zobowiązania wobec Związku Amerykańskiego zostaną rozwiązane.

Przez cały czas dręczył mnie bowiem nerwowy niepokój, czy aby zdążę powrócić do Polski przed wybuchem wojny? Co będzie, jeśli zostanę odcięta od rodzinnego kraju? Za nic bowiem w świecie nie chciałam pozostać w Ameryce.

Zapraszano mnie na szereg turniejów do Kalifornii, lecz stanowczo odmówiłam. Przed opuszczeniem Stanów Zjednoczonych zaproponowano mi jeszcze raz, abym pozostała w Ameryce i przystąpiła do trupy zawodowych tenisistów. Było to w czasie, kiedy „Cyrk Tildena” już bardzo się opatrzył i przestawał przynosić odpowiednie dochody. Amerykanie szukali czegoś nowego, czegoś sensacyjnego, imprezy, która by wywołała niezwykle zainteresowanie.

— Zorganizujemy „Cyrk Tildena” w spódnicach... — tłumaczyła mi miss Tennant. — Może pani być przekonana, że interes chwyci i będzie pani bardzo zadowolona.

Miss Tennant była bardzo sprytną osobą. Stała się ona nieodłączną towarzyszką i trenerką Marble, jeździła wraz z nią na turnieje. Znała wszystkie tenisistki świata i orientowała się doskonale w kulisach tenisa. Jej to powierzono organizację „cyrku”.

Nie wiem, jakie były dalsze koleje akcji miss Tennant, o ile jednak dobrze pamiętam, w 1940 roku przystąpiły do „cyrku” Marble, Moody Wills i jeszcze kilka innych tenisistek. Lecz impreza „nie chwyciła” i przedsięwzięcie splajtowało.

Z miss Tennant pożegnałyśmy się dość chłodno. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego odrzucam tak ponętą propozycję i powracam do Europy.

Byłam bardzo szczęśliwa, gdy dotarłam do granicy Polski. Zimę spędziłam w Warszawie. Sytuacja polityczna, jak nam się zdawało, uległa odprężeniu i na początku 1939 roku zaczęłam znów tęsknić za tenisem. Projektowałam dość wczesny wyjazd na Riwierę, lecz został on opóźniony, gdyż przechodziłam ciężką gripę. Na południu Francji grałam stosunkowo krótko i startowałam tylko w ważniejszych turniejach.

W maju, jak zwykle pojechałam do Paryża na mistrzostwa Francji i doszłam do finału. Mam walczyć z madame Mathieu, lecz przewiduję już z góry, że mistrzostwa nie zdobędę. Jeszcze chyba nie było takiego wypadku w Paryżu, aby cudzoziemka mogła w finale pokonać

miejscową tenisistkę. Zwycięstwo nad Francuzką na centralnym korcie, obsadzonym wyłącznie przez miejscowych sędziów liniowych, było nieomal wykluczone.

Musiałam się więc ograniczyć do wicemistrzostwa, choć z Mathieu stoczyłam dobry mecz, a w drugim secie losy spotkania wisiały na włosku. Uległam 3 : 6, 6 : 8.

Swego czasu moje stosunki z Mathieu były bardzo napięte. Jak to się mówi — „darłyśmy koty”. Lecz ta „wojna” na szczęście się skończyła. Miałam dar zjednywania sobie ludzi. Mówiono, że posiadam wiele pogody ducha, wieczny humor i moja radość życia pociąga innych i zbliża do mnie kolegów. Na mojej drodze spotkałam wiele tenisistek, które początkowo boczyły się, lecz później Ignęły do mnie i stawały się największymi przyjaciółkami. Byłam zawsze zdania, że w sporcie, nawet przy największej rywalizacji, należy pamiętać o przyjaźni. Mathieu zaproponowała mi, abym razem z nią grywała w deblu. Chętnie się zgodziłam i odniosłyśmy wiele sukcesów, a nawet wygrałyśmy turniej paryski.

Z Paryża wyjechałam do Londynu, gdzie broniłam tytułu mistrzyni tego miasta. W półfinale spotkałam się z Fabyan — zawodniczką, która ubiegłego roku wyeliminowała mnie z mistrzostw Ameryki. I tym razem grałyśmy po deszczu na śliskim korcie. Aż sześć razy przewróciłam się w czasie tego pojedynku, który trwał przeszło dwie i pół godziny. Wygrałam z trudem 11 : 9, 2 : 6, 6 : 4. W trzecim secie było ze mną już bardzo źle, bo Amerykanka prowadziła 3 : 1.

W finale podobnie jak ubiegłego roku, grałam z Krahwinkel-Sperling. Tym razem nie bałam się Hildy, gdyż zdawałam sobie sprawę, że na kortach trawiastych jestem silniejsza od niej. Odniosłam zwycięstwo 6 : 1, 6 : 4, po raz czwarty w życiu zdobywając mistrzostwo Londynu.

Szykowałam się teraz do turnieju wimbledońskiego i z wielką emocją oczekiwałam wyników losowania. Jak się później dowiedziałam, losowanie przeprowadzano dwukrotnie. Według pierwszego, spotykałam się w ćwierćfinale z Mathieu lub Krahwinkel. Tego rodzaju układ gier był raczej korzystny, ponieważ obie moje przeciwniczki na kortach trawiastych nie były dla mnie groźne.

Losowanie powtórzono, ponieważ ktoś z komitetu organizacyjnego był zdania, że poprzednie krzywdzi mnie,

a ja jako jedyna reprezentantka Polski zasługuję na pewne względy. Wydaje mi się, że po prostu komitet organizacyjny chciał ułożyć plan gier w sposób jak najbardziej atrakcyjny dla publiczności.

Tak czy owak, „losowanie” zostało przeprowadzone po raz drugi i wpadłam... na Marble. Byłam bardzo niezadowolona, Amerykanka bowiem znajdowała się w tym czasie w szczytowej formie, a na korcie trawiastym była niesłychanie szybka.

W ćwierćfinale wygrałam z Kovacs 6 : 4, 6 : 3, lecz z Marble gładko przegrałam.

Mimo porażki zaproszono mnie po raz trzeci do Ameryki. Odmówiłam z dwóch przyczyn: jedną z nich był kryzys polityczny w Europie, zaostrejający się coraz bardziej. Drugim powodem był przesyt tenisem. W czasie poważnych meczów zbyt denerwowałam się i nie mogłam zdobyć się na odporność. A więc gra przestała mi sprawiać przyjemność. Postanowiłam odpocząć i dopiero późną jesienią wybierałam się do Maroka, gdzie zostałam zaproszona na kilka turniejów.

Nie wytrwałam jednak w dobrym postanowieniu — po kilku tygodniach odpoczynku wybrałam się w sierpniu 1939 roku do Szwajcarii. W Zurychu zdobyłam tytuł mistrzyni tego kraju.

Powracałam do kraju przez Niemcy. Była to denerwująca podróż. Przejeżdżając przez terytorium III Rzeszy nietrudno było zauważyć, iż wojna wisi w powietrzu. Krój brunatnych mundurów szykował się do napaści. Gdy przybyłam do Polski, nie mogłam ukryć zdziwienia — u nas w kraju panował dziwny spokój. Odnosiłam wrażenie, że nikt tu nie wierzy w wojnę. Wmawiano w nas, że jesteśmy potęgą europejską i Hitler nie poważy się nas zaatakować, tłumaczono, że mamy możnych sprzymierzeńców: Anglię i Francję, których armie lądowe i lotnictwo w każdej chwili są gotowe stanąć w naszej obronie.

Pierwszego września obudził mnie huk artylerii przeciwlotniczej. Jeszcze i wówczas nikt w Warszawie nie wierzył, że to wojna — ludzie sądzili, iż odbywają się manewry.

Wypadki postępowały w błyskawicznym tempie. Po kilku tygodniach hitlerowskie hordy wkroczyły do stolicy.

Okupacja • Gospoda „Pod Kogutem” • Praca konspiracyjna • Powstanie Warszawskie

Rozpoczęły się koszarne czasy okupacji hitlerowskiej. Nie chciałabym wiele miejsca poświęcać tym przykrym i tragicznym wspomnieniom. Niepodobna jednak zapomnieć o inicjatywie Aleksandra Olchowicza, który nie szczędził starań, aby pomóc swym przyjaciołom sportowcom.

Któregoś smutnego dnia w początkach listopada 1939 roku zasiedliśmy przy okrągłym stoliku w kawiarni filmowców założonej przy ul. Złotej. O ile mnie pamięć nie myli, do zespołu kawiarnianych filmowców należał również Dodek Dymśa.

Odbyliśmy coś w rodzaju zebrania organizacyjnego, któremu przewodniczył nieodżałowany Aleksander Olchowicz, zwany przez sportowców „Radcą”. Ci, którzy jeszcze pamiętają czasy przedwojenne, dobrze wiedzą, że „Radca” był wielkim mecenasem tenisa polskiego i bodaj w dużej mierze jemu ta dyscyplina zawdzięcza swój „złoty okres” w latach międzywojennych. Jego pupilkiem był przede wszystkim Ignacy Tłoczyński, którego otaczał wprost ojcowską opieką.

Przy stoliku znalazłam się ja, Tłoczyński, Kusociński. Radziliśmy z czego dalej będziemy żyli, bo wszyscy zostaliśmy wyrzuceni za burtę. W tym ciężkim okresie stały się modne kawiarnie, a przede wszystkim te, w których obsługiwali goście aktorzy teatralni i filmowi.

Dlaczego by więc nie zorganizować kawiarni sportowców? Wszyscy z entuzjazmem przyjęli ten projekt, lecz trudność polegała na znalezieniu odpowiedniego lokalu.

Ale i ten po jakimś czasie trafił się przy ul. Jasnej nr 6. Przed wojną nie był to przybytek cieszący się najlepszą sławą. Była to po prostu nocna spelunka zwana karczmą, czy gospodą „Pod Kogutem”, ponieważ tam zbierali się przed świtem, jakby w oczekiwaniu koguciego piana — zapóźnieni goście, którzy przed powrotem do domu chcieli łyknąć filiżankę żurku, stanowiącą specjalność lokalu.

Właściciel karczmy p. Szajnowicz, który miał wielu przyjaciół wśród sportowców, wyraził zgodę wynajęcia gospody „na procent”. Liczył się z tym, że popularni sportowcy ściągną sporą klientelę. Nawiasem mówiąc siostrzeniec p. Szajnowicza — doskonały pływak, Iwanow-Szajnowicz, jak się okazało po wojnie, przebywał w czasie okupacji w Grecji. Dokonał tam wielu bohaterskich czynów umieszczając miny pod kadłubami statków. Podczas jednej akcji poległ w walce z hitlerowcami.

Pierwsze „skrzypce”, jako najbardziej popularny, grał „Pod Kogutem” oczywiście Janusz Kusociński. Ja z moją siostrą Zosią, Marysią Kwaśniewską i Ignacym Tłoczyńskim staraliśmy się dotrzymać mu kroku.

Początkowo gospoda „chwyciła” i szła b. dobrze. Odwiedzało ją sporo sportowców nawet starszego pokolenia, liczni kibice oraz przyjaciele sportu. Niektórzy stali się stałymi bywalcami, choć nie każdy mógł sobie codziennie pozwolić na filiżankę kawy. Wpadali też niektórzy sportowcy, aby się pożegnać. To byli ci, którzy postanowili przejść przez Tatry na Węgry i dalej przedrzeć się do Francji, aby wstąpić w szeregi formowanej tam Armii Polskiej. Do nich należał znany pięściarz „Moryc” Woźniakiewicz, któremu, jak wkrótce usłyszeliśmy szeptaną pocztą, ucieczka udała się szczęśliwie. Innym takie wyprawy nie powiodły się i musieli powrócić. Do nich np. należeli prezes PZB Mirzyński (więziony przez kilka tygodni w fortach poznańskich) oraz znany piłkarz „Polonii” Michał Hamburger (zginął w 1944 r. zamordowany przez hitlerowców). Bywali „Pod Kogutem”: Fornalski, Gerutto, Żuber, Walczak, Ksawery Tłoczyński, bodaj Martyna, Fabisiak (zastrzelił się na Chmielnej osaczony przez gestapowców), znany bokser poznański Wirski, weterani jak: Janusz Habich i mecenas Marat — działacz „Polonii”. Trudno tu wszystkich wymienić — pamięć za-

wodzi. Warto może wspomnieć o niespodziewanej wizycie Petkiewicza, który jak wiadomo, nie był przyjacielem „Kusego”. Ale i on przyszedł do nas pożegnać się. Udało mu się otrzymać wizę włoską i w grudniu 1939 r. opuścił kraj.

Tak więc „Pod Kogutem” odbyło się ostatnie spotkanie dwóch największych rywali Kusociński — Petkiewicz, o którym mało kto wie.

A w ogóle bywalców można było podzielić na dwie kategorie: na tych „nadzianych”, z dużą forszą i tych lichych, którzy z trudem mogli wysupłać kilka groszy. Właśnie ta druga kategoria była najczęściej bardzo wartościowa, to byli chłopcy, którzy chcieli walczyć i swe życie oddać za wolność. Właśnie oni grupowali się wokół Kusocińskiego, szukając kontaktów. Bo wkrótce zaczęto szeptać, iż Janusz Kusociński rozpoczął szeroką akcję konspiracyjną.

„Pod Kogutem” można było codziennie przeczytać najświeższą prasę podziemną i wysłuchać najnowszych, często nieprawdziwych i przesadzonych, ale podtrzymujących na duchu wiadomości. Takim specjalistą od dostarczania wiadomości był Ignasz Tłoczyński, który po zamknięciu gospody nadal pełnił z zapalem rolę „żywej gazety”.

Janusza widywałam codziennie, z licznych z nim rozmów mogłam wyciągnąć wniosek, że był wielkim optymistą. Wierzył, że wojna szybko się zakończy, że potęga hitlerowska jest bluffem i wkrótce zostanie złamana. „Kusy” całą duszą nienawidził hitlerowskich Niemiec, z którymi tak dzielnie walczył w obronie Warszawy. Nie mógł on jednak zrozumieć istoty hitleryzmu. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że Niemcy, którzy ubóstwiali sportowców, a nawet jego — inwalidę zaprosili na igrzyska olimpijskie w Berlinie, mogli teraz zrobić jakąś krzywdę popularnemu zawodnikowi. Nie dostrzegł piętna, jakie wywarł na Niemcach reżim hitlerowski. I zapewne dlatego był zbyt mało ostrożny w robocie konspiracyjnej, do której zgłosił się natychmiast i brał w niej bardzo aktywny udział i jak się po wojnie okazało odnosił w niej poważne sukcesy. Niestety nie zachowywał dostatecznej czujności. A jako mistrz olimpijski był zbyt dobrze znany, aby gestapo nie zwróciło na niego uwagi.

Nietrudno się domysleć, że gospoda znalazła się

wkrótce pod obserwacją agentów gestapo i różnych konfidentów. Do lokalu zaczęli zaglądać coraz częściej żołnierze, którzy włócząc się po Warszawie wchodzili tu przypadkowo. Wizyty klientów w mundurach feldgrau wpłynęły natychmiast na frekwencję. Nawet stali bywalcy przestali przychodzić. Często obserwowano się, że kiedy do kawiarni czy restauracji przychodzili klienci niemieccy, Polacy ostentacyjnie opuszczali lokal.

Tak więc „Pod Kogutem” zaczęły się kiepskie czasy — dochody malały z każdym dniem. Kusociński już przestał być atrakcją, gdyż teraz bywał rzadko, najwidoczniej pochłaniały go sprawy konspiracyjne. A o jego akcjach dowiedziałam się po wojnie. Komórka, w której pracował Janusz, ustaliła, że do gestapo napływają listy donosicieli. Były to anonimy zdrajców, którzy w ten sposób chcieli często załatwiać swe porachunki osobiste. Należało więc roztoczyć kontrolę nad listami wysyłanymi pocztą do gestapo. „Kusy” zdołał zorganizować w rozdzielni pocztowej kontrolę. Przesyłki wysyłane na Szucha były więc „cenzurowane” przez polski ruch oporu. Wiele donosów zdołano zlikwidować i wskutek tego uratowano sporo osób.

Jednym z zadań Janusza było opracowanie rozlokowania w Warszawie i niektórych miejscowościach podwarszawskich oddziałów wojskowych Wehrmachtu oraz ich dowództw, magazynów, fabryk i wytwórni broni.

Jednak najbardziej doniosłą akcją było zdobycie listy osób ze świata polskiej nauki i działaczy społecznych, którzy mieli być wkrótce aresztowani. Zapewne „Kusemu” udało się zdobyć ten ważny dokument przy pomocy jakiegoś gestapowca, być może sportowca. Jak to się stało, nigdy zapewne nie uda się wyjaśnić. On jednak nie wiedział, że na jednej z takich list — ludzi, na których zapadł wyrok śmierci — figuruje i jego nazwisko.

Janusz został aresztowany, o ile mnie pamięć nie myli, w dniu 26 marca 1940 r. w nocy w bramie domu, w którym mieszkał, przy ul. Noakowskiego. Na drugi dzień rano pod gospodę zajechała „buda” i zabrała nas wszystkich pracowników na Szucha. Zostaliśmy tam postawieni twarzami do ściany i kto ośmielił się odwrócić był natychmiast brutalnie kopany lub bity. Na szczęście po zbadaniu wszyscy zostaliśmy wypuszczeni na wolność. Od tego czasu gospoda „Pod Kogutem” przestała istnieć.

Musiałam się rozejrzeć za nową pracą. Próbowalam jeszcze usługiwać w jednej z warszawskich restauracji, ale wkrótce zorientowałam się, że taka robota była dla mnie zbyt przykra. Niemcy lubili odwiedzać polskie knajpki — a obsługiwanie ich było zbyt żenujące.

Pewnego wieczoru 1940 r., kiedy mieszkalam jeszcze przy ul. Przemysłowej, po powrocie do domu zastałam urzędowy list. Zbladłam, kiedy go przeczytałam. Było to wezwanie do gestapo. Kiedy przekraczałam wrota tej instytucji, uginały się pode mną kolana. Przyjęto mnie natychmiast, a urzędnik odezwał się bez wstępu:

— Pani ma wyjechać do Szwecji!

— Nie mam zamiaru udawać się do tego kraju — odpowiedziałam wielce zdziwiona.

— Pani musi pojechać, bo tak sobie życzy król Szwecji Gustaw V. Właśnie otrzymaliśmy pismo od króla, które nadeszło z Berlina — aby panią odszukać i wyekspediować do Sztokholmu.

Jeszcze raz kategorycznie odmówiłam, a gestapowiec nie mógł wyjść z podziwu — jak można nie przyjąć zaproszenia samego króla.

Było mi niezmiernie miło, że mój partner z Riwiery „Mister G” pamiętał o mnie i chciał mi przyjść z pomocą. Jednak nie mogłam zdezerterować z ojczyzny i opuścić mych najbliższych.

Jak wspominałam, zerwałam z zawodem kelnerskim. Otrzymałam pracę w fabryce obuwia, zorganizowanej w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 34 — przez znanego działacza tenisowego z Bydgoszczy Wejnerowskiego, który przed wojną w swym rodzinnym mieście prowadził wytwórnię butów pod firmą „Leo”. W tej samej fabryczce otrzymał zajęcie Spychała. Ignac Tłoczyński codziennie nas odwiedzał i dostarczał podziemną prasę.

W tym okresie przeniosłam się na ulicę Kielecką. Nawiasem mówiąc w dawnym domu, w którym mieszkalam przy ul. Przemysłowej, gestapo wykryło stację nadawczą i bodaj wszyscy mieszkańcy zostali natychmiast rozstrzelani.

Po jedenastu dniach od dnia wybuchu Powstania Kielecka została zajęta przez Niemców. Wyrzucono nas natychmiast z mieszkania i zamknięto w małym domku na rogu Madalińskiego i Łowickiej. 85 ludzi dusiło się w kilku małych pokojkach. Mieli nas wywieźć do Prusz-

kowa. Były to koszmarnie dni. Wokół esesmani i własowcy mordowali i rozstrzeliwali bezbronnych ludzi, a między nimi wiele kobiet i dzieci. W bestialski i bezmyślny sposób demolowano mieszkania.

Postanowiliśmy uciekać. Znalazło się 12 osób, które zaryzykowały niebezpieczną wyprawę. Poprzez ogródki działkowe na Polu Mokotowskim przekradliśmy się do Szcześliwic, a później do Międzyborowa pod Żyrardowem.

*Budujemy korty \* Po raz drugi w życiu pierwszy raz na kortach \* Znow jędę do Wimbledonu \* Nowe spotkanie z Hildą \* List Erdoedi \* Trudna walka ze Stancescu \* Gram z Petru Groz*

We wrześniu 1944 roku znalazłam się razem z siostrą Zofią w Międzyborowie pod Żyrardowem. W styczniu wybrałam się pieszo do wyzwolonej Warszawy. Nigdy w życiu nie zapomnę chwil wejścia do stolicy po długiej i ciężkiej wędrówce.

Wydawało mi się, że jestem na wielkim cmentarzysku. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć — gruzy i ruiny, potworne zniszczenia, zgłiszcza i mogiły. Warszawa przestała istnieć. Warszawa umarła. Byłam wówczas przekonana, że żadna siła nie potrafi powołać jej znow do życia.

Z trudem, omijając zabarykadowane ulice, doszłam do Przemysłowej na Powiślu, gdzie mieszkalam przed wybuchem powstania. Mój dom został spalony. Z licznych, a tak dla mnie drogich pamiątek nie pozostało nic. Z sepek fotografii i różnego rodzaju zdobytych przeze mnie nagród został tylko popiół. Jedyłą pamiątką, którą ocalałam, był srebrny medal wimbledoński. Zabrałam go ze sobą wychodząc z Warszawy.

Po zakończeniu wojny zamieszkałam w Bydgoszczy i wtedy odczułam tęsknotę za tenisem. Zaczęłam oglądać się za jakimiś zdatnymi do użytku kortami. Niestety, wszystkie tereny sportowe zostały zdewastowane przez cofające się w popłochu wojska hitlerowskie. Na kortach biwakowały parki samochodowe, toteż place były doszczętnie zryte kołami. Nadawały się do odbudowy jedynie boiska tenisowe na stadionie miejskim.

Wkrótce zebrała się dość liczna grupka wielbicieli tenisa i rozpoczęliśmy pracę. Wśród nas znajdował się

również późniejszy przewodniczący Sekcji Tenisowej — Edmund Słabołepszy, który organizował właśnie Milicyjny Klub Tenisowy.

Przypomniamy mi się dziecińne lata, kiedy z każdą zbliżającą się wiosną, nie mogąc doczekać się sezonu tenisowego, pomagałam przy porządkowaniu kortów w parku krakowskim.

Byliśmy naprawdę szczęśliwi, gdy pierwszy kort był wreszcie gotów. Lecz wtedy wyłoniła się nowa trudność: musiałam „skombinować” jakiś kostium sportowy. Kilka wieczorów poświęcałam na uszycie szortów tenisowych, zesztukowanych z różnych małych gałganków. I znow stanął mi przed oczami moment, kiedy za dzieciennych lat klub ofiarował mi białą sukienkę, abym mogła po raz pierwszy startować w mistrzostwach Polski. Byłam wówczas dzieckiem, nie zdawałam sobie sprawy, że sukienka, która wtedy sprawiła mi tyle radości, była tylko darowizną z łaski dla biednej dziewczyny, której start był potrzebny dla zaspokojenia ambicji klubowych kierowników.

O ileż cenniejszy jest ten mój dzisiejszy kostium sportowy, zrobiony własnymi rękami z łachów!

Głęboko utkwiał mi w pamięci moment, gdy po raz pierwszy stanęłam ponownie na korcie. Rakieta wydała mi się ciężką — jak ołowiana. Podbiegłam z trudem do pierwszej piłki, uczyniłam wielki zamach i... nie trafiłam.

Już po kilkunastu minutach byłam niezmiernie zmęczona, brak mi było tchu, w głowie wirowało. Nic dziwnego, ważyłam wówczas 52 kilo, a przed wojną moja przeciętna waga wynosiła 75 kg. Po prostu nie miałam teraz sił.

Nie należę jednak do ludzi, którzy szybko kapitulują. Zaczęłam trenować systematycznie. Odżywiałam się coraz intensywniej. Przybywało mi na wadze. Grałam z każdym dniem lepiej, choć szczerze mówiąc ten tenis, który wówczas uprawialiśmy w Bydgoszczy, trudno było nazwać prawdziwym tenisem.

Po pewnym czasie zorganizowaliśmy jednak spotkanie Bydgoszcz — Inowrocław, a we wrześniu pierwszy turniej o mistrzostwo Bydgoszczy.

Zostałam również zaproszona do Łodzi, gdzie w dość szybkim tempie odradzał się sport we wszystkich dyscyplinach. Spotkałam tam Józefa Hebdę, mego wielokrot-

nego partnera w grze mieszanej. Mieszkał wtedy w Łodzi i miał dobrą posadę, ale w tym czasie jego największą miłością była raczej jedenastomiesięczna córeczka niż tenis. Józek jednak nie zapominał o kortach i mimo braku czasu — często grywał i szybko odzyskiwał formę. Może o tym świadczyć jeden mecz treningowy, w którym Hebda po prostu rozniósł Skoneckiego 6:0, 6:0.

Zaczęliśmy wspominać dawne, wspólne wyprawy: Riwiera, Haga, Paryż, Ateny, Meran, Praga i tyle innych... aż wreszcie zaczęliśmy rozmawiać o przeżyciach wojennych i dowiedziałam się, że Józek był o krok od śmierci. Gestapo poszukiwało go przez wiele miesięcy. A było to tak: pracował we Lwowie w Centrali Rolniczej, firma dostarczała maszyny rolnicze, części do maszyn, nasiona, sztuczne nawozy itp. do majątków administrowanych przez Niemców. Samochody Centrali krążyły swobodnie po kraju, co wykorzystywano rozwijając potajemnie broń i amunicję dla partyzantów.

— Skąd braliście broń?

— W Brzuchowicach znajdowały się duże magazyny niemieckie. Robotnicy tam pracujący znali tajne, podziemne przejścia, którymi wynosili broń, mimo skrupulatnego pilnowania składów przez Niemców. Słowem broń, którą ukrywano później w składach Centrali Rolniczej i innych punktach, była rozwożona do innych placówek w kraju. Wsyp nie było, Niemcy ani na chwilę nie przypuszczali, że pod częściami maszyn są ukryte karabiny — czy broń maszynowa.

— Pewnego dnia w roku 1943, a było już pod jesień — opowiadał dalej Hebda — wybrałem się wraz z czterema kolegami, aby dostarczyć broń do lasów w okolicy Brzeżan. Nie miałem zaufania do szofera, który lubił zaglądać do kieliszka i chciałem mieć nad nim kontrolę.

Istotnie gdzieś po drodze kierowca zauważył karcznię i uparł się, że musi się napić piwa. Zostaliśmy przy cięzarówce, a tu widzimy zbliżający się samochód z gestapowcami. Niemcy zaczęli strzelać, bo jak się później okazało — szofer, który ich przez okno zauważył, zaczął uciekać tylnym wejściem. Wzbudziło to podejrzenie gestapowców. Nasz wóz został otoczony przez 6 Niemców. Trzech z nich pobiegło do karczmy, z której gospodarz zaczął uciekać do ogrodu. Dogonili go i zastrzelili.

Pozostali Niemcy rozpoczęli rewizję w naszym samo-

chodzie. Zorientowałem się, że nie ma czasu do stracenia i trzeba skorzystać z nieobecności trzech wrogów, dałem sygnał oczami kompanom i jak na komendę rozległy się strzały. Myśmy byli pierwsi, dwu Niemców padło na ziemię. Ale od strony karczmy nadchodziła odsiecz trzech gestapowców. Otworzyli ogień. Wycofaliśmy się spoza samochodu do rowu, ostrzeliwując się gęsto.

Wiedzieliśmy, że amunicja nam się kończy, więc rozdzieliliśmy się, chcąc oskrzydlić karcznię. Niemcy spostrzegli ten manewr i chcieli zabezpieczyć sobie tyły. Wówczas jeden z nas dostał się do samochodu i stamtąd wydostał kilka karabinów i naboje. Bitwa trwała nadal. Orientowaliśmy się jednak, że trzeba uciekać. Lada chwila Niemcy mogli otrzymać posiłki. Daliśmy serię do samochodów, mierząc w baki. Oba wozy stanęły w płomieniach. Uciekaliśmy każdy z osobna rowami, lasami. Do Lwowa miałem 120 km.

Poszedłem wprost do mieszkania siostry. Chciałem zajrzeć do swego domu, ale siostra nie pozwoliła. Kazała mi udać się do pewnego kolejarza pod Lwów, do Zimnej Wody, on miał mnie dalej wyekspediować. Tak też zrobiłem i wyjechałem do pewnej leśniczówki w okolicach Tarnowa, gdzie przebywałem do końca wojny.

Jak się później dowiedziałem, w dniu mojego wyjazdu w moim mieszkaniu tej samej nocy było gestapo. Zrewidowało cały dom, wielu lokatorów pobito dotkliwie. Straciłem mieszkanie i wszystkie tak dla mnie drogie pamiątki sportowe.

Przesiedziałem przez wiele miesięcy w lasach, gdzie nie postać niemiecka noga.

Dalsza nasza pogawędka zeszła na temat Ignaca Tłoczyńskiego. Jak bardzo żalowaliśmy, że go nie ma wśród nas. Niestety pozostał na emigracji. Na podstawie listów Ignasia, który pisał do przyjaciół, dowiedziałam się o niektórych jego przeżyciach z okresu okupacji. Tłoczyński już w końcu 1939 roku znalazł się w podziemnej organizacji i został zaprzysiężony przez Aleksandra Olchowicza. W tym samym oddziale znaleźli się tenisiści B. Tomaszewski, Spychała, Gottschalk, Ksawery Tłoczyński i masażysta Mikołajewski. Po pewnym czasie w tej samej organizacji znalazł się i Janusz Kusociński. Zadaniem Ignaca było kolportowanie gazetki „Świt”, która była drukowana w archiwum ratusza na placu

Teatralnym. Gazeta wychodziła raz na tydzień. Łącznikami Tłoczyńskiego byli Tomaszewski i Gottschalk. Cały nakład był dostarczany do punktu rozdzielczego znajdującego się w jednym z domów przy ul. Zielnej. Tam też przynoszono inne wydawnictwa i stamtąd dopiero dostarczano odbiorcom.

Któregoś dnia Ignac przed samym ratuszem wpadł niemal w objęcia patrolu niemieckiego. Zdołał jednak cofnąć się do bramy i ukryć w ratuszu. Niemcy go zauważyli, pobiegli za nim, ale na szczęście zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

Po aresztowaniu Kusocińskiego Tłoczyński został wydelegowany do mieszkania Janusza, znajdującego się przy ul. Noakowskiego.

Jak wspominał, siedł tam z duszą na ramieniu, gdyż obawiał się że gestapo zorganizowało kocioł. Chodziło o sprawdzenie, czy w mieszkaniu mimo rewizji gestapowców nie pozostały jeszcze gdzieś ukryte ważne dokumenty. Na szczęście wyprawa powiodła się — Tłoczyński dostał się do mieszkania i sprawdził, że już nic nie zostało, co mogłoby stać się niebezpieczne dla innych. Jak zostało stwierdzone, Kusociński zachował się do końca swego życia po bohatersku i żadnego ze swych kolegów nie wydał.

W czasie Powstania Ignac znalazł się przy jednym z punktów dowództwa zakwaterowanego przy ul. Jasnej. W czasie jednego z nalotów został w piwnicy zasypany gruzami. Uratował się sam, choć był dość poważnie ranny w nogę.

W 1946 roku otrzymałam zaproszenie do Wimbledonu. Zdawałam sobie sprawę, że po tak długiej przerwie nie będę mogła rywalizować z tenisistkami, które przez cały okres wojny trenowały i brały udział w zawodach. Byłam najzupełniej nie przygotowana do tak trudnego turnieju, a przede wszystkim obawiałam się gry na trawiastych kortach.

Nie jechałam więc do Wimbledonu po sukcesy. Już w 1946 roku doszłam do przekonania, że znajduję się u kresu kariery zawodniczej i że stoi przede mną poważne zadanie przekazania mej wiedzy i doświadczeń młodszemu pokoleniu. Chciałam zorientować się, jakim przeobrażeniom uległ tenis na przestrzeni ostatnich lat.

Mówiono, że Amerykanie zmienili całkowicie styl gry, czyniąc z tenisa akrobację. Nowoczesny system miał polegać na tym, aby jak najszybciej zabić piłkę i nie dopuszczać do żadnych dłuższych wymian.

Przyleciałam samolotem do Londynu na trzy dni przed rozpoczęciem turnieju, a więc trening na trawie był już wykluczony. Spotkałam wielu znajomych sprzed wojny. Byli zaskoczeni, że mnie widzą, ponieważ prasa angielska kilka razy donosiła, że zginęłam w czasie okupacji. Moje pojawienie się na kortach wywołało prawdziwą sensację w Wimbledonie.

Londyn zrobił na mnie smutne wrażenie miasta wyczerpanego długotrwałą wojną. Oglądałam dzielnice z wypalonymi domami, których odbudową nikt się nie interesował.

W Wimbledonie nie odnalazłam swych dawnych, przedwojennych rywalek. Nie było Round, Jacobs, Lizany, Mathieu, Stammers czy Marble. Dziwnie szybko pożegnały się ze sportem. W Wimbledonie zastałam nie znane mi dotychczas tenisistki nowego pokolenia.

Spotkałam wtedy jedynie moją serdeczną przyjaciółkę i dawną partnerkę w grze podwójnej — Angielkę Noel. Oto pierwsza wiadomość, którą mi z radością oznajmiła:

— Dżed wyszłam za mąż za Polaka i jestem bardzo szczęśliwa. Poślubiłam go z wielkiej sympatii, jaką obdarzałam ciebie!

W pierwszej kolejce walczyłam z Francuzką Laffargue. Grała bardzo dobrze i choć w drugim secie prowadziłam 40:15 przy stanie 4:4, to jednak uległam — 4:6, 4:6. Zostałam wyeliminowana, lecz miałam prawo startować w „turnieju pocieszenia”.

Z meczu na mecz przyzwyczajałam się do boisk trawiastych i wpadałam w uderzenie. Moje piłki trafiały na drugą stronę siatki coraz celniej, nabierały szybkości i mocy. Odnosiłam same zwycięstwa, bijąc kolejno Angielkę Roberts 6:0, 6:3, Woodgate 6:2, 6:1, a później Nielsen 4:6, 6:2, 6:4. W ćwierćfinale pokonałam Borman 6:4, 6:3, w półfinale wyeliminowałam Kenyon 6:2, 7:5 i nawet nie spostrzegłam się, gdy znalazłam się w finale. W decydującym meczu wygrałam z O'Connel 6:4, 7:5.

Wprawdzie odniosłam sukces tylko w turnieju pocieszenia, gdy się jednak weźmie pod uwagę tak długą

przerwę w treningu, było to dla mnie wydarzenie wielce podnoszące na duchu.

Po Wimbledonie wygrałam jeszcze dwa turnieje na prowincji: w Tunbridge Wells oraz w Bournemouth. Z Anglii pojechałam do Paryża i tam po bardzo ciężkiej walce przegrałam z Amerykanką Osborne 4:6, 6:8. Z zawodniczką tą spotykałam się już przed wojną, gdy była młodą dziewczyną i zapowiadała się wspaniale. Osborne wygrała turniej paryski.

Jeśli już wspominam o Paryżu, opowiem o wypadku, który mnie spotkał na mistrzostwach Francji w roku 1947. Przed wojną turniej ten był rozgrywany w maju. Po wojnie zmieniono termin — impreza była zorganizowana w lipcu, po Wimbledonie. O ile już w maju bywały zawsze w Paryżu duże upały, to w lipcu gra na rozpalonych kortach paryskich była niesłychanie wyczerpująca.

Pokonałam dobrą Angielkę Quartier 6:3, 6:4 i stanęłam do walki w ćwierćfinale z Rurac, zawodniczką szybką, obdarzoną wielkim temperamentem. Już w pierwszym secie walczyłyśmy bardzo zażarcie i wygrałam 7:5. W drugim zaczęłam grać jak za najlepszych czasów i wkrótce prowadziłam 5:1 i 30:0, a zatem do wygrania meczu brakowało zaledwie dwóch piłek. I nagle stało się coś, czego nie umiałam sobie wytłumaczyć. Przestałam grać, nie trafiałam w piłkę, a gdy jej dosięgnęłam — wyrzucałam daleko za kort lub umieszczałam w siatce. Jak mi później opowiadano, przypominałam motocyklistę, który prowadząc w wyścigu złapał defekt motoru przed samym finiszem.

Rurac zorientowała się szybko, że stało się coś nienormalnego, i doskonale wykorzystała sytuację: zdołała wyrównać i wygrać drugiego i trzeciego seta. Gdy powróciłam do szatni, przed oczami widziałam jeszcze czarne plamy, głowę miałam rozpaloną i nie mogłam utrzymać się na nogach o własnych siłach.

— Ależ to udar słoneczny! — stwierdzili koledzy. Odwieźli mnie do hotelu i zapakowali do łóżka.

Wspomnę jeszcze, że nim przybyłam do Paryża, startowałam w turnieju Queens Clubu i wygrałam z Angielką Carris 6:3, 4:6, 8:6, lecz później zostałam pokonana przez finalistkę Todd.

W Wimbledonie walczyłam również bez powodzenia.

Wprawdzie wygrałam z Knight, lecz w trzeciej rundzie zostałam wyeliminowana przez Hilton 4:6, 7:9.

Po odpoczynku w kraju wyjechałam do Pragi, gdzie miałam spotkać się z bardzo utalentowaną tenisistką Węgierką Koermoesy. Miało to być moje trzecie rendez-vous z Węgierką, grałam z nią już po wojnie na Śląsku i przegrałam 6:3, 4:6, 4:6. Na drugi dzień stoczyłam spotkanie rewanżowe i zwyciężyłam 6:4, 9:7.

W turnieju o mistrzostwo Czechosłowacji zmierzyłyśmy się po raz trzeci. Starczyło mi siły na walkę w dwóch setach, lecz w trzecim młodsza Koermoesy, szybsza w starcie do piłek, wygrała 3:6, 6:4, 6:1.

Nie tylko z Węgrami i Czechosłowakami łączyły nasz tenis bardzo serdeczne stosunki, nasza drużyna rozgrywała również doroczne mecze z Rumunią, gdzie tenis uczynił bardzo duże postępy.

W czerwcu 1948 roku nasza drużyna pokonała w Warszawie zespół rumuński 4:2, rewanżując się za uprzednio poniesioną porażkę w Bukareszcie. W ramach tego spotkania walczyłam ze Stancescu i łatwo ją pobiłam 6:4, 6:3. Mimo przekonywającego zwycięstwa, zdawałam sobie sprawę, że grałam słabo i jestem coraz mniej ruchliwa na korcie.

W lipcu zaproszono mnie do Szwecji na międzynarodowe mistrzostwa, które odbywały się w nadmorskiej miejscowości Baastad. Przyjeżdżam tam i pierwszą osobą, którą spotykam, jest Hilda Krahwinkel-Sperling!

Mimo tyloletniej zażartej rywalizacji, ucieszyłyśmy się bardzo ze spotkania. Hilda rzuciła mi się w ramiona.

— Biedna Jadwiga, ileś ty musiała przecierpieć w czasie wojny! Co to za okropność!

Musiałam jej wszystko dokładnie opowiedzieć.

— O ileż byłam szczęśliwsza — westchnęła Hilda. — Nie zaznałam okropności wojny. Przebywałam cały czas w Danii, żyłam normalnie, mogłam grywać do woli w tenisa.

W Baastad była dość ciężka konkurencja. Czulałam się jednak dobrze i dość łatwo utorowałam sobie drogę do półfinału, w którym zmierzyłam się z południowoafrykańską tenisistką Summers, grającą bardzo dobrze przy siatce.

Moja gra polegała na mijaniu jej przy siatce — zwyciężyłam 6 : 3, 6 : 4.

Drogę do finału miałam otwartą i musiałam walczyć po raz nie wiem już który w życiu z Hildą Krahwinkel. Gdy stanęłam na korcie — jak na taśmie filmowej przesunęły mi się przed oczami wspomnienia licznych walk stoczonych z tą rywalką. Jeszcze raz przeżywałam gorycze porażek i szczęście zwycięstw.

Mecz rozpoczął się, Hilda zaatakowała mnie swymi długimi piłkami. Natychmiast przeszłam do kontrofensywy i po długiej walce wygrałam seta 8 : 6. Gdy jednak odbijałam setową piłkę, zrozumiałam, że jestem już u kresu sił, Krahwinkel wyprzedziła mnie o sześć lat wojennych.

Później oddałam dwa kolejne sety 0 : 6, 1 : 6 i musiałam się zadowolić wicemistrzostwem Szwecji.

Któregoś dnia w Baastad, gdy się przyglądałam na trybunach grze kolegów, dość niespodziewanie zjawił się na widowni król Gustaw V — „Mister G”. Przybył bez żadnej dworskiej pompy — jak zwykły widz, jedynie otoczony kilkoma opiekunami-przyjaciółmi.

Byłam niezmiernie zaskoczona, gdy staruszek dojrzał mnie wśród widzów. Wkrótce znalazłam się w jego sąsiedztwie i wtedy „Mister G” zaczął mi grozić. Gestykulował i najwyraźniej miał do mnie jakiś żal. Jak wkrótce zrozumiałam, czynił mi wymówki, że nie skorzystałam z jego zaproszenia i w czasie okupacji hitlerowskiej nie przybyłam do Sztokholmu. Na drugi dzień na pierwszych kolumnach szwedzkiej prasy ukazała się fotografia króla właśnie w momencie, kiedy czynił mi wyrzuty.

„Mister G” jeszcze uczestniczył w uroczystości rozdania nagród, ale spostrzegłam, że już z trudem utrzymuje się na nogach; musiano go podtrzymywać. Biedny staruszek wkrótce zmarł.

Spotkanie z tym wielkim, a bodaj największym hobbystą tenisowym świata — nasunęło mi wiele wspomnień z Riwieri. Przecież król był moim wielokrotnym partnerem w grze mieszanej. Przypomniły mi się liczne anegdotki, które krążyły na Lazurowym Wybrzeżu wokół tej ukoronowanej osoby, zwanej najbardziej demokratycznym królem świata.

Gustaw V rokrocznie w lutym wyjeżdżał na turnieje do południowej Francji — swym własnym wagonem-salonką. Miał wokół siebie kilku przyjaciół i nieodstępne

nadwornego lekarza. Nawiasem wspomnę, że właśnie ten doktor opatrywał mi poranione nogi po jakimś zaciętym meczu na Riwierze.

A więc, jak powiedziałam, król jechał własnym wagonem i z reguły zatrzymywał się w Berlinie, specjalnie w tym celu, aby tam zagrać na krytym korcie. Nie chciał stracić formy w czasie podróży... Zawsze to podkreślał, że trenował w czasie drogi, widocznie chciał, abyśmy wszyscy byli przekonani, jak bardzo poważnie traktował turnieje na Riwierze.

A jak lubił wygrywać! — Sprawiało mu to niesłychaną przyjemność. Gdzieś w tej książce już wspominałam, że za zwycięstwa na Lazurowym Wybrzeżu otrzymywało się bony, wymienne na różne towary. Król Gustaw zawsze odbierał je i zamieniał u jubilerów na plakietki, na których kazał wyryć swoje nazwisko i miejsce, w którym odniósł sukces oraz datę zwycięstwa...

I jeszcze o jednej słabostce — tego zasłużonego mecenasa tenisa. Bardzo lubił grać w brydża i zawsze skrupulatnie inkasował w razie powodzenia. Inaczej było, gdy nie szła mu karta i przegrywał. Potrafił wstać od stolika i nie zapłacić... po prostu nie miał pieniędzy! Nigdy nie nosił ich przy sobie. Wszelkie rachunki załatwiali ludzie z jego świty.

Po zakończeniu turnieju w Baastad nasza drużyna udała się do Sztokholmu, gdzie rozegraliśmy mecz Warszawa — Sztokholm. Zwyciężyliśmy 7 : 2. W ramach tego spotkania grałam ze Szwedką Gulbrandsson. Walka ta utkwiała mi w pamięci, gdyż w drugim secie miałam 12 piłek meczowych, które moja przeciwniczka zdołała obronić dzięki wielkiej ambicji. Ostatecznie zwyciężyłam 6 : 4, 8 : 10, 6 : 4. W tym samym meczu pokonałam Szwedkę Eliasson 6 : 3, 6 : 1.

W sierpniu odbyły się wielkie międzynarodowe zawody w Sopocie o mistrzostwo Wybrzeża, na których zajęłam pierwsze miejsce, bijąc w finale Czechosłowaczkę Miskovą 6 : 2, 6 : 4. Na zakończenie sezonu rozegraliśmy w Warszawie mecz z Węgrami. Zostaliśmy pokonani 2 : 4. Ja również nie zdobyłam punktu w tym meczu, ulegając Erdoedi.

Byłam zła na siebie, ponieważ z Erdoedi mogłam i po-

winnam była wygrać. Niestety, zastosowałam złą taktykę, niepotrzebnie bez przerwy atakowałam partnerkę, wkładając w uderzenia całą siłę. W drugim secie starczyło mi jej tylko na cztery gemy, prowadziłam bowiem 4 : 1, a przegrałam 6 : 8.

Jeden z dziennikarzy powiedział mi po meczu:

— Jadziu, walczyłeś jak kiepski bokser, który we wszystkie ciosy wkłada cały zapas sił, zamiast zadawać mocne uderzenia tylko w najdogodniejszych momentach. Musiałam przyznać mu rację.

Po tej porażce byłam prawdziwie zmartwiona, przede wszystkim tym, że nasza drużyna straciła cenny punkt. Mój smutek dostrzegła Erdoedi i zaczęła mnie serdecznie pocieszać:

— Obiecuję ci, Jadziu, że na przyszły rok znów przyjadę do Warszawy i będziesz miała okazję się zrewanżować.

Uścisnęłyśmy sobie serdecznie dłonie.

W maju 1949 roku odbył się rzeczywiście mecz z Węgrami w Warszawie, lecz Erdoedi nie przyjechała. Otrzymałam od niej serdeczny list, w którym przepraszała mnie za zawód. Węgierka donosiła, że dużo i bardzo sumiennie trenowała przed obiecany mi rewanżem i była już gotowa do wyjazdu, lecz w ostatniej chwili rozchorowała się i musiała zrezygnować z podróży do Polski.

List ten sprawił mi wielką przyjemność. Erdoedi postąpiła jak prawdziwa koleżanka i sportsmenka. Z podobnym faktem spotkałam się po raz pierwszy w życiu. Przed wojną często zdarzało się, że zagraniczne gwiazdy obiecywały mi rewanż w Warszawie. Nigdy jednak obietnic nie dotrzymywały. Rzucały słowa na wiatr, a o tym, aby któraś z nich usprawiedliwiła się, nawet nie było mowy.

W zastępstwie Erdoedi przybyła do naszej stolicy Hidassy. Pokonałam ją 6 : 4, 8 : 6. Mecz był jednak dla mnie bardzo ciężki. Grałam z dużo młodszą partnerką i musiałam dobrze rozłożyć siły, aby nie popełnić błędu.

Po tym zwycięstwie publiczność warszawska odśpiewała na moją cześć „sto lat, sto lat, niech Jadwiga żyje nam”. Zrozumiałam, że nie jestem już Jadzią walczącą o pierwszeństwo Wimbledonu. Uświadomiłam sobie, iż lata płyną i będzie mi coraz trudniej zwyciężać młodsze przeciwniczki. Jednocześnie wiedziałam, że moim obo-

wiązkiem jest, póki mi sił starczy, godnie reprezentować ojczyznę i znaleźć następczynię.

Niedługo po tym meczu wyjechałam do Pragi na międzynarodowe mistrzostwa Czechosłowacji.

Drogę do finału miałam łatwą. Wyeliminowałam Moranovą 6 : 1, 6 : 2, później Piterovą oraz dobrą zawodniczkę czechosłowacką Szolcovą 6 : 4, 6 : 4. Stałam do walki finałowej z rutynowaną Rumunką Stancescu. Spodziewałam się zaciętego oporu ze strony przeciwniczki i byłam zdziwiona, gdy w krótkim czasie prowadziłam 5 : 1.

Pamiętam, gdy zmieniając stronę kortu powiedziałam do kierownika naszej drużyny, inż. Olszowskiego:

— Bardzo nie lubię prowadzić...

Od tej chwili rozpoczęła się zażarta walka. Stancescu opanowała nerwy i zaczęła grać bardzo regularnie. Doprowadziła stan do 4 : 5. Musiałam zdobyć się na najwyższy wysiłek, aby wygrać seta 6 : 4.

Czuje się jednak już wyczerpana zarówno fizycznie, jak i nerwowo. Do stanu 2 : 2 gra jest wyrównana, lecz przeczuwam, iż doświadczona Stancescu szykuje mi zasadzkę. Istotnie, zaczyna podcinać piłki i wybija mnie z uderzenia. Gubię inicjatywę i oddaję seta 3 : 6.

Po tym niepowodzeniu tracę wiarę w ostateczne zwycięstwo. Przekonałam się wtedy — zresztą nie po raz pierwszy w życiu — jak ważna jest w takich momentach rada kogoś życzliwego i jak wiele pomaga doping.

Rady udzielił mi mój opiekun inż. Olszowski. Zalecił mi skracać piłki, wabić Rumunkę do siatki, a następnie mijać ją wysokimi lobami. Posłuchałam i Stancescu traciła punkt za punktem.

Jeśli chodzi o doping, nie szczędzono mi go. Na trybunach znaleźli się nasi piłkarze — wojskowi, którzy w tym czasie przybyli do Pragi na mecz z ATK i zjawili się na kortach. Dopingowali, ile im tylko sił starczyło, i do dziś jestem im za to bardzo wdzięczna. Trzeciego seta wygrałam 6 : 1 i zostałam mistrzynią CSR.

Po tych mistrzostwach zostałam zaproszona do Brna, gdzie w finale spotkałam się z najlepszą rakieta Czechosłowacji — Miskovą. Do tej pory nie bardzo rozumiem, jakim sposobem wygrałam. Nie ulega kwestii, że Miskova zasługiwała na zwycięstwo — zagrała chyba swój najlepszy mecz w życiu. Była szybka, precyzyjna w uderzeniach, podbiegała często do siatki i kończyła moje piłki.

Przegrałam seta 3:6, lecz wywalczyłam drugiego 6:3. Trzeci decydował.

Byłam już zrezygnowana — nic mi nie wychodziło, a Miskova prowadziła 5:2 i grała „jak z nut”, głośno dopingowana przez publiczność.

Nadchodzi krytyczny moment. Mojej przeciwniczce brak już zaledwie jednej piłki do wygrania meczu. Obrońnię tę piłkę i — jak to często bywa w sporcie tenisowym — krytyczna piłka stała się przełomową. Wygrałam! Obie mamy teraz po pięć gemów. Mecz rozpoczął się niejako na nowo. Złapałam „drugi oddech”, zaczynam grać z uporem i postanawiam, że muszę zwyciężyć. Nie było to łatwe: moja przeciwniczka znów prowadzi i zyskuje trzy piłki meczowe. Nie boję się ich, gdyż panuję na korcie. Seta wygrałam 9:7. Długo musiałam odpocząć po tym meczu...

Bezpośrednio z Czechosłowacji udałam się do Bukaresztu, gdzie brałam udział w spotkaniu Polska — Rumunia. Trudno opisać, jak serdeczne przyjęcie zgotowali nam gospodarze. Znaleźliśmy się niemal pod bezpośrednią opieką Petru Grozy, który sam był czynnym i zapalonym tenisistą.

Niestety, w Bukareszcie mieliśmy pecha, gdyż trafiliśmy na fatalną pogodę. Deszcze nieustannie przerywały mecz i uniemożliwiły rozegranie spotkania w przewidzianym terminie.

Korzystając z przerwy spowodowanej ulewą, Petru Groza zaprosił nas do swej prywatnej willi na obiad.

Rozmowa toczyła się przede wszystkim wokół ulubionego sportu tenisowego. Zapamiętałam dobrze słowa wypowiedziane przez niego:

— Pokochałem tenis, gdyż jest to sport wymagający wyjątkowej koncentracji i wielkiego opanowania nerwów, a przecież wiadomo, że elementy te są tak potrzebne każdemu człowiekowi pracy. Dlatego tenis, który posiada takie walory wychowawcze, powinien stać się sportem mas.

W niesłuchanie pogodnej atmosfery przepędziliśmy u Petru Grozy kilka godzin. Na pożegnanie zagadnął mnie z uśmiechem:

— A może byśmy mogli rozegrać mecz?... Bardzo bym chciał zmierzyć się z panią. Niestety, mogę stawić się na korcie tylko o szóstej rano, w późniejszych godzinach już nie mam czasu.

Oczywiście zgodziłam się z entuzjazmem. Petru Groza nie jest młodzieńcem, gdyż już wtedy liczył 70 lat, lecz miał temperament i pogodę młodego człowieka.

Premier w sezonie grywa codziennie od godziny do dwóch. Jestem przekonana, że dlatego tak się świetnie czuje i bynajmniej nie wygląda na swoje lata.

Po zakończonym treningu mój partner opowiadał mi, że Rumunia posiada już 3100 czynnych tenisistów i 18 trenerów, a dalszy rozwój tenisa znajduje się na dobrej drodze.

Pogoda ustaliła się i czekało mnie ciężkie spotkanie ze Stancescu, z którą z takim trudem wygrałam w Pradze.

Odczuwałam przed tym pojedynkiem treść, której jeszcze na korcie przez pewien czas nie mogłam się pozbyć. Po zażartej walce doprowadziłam stan do 4:1, lecz Stancescu rozpoczęła pościg i wyrównała.

Teraz ja z kolei finiszowałam, wygrywając 6:4. W drugim secie Rumunka prowadziła 3:0 i 40:0. W tym momencie przełamalam złą passę i wywalczyłam seta 6:4, zdobywając punkt dla Polski.

Natychmiast po powrocie z Rumunii zaczęłam przygotowywać się do mistrzostw Polski, które miały się odbyć w Bielsku. Z zadowoleniem dowiedziałam się, że do zawodów tych zgłoszono 32 juniorów. Oczywiście nie była to liczba imponująca, lecz w porównaniu do lat przedwojennych, kiedy do tej konkurencji stawało zaledwie kilku młodych ludzi, wskazywała, że nasz tenis nabiera rozmachu.

Zdobycie tytułu przyszło mi bez trudu. Pokonałam Kamińską 6:1, 6:1. Popławska w tym sezonie była silniejsza od Kamińskiej, ale niestety nie mogła startować z powodu choroby.

*Jadę do Moskwy! • Kudliński uczy się •  
Gram z Korowiną • „Wielki tenis” nad mo-  
rzem • Brawo Koermoeesy! • Gościmy ra-  
dzieckich kolegów*

Zima 1949—1950 miała się ku końcowi, śniegi zaczęły topnieć. Mieszkalam wtedy w Brynowie pod Katowicami w niewielkim domku z widokiem na las.

Któregoś dnia o zmierzchu ktoś zapukał do drzwi.

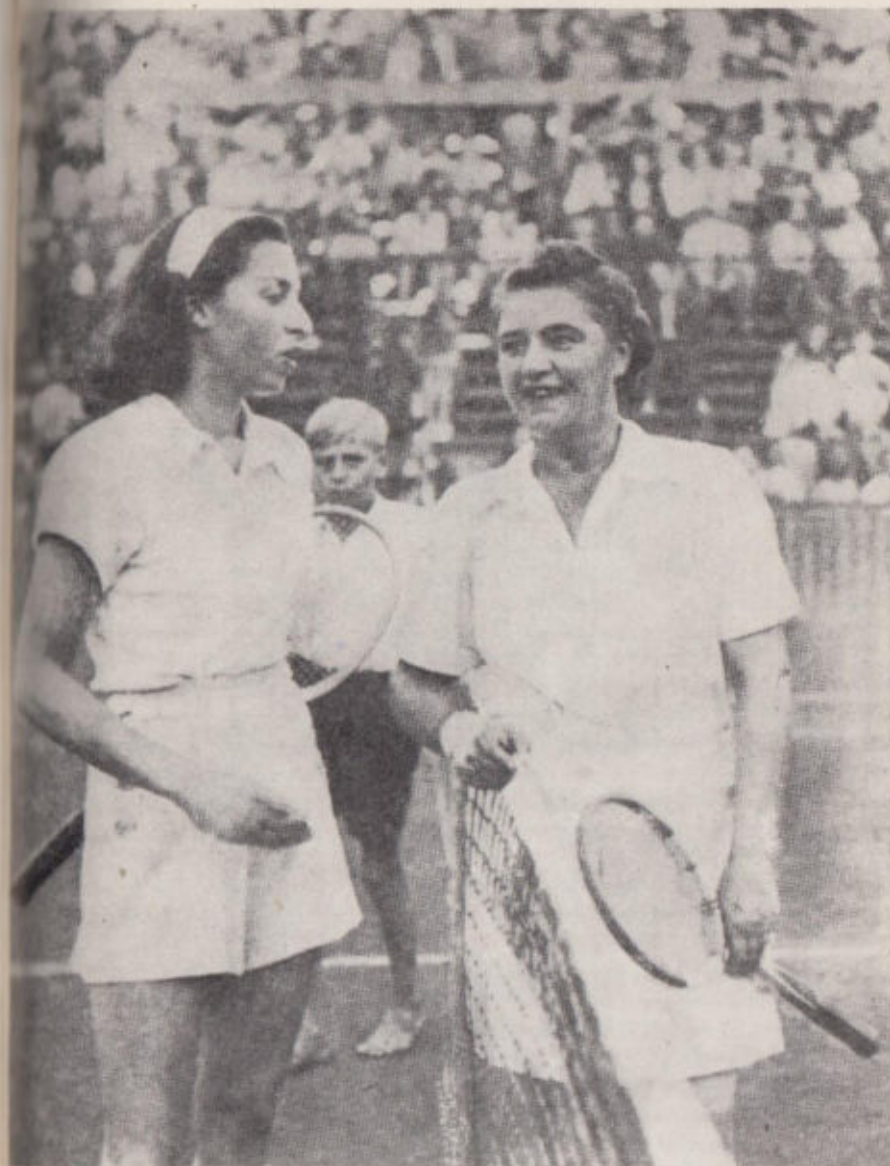
— Telegram z Warszawy do Jadwigi Jędrzejowskiej.

Wzywano mnie natychmiast do Warszawy. Wiedziałam, że PZT już od dawna przygotowuje wyprawę do Związku Radzieckiego, gdzie korzystając z zaproszenia mieliśmy odbyć wspólne treningi z tenisistami radzieckimi na krytych kortach Dynamo w Moskwie.

A więc zobaczę stolicę Kraju Rad, poznam ludzi radzieckich, o których tyle słyszałam, zapoznam się ze strukturą sportu w Związku Radzieckim, osiągającym w tej dziedzinie coraz bardziej rewelacyjne i imponujące wyniki, poznam sportowców tak bardzo różnych od tych, których spotykałam w krajach kapitalistycznych.

Po kilku dniach wyjechałam do Warszawy. Przygotowania do ekspedycji były tu w pełnym toku. W skład naszej drużyny wchodziło trzech juniorów, a więc wybór nie był łatwy, gdyż chodziło o połączenie możliwości wyjazdu ze zwolnieniem od zajęć szkolnych. Sekcja tenisowa wysłała szereg telegramów do różnych szkół, okręgów i klubów, ustalając listę kandydatów.

Nadchodzą odpowiedzi, że młody Christ nie może przerwać studiów, Licis zaś ma zaległości w nauce i jego wyjazd mógłby spowodować stratę roku szkolnego. Wybór pada wreszcie na trzech juniorów: Radzia, Kudliń-



*Jędrzejowska bez trudu pokonała Szwedkę Guldbradsson na kortach CWKS (obecnie Legia)*



Jędrzejowska (trzecia od prawej) w otoczeniu drużyny polskiej w czasie pobytu w Moskwie

skiego i Sebrale. Termin wyprawy ustalono na dzień 19 marca.

Przed naszym odjazdem kierownictwo sportu tenisowego zorganizowało „lampkę wina” z udziałem przedstawicieli GKKF, CRZZ oraz dziennikarzy. Pożegnał nas gen. Jaroszewicz, ówczesny prezes PZT, podkreślając znaczenie naszego wyjazdu do Związku Radzieckiego i zwracając uwagę nie tylko na zagadnienia sportowe, lecz i na wagę kontaktów ze sportowcami radzieckimi. Przemawiał również wiceprzewodniczący PZT inż. Olszowski, podkreślając znaczenie zaproszenia na wczesny, przedsezonowy trening w roku, gdy tenis polski stanął w przededniu bogatego i trudnego programu.

W niedzielę 19 marca o godzinie 22 nasza drużyna znalazła się na Dworcu Gdańskim, odprowadzana przez przedstawicieli GKKF, przyjaciół i dziennikarzy. Lokujemy się w przedziałach sypialnych; już o piątej rano pociąg nasz mija most graniczny na Bugu. Jesteśmy w Brześciu.

Uprzejmy oficer wojsk granicznych, celnicy, urzędnicza *Inturistu* — oto pierwsi, których spotykamy po przekroczeniu granicy. W Brześciu następuje kilkugodzinna przerwa, gdyż mamy przesiąść się do innych wagonów. Po załatwieniu wszystkich formalności — o godzinie 13 ruszamy w dalszą drogę.

Obiad zjadamy w wagonie restauracyjnym, ujęci szybko, niezwykle uprzejmą obsługą. Wieczorem mijamy Mińsk.

Jeszcze jeden obiad w wagonie restauracyjnym. Zbliżamy się do Moskwy. O godzinie 16,20 wjeżdżamy na Dworzec Białoruski.

Wychodzimy na peron w strojach reprezentacyjnych, z państwowymi emblematami. Witają nas liczni przedstawiciele Wszechzwiązkowego Komitetu do Spraw Kultury Fizycznej i Sportu przy Radzie Ministrów ZSRR i liczni sportowcy radzieccy. Powitanie jest krótkie, lecz nad wyraz serdeczne. Jedziemy teraz do hotelu *Savoy*, gdzie czekają na nas piękne, wygodne pokoje.

Po krótkim odpoczynku i odświeżeniu się po podróży schodzimy na pierwszy wspólny obiad do sali restauracyjnej. Czekają tu już na nas nasi mili gospodarze. Bogato zastawiony stół udekorowany jest chorągiewkami polskimi i radzieckimi.

Spożywamy obiad w miłym, serdecznym nastroju. Zawodnicy radzieccy są tak bezpośredni w obęściu, że już po kilku minutach czujemy się, jak gdybyśmy przebywali z nimi od wielu lat. Podbija nas przysłowiowa rosyjska gościnność. Układamy plany wspólnych treningów, dzielimy się doświadczeniami i wspomnieniami. Nastrój jest niezmiernie serdeczny.

Po obiedzie pobieźmy na razie zwiedzamy Moskwę. Miasto urzeka nas od pierwszych chwil swym rozmachem i ogromem. Mijamy centralne ulice Moskwy, Kreml, szereg imponujących gmachów, wspaniałe pełne gwaru arterie uliczne. Przy tym olbrzymim ruchu, gdzie niekiedy tysiące samochodów mkną w kilku szeregach, podziwu godny jest porządek i ład. Na najbardziej ruchliwych skrzyżowaniach nie dostrzegłam nigdzie zatorów lub jakiegokolwiek zamieszania. Kierowcy pojazdów i przechodnie są tak wspaniale zdyscyplinowani, że kolosalny strumień pojazdów przypomina funkcjonowanie precyzyjnego zegarka.

Tego dnia, po powrocie z przejażdżki, odbyła się w hotelu pierwsza nasza narada robocza z tenisistami radzieckimi. Dowiadujemy się, że nasz trening w Moskwie potrwa około trzech tygodni, a następnie mamy na tydzień pojechać do Leningradu.

Przy okazji nadmienić muszę o drobnym na pozór, lecz jakże wymownym fakcie. Oto w skład naszej drużyny wchodził młody Kudliński, podówczas jeszcze uczeń. Aby nie zaniedbać bieżących zajęć szkolnych, zabrał z sobą do Moskwy wszystkie potrzebne mu podręczniki, nad którymi pilnie śleczął w chwilach wolnych od zaprawy. Kierownictwo nasze, planując treningi, wzięło pod uwagę, że Kudliński się uczy, i rozłożyło gry tak, żeby nie były mu one przeszkodą w studiach. Czyż w czasach przedwojennych któremuś z kierowników naszego sportu przyszłoby na myśl troska o postępy zawodnika w zajęciach szkolnych?

W drugim dniu pobytu w Moskwie udaliśmy się specjalnym autokarem na kryte korty, należące do jednego z największych klubów radzieckich — Dynamo. Hala jest wspaniała, ze szklanym dachem, w zimie idealnie ogrzana.

Na trybunach kortów zastaliśmy kilkuset widzów, którzy zebrali się tu, aby obserwować nasze treningi.

Pierwsze piłki wymieniam z Radziem, lecz czuję, że po długiej przerwie zimowej nie mam odpowiedniej kondycji. Po pewnym czasie zaczynam powoli wpadać w uderzenie, piłki stają się coraz celniejsze. Ogromną pomocą i dopingiem dla mnie jest czujna i serdeczna obserwacja widowni. Podświadomie odczuwam życzliwość płynącą do nas z trybun.

Wieczorem jesteśmy na balecie „Jezioro łabędzie”. Teatr Wielki posiada wspaniałe tradycje artystyczne, jest piękny architektonicznie, pełen uroku wielkiej sztuki.

Punktualnie o godzinie 19.58 wszystkie wejścia zostały zamknięte, pogasły światła. Sala była pełna, lecz zachowanie się publiczności i jej niesłychane skupienie podczas przedstawienia wywoływały we mnie prawdziwy podziw. Nigdy, w żadnej sali teatralnej czy koncertowej nie widziałam tak szlachetnego nastroju i skupienia, z jakim widz radziecki obserwował scenę. Oklaski, zwyczajem radzieckim, nie przerywają przedstawienia nawet w najwspanialszych momentach — wybuchają natomiast z żywiołową siłą po zapadnięciu kurtyny. Aktorzy są wywoływani przed kurtynę wiele razy, a niejednokrotnie burza oklasków i braw przemienia się w prawdziwą, żywiołową owację.

Nazajutrz trenowaliśmy już od rana. Mam wielkie zaległości w grze, więc z zapalem zabieram się do pracy. W czasie odpoczynku posłyszałam kilka bardzo pochlebnych uwag o mojej grze od przedstawicieli radzieckich władz sportowych. Uwagi te jeszcze bardziej podniosły mnie na duchu.

W kilka godzin później zdarzył się jednak fatalny wypadek: biegnąc do piłki potknęłam się i upadłam kalecząc się dotkliwie w palec lewej ręki. Gospodarze zaopiekowali się mną niezwykle troskliwie. Jeden z czołowych tenisistów radzieckich, doktor Korczagin, odwiózł mnie natychmiast do szpitala, gdzie założono mi na palec opatrunk gipsowy. Niestety — badania lekarskie wykazały, że co najmniej przez kilka tygodni nie będę mogła ćwiczyć.

Jestem zrozpaczona. Tyle obiecywałam sobie po treningach na kortach radzieckich, a tu złośliwy przypadek unieruchamia mnie na tak długi czas. Wracam do hotelu w stanie najwyższego przygnębienia. Radzieccy przyjaciele pocieszają mnie z całą serdecznością, powoli ulegam

ich perswazjom i namowom. Zaczynam wierzyć, iż istotnie zagram jeszcze z całym zapasem sił na kortach radzieckich.

A więc z zalem ograniczam się odtąd do roli obserwatora. Była to zresztą funkcja bardzo przyjemna. W krajach kapitalistycznych każdy tenisista uważa, że powinien strzec swych tajemnic treningowych. Tu, w Związku Radzieckim, było zupełnie inaczej — sportowcy i trenerzy stanowią jedną zgraną rodzinę. Dzielą się spostrzeżeniami, wymieniają doświadczenia; tak między innymi już po pierwszych treningach Hebda zauważył, że Andrejew odbijając piłki z forhendu stoi na zbyt sztywnych nogach, podobne uwagi poczynił trener Siniuczkow co do gry Chytrowskiego. W obu wypadkach uwagi te były bardzo pożyteczne dla tenisistów.

W niedzielę, 26 marca, odbyły się pierwsze gry pokazowo-treningowe z udziałem publiczności. Spotkania te dowiodły, że nie wszyscy nasi tenisiści odzyskali kondycję straconą podczas przerwy zimowej. Nasi radzieccy koledzy byli szybsi na korcie i bardziej wytrzymali. Uzyskali więc szereg zwycięstw: Korbut pokonał Piątka 6:4, 6:0, Ozierow wygrał z Chytrowskim 6:3, 6:1, juniorka Jemielianowa pokonała Kubalanę 6:1, 6:0. Młodziutka, dobrze zbudowana Jemielianowa bardzo mi się spodobała na korcie. Dziewczyna ta niewątpliwie posiada bardzo duży talent tenisowy. Sądzę, że w przyszłości wyrośnie z niej zawodniczka dużej klasy.

Ktoregoś dnia lekarze pozwolili mi na trening, który trwał zaledwie kilka minut. Chodziło mi przede wszystkim o możliwość rozruszania się. Ponieważ miałam lewą rękę w gipsie, musiałam bardzo uważać.

Nazajutrz był dzień mroźny, choć słoneczny. Szykujemy się do porannego treningu i wsiadamy do oczekującego autobusu. Właśnie zaczyna padać gęsty śnieg. Ulice Moskwy bieleją w oka mgnieniu, lecz tylko na krótko. Już jadąc na stadion z okna autobusu mogliśmy oglądać zażartą walkę ze śnieżną szatą. Na miasto wyruszyły zmechanizowane sprzątaczk. Śnieg znika szybko z jezdni i chodników.

W czasie treningów obserwuję kolegów. Nabierają kondycji, lecz są jeszcze dalecy od normalnej formy.

W niedzielę, 2 kwietnia, rozegrano znów szereg gier pokazowych. I tym razem okazało się, że tenisiści ra-

dzieccy przewyższają nas kondycją. Piątek przegrał z mistrzem ZSRR Niegrebeckim pierwszego seta 0:6, a dopiero w drugim zaczął wpadać w uderzenie, wygrał 6:4, w trzecim nie starczyło mu sił na końcowy zryw i zszedł z kortu pokonany 5:7.

Nazajutrz udaliśmy się do Leningradu, gdzie zostaliśmy serdecznie powitani przez przedstawicieli miejscowego Komitetu WF i Sportu. Zamieszkaliśmy w hotelu *Astoria*.

Już na drugi dzień udajemy się do hali leningradzkiej, gdzie jest wprowadzie tylko jeden plac tenisowy, lecz wyposażony w znakomitą nawierzchnię. Hala jest dobrze oświetlona, a kort bardzo szybki.

W kilka godzin później gospodarze zakomunikowali nam, że pojedziemy na stadion imienia Kirowa. Jest to jeden z największych w Europie obiektów sportowych, pięknie położony nad brzegiem morza, obliczony na 80 000 widzów.

Po kilkudniowym pobycie w Leningradzie powróciliśmy do Moskwy. Tam dowiedziałam się, że przed powrotem do Polski mamy jeszcze rozegrać jedno spotkanie treningowe z kolegami radzieckimi. Chociaż mój palec znajdował się nadal w gipsie, stęskniłam się za tenisem i miałam ochotę zagrać. Zwróciłam się do lekarzy o zezwolenie. Po konsultacji pozwolono mi na start, lecz z wyraźnym zastrzeżeniem, abym była bardzo ostrożna i unikała biegania.

Miałam za partnerkę mistrzynię Związku Radzieckiego — Korowinę. W pierwszym secie, dzięki dużej rutynie wygrałam 6:2, ale to już było wszystko, na co było mnie stać. Korowina rozruszała się i rozgrzała, biegła do piłek coraz szybciej. Natomiast ja stałam w miejscu, a do plasowanych piłek w ogóle nie usiłowałam podbiegać, bojąc się stracić równowagę. Czułam się na korcie jak ktoś, komu po raz pierwszy przypną łyżwy i każą holendrować. Nie chciałam jednak rezygnować z możliwości treningu i grałam mecz do końca. Dwa następne sety oddałam 3:6, 3:6.

Nasz pobyt w ZSRR zbliżał się ku końcowi, nadeszła więc pora na podsumowanie moich obserwacji dotyczących tenisistów radzieckich. Prócz Ozierowa i Niegrebeckiego uwagę zwrócił dość młody jeszcze Andrejew, posiadający stylowo nienaganną grę. On to, jak mnie się zdaje, wiele skorzystał ze wspólnych treningów. A w ogó-

le tenis radziecki dążył szybkimi krokami do nowoczesnej gry ofensywnej. Tej grze w głównej mierze hołdowali: Ozierow, Korbut, Korczagin i Niegrebecki.

Niewątpliwie do ciągłego podnoszenia się poziomu gry przyczyniają się wzajemne wymiany doświadczeń, jak również częste konsultacje z trenerami.

Tego rodzaju narady, wspólne omawianie meczów, od czasu pobytu w Kraju Rad stosujemy z dużym powodzeniem w Polsce. Przynoszą one bezsprzeczne korzyści.

Wczesny trening, który nasi tenisiści odbyli w Moskwie, był dla nas bardzo potrzebny, bo istotnie sezon zapowiadał się bogato. W maju rozegraliśmy mecz z Rumunią w Warszawie, zwyciężając 4:2. W ramach tego spotkania wygrałam ze Stancescu 6:3, 7:5.

W czerwcu brałam udział w Międzynarodowych Mistrzostwach Czechosłowacji w Pradze. W półfinale zwyciężyłam Holeckową 6:4, 6:2, a w finale uległam Koermoesy 2:6, 4:6.

W lipcu 1950 roku na pięknych nadmorskich kortach w Sopocie rozgorzały zażarte walki. Nad nasze morze zjechały najlepsze rakiety Węgier i Rumunii. Królował tam „wielki tenis”. Rywalizacja była bardzo duża, a na mojej drodze stanęły Węgierki: Erdoedi i Koermoesy.

Był słoneczny, bezchmurny dzień, gdy stanęłam do półfinałowego meczu z Erdoedi. Na trybunach zebrało się wiele tysięcy ludzi. Rozpoczęłam grę źle. Węgierka prowadziła 3:1, nie myślałam jednak kapitulować. Przypomniłam mi się szereg pojedynków, w czasie których stałam, zdawałoby się, na straconej pozycji, a jednak dzięki woli zwycięstwa potrafiłam je wygrać. Pamiętam mecz z Francuzką Adamoff w Warszawie, kiedy to moja przeciwniczka prowadziła 3:0, a ja przypuściłam gwałtowny atak i nie oddałam już ani gema.

Teraz również zaczynam pogoń. Wszystko będzie dobrze, jeżeli zacznę grę urozmaicać tak, aby Erdoedi nigdy nie mogła z góry przewidzieć, z której strony nadejdzie atak. Stosuję system, który wyraźnie dezorientuje moją partnerkę. Od tej chwili Węgierka już nie zdobyła ani jednego gema. Wygrałam seta 6:3.

Walka toczy się dalej, moja dobra passa trwa. Aż nagle, gdy zdobywam gema za gemem i osiągam 4:1 i 40:0, tracę piłkę, załamuję się na chwilę i przegrywam gema. Wtedy to skrzywiłam się na korcie, okazując nie-

zadowolenie. Opanowałam się jednak szybko i zdobyłam seta 6:3.

Być może ktoś z moich Czytelników oglądał ten mecz i zapamiętał mój niepotrzebny grymas. Chciałam się więc teraz usprawiedliwić. Skrzywiłam się w momencie, gdy chciałam skrócić piłkę, a w ostatniej chwili zmieniłam decyzję i uderzyłam z całej siły. Piłka trafiona zbyt późno wyskoczyła za kort. Wspominam dziś o tym, zdawałoby się drobnym fakcie, bo zdaję sobie sprawę, że wszystkie objawy niezadowolenia na korcie są najzupełniej zbyteczne. Każdy sportowiec powinien umieć panować nad swymi nerwami.

Jeden z dziennikarzy notował, ile piłek udało mi się skrócić w czasie tego meczu. Było ich aż 23. Żadna z nich nie została przyjęta przez partnerkę.

Po meczu znalazłam się w domku klubowym i odpoczywałam w wygodnym fotelu. Pomyślałam wówczas: „Gdzie są moje liczne rywalki, z którymi toczyłam przed wojną tak zażarte mecze? Gdzie jest Jacobs, Marble, Valerio, Whittingstall, Adamoff, Aussem, Horn, Scriven, Stammers, Wills Moody, Round, Mathieu, Henrotin i wiele, wiele innych? Przecież były to moje rówieśnice, a już od dawna ustąpiły z placu boju. Słuch o nich zaginął. Nie grywają w tenisa, a nawet nie dzielą się swymi bogatymi doświadczeniami z młodym pokoleniem”.

Byłam szczęśliwa i dumna. Raduje mnie świadomość, że gdy będę musiała ustąpić miejsca młodszemu, nie stanę się bezużyteczna, lecz zacznę ich uczyć, dzieląc się z nimi swoim dorobkiem sportowym.

W drugim półfinale Koermoesy, znajdującą się w świetnej formie, rozprawiła się bez trudu z Rumunką Stancescu 6:3, 6:3. Obserwowałam ten pojedynek i doszłam do wniosku, że moje spotkanie w finale z o wiele młodszą Węgierką stanie się dla mnie niezwykle ciężkie. Koermoesy znałam doskonale, należałam przecież do grona tych tenisistek, które — jeśli można tak powiedzieć — wprowadziły ją w świat sportowy. Piętnastoletnia Koermoesy z długimi warkoczami przybyła przed wojną do Warszawy. Grałyśmy wtedy mecz i powiedziałyśmy jej wówczas:

— Grasz świetnie, posiadasz wielki talent i nadejdzie dzień, gdy będziesz mnie biła na korcie.

Teraz w Sopocie nadszedł właśnie ten dzień — dzień

rewanżu. Próbowalam mej niezawodnej broni, dropszów, lecz nadaremnie — Węgierka dobiegała do wszystkich skróconych piłek.

Przegrałam gładko 2:6, 1:6. Moje przepowiednie spełniły się. Koermoeesy reprezentuje dziś najlepszą klasę europejską i osiąga wiele międzynarodowych sukcesów. Pod koniec turnieju w Sopocie spotkała nas niespodzianka! Do Polski przybyła z rewizytą drużyna tenisistów radzieckich.

Moja przyjaźń z tenisistami radzieckimi zadzierzgnięta w Moskwie pogłębiła się jeszcze bardziej w czasie ich pobytu w Sopocie. Pamiętam do dziś spotkanie z naszymi gośćmi w *Grand Hotelu*. Na werandzie są zastawione stoły, migają chorągiewki ZSRR, Węgier, Rumunii i Polski. W tej sali zbierali się na posiłkach tenisiści bratnich narodów, dyskutując i udzielając sobie wzajemnie rad. Przez wielkie okna widać morze, wtedy spokojne, pogodnie i marzące. Do mola zbliża się statek; zdaje się, że to „Panna Wodna” powraca z Ustki.

Tenisiści radzieccy siedzą wpatrzeni w morze. Nastrój jest pogodny jak fale Bałtyku. Witam się ze wszystkimi serdecznie. Olbrzymi Ozierow ściska mi mocno rękę. Czy wiecie, że Ozierow jest aktorem teatralnym i spikerem radiowym? Jako aktor zyskał sobie dużą popularność w teatrze imienia Gorkiego w Moskwie.

Jest to wyjątkowo wszechstronny sportowiec. Prócz tenisa grywa bardzo dobrze w piłkę nożną. W Moskwie opowiadano mi, że Ozierow nigdy nie rozstaje się z podręczną walizeczką, w której obok kostiumu teatralnego i szminek, znajduje się stale rakietka tenisowa i ekwipunek piłkarski.

— Powiedz mi, Kola — zapytałam Ozierowa — jak zaczęła się twoja kariera tenisowa?

Ozierow uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział z odcieniem dumy:

— Rozpocząłem od podawania piłek, gdy miałem 12 lat!

— A twoja? — zagadnął mnie z kolei.

— Zupełnie tak samo, ja również zbierałam piłki.

Oboje uśmiechnęliśmy się serdecznie i jeszcze raz uściskaliśmy sobie ręce.

Z doktorem Korczaginem łączą mnie specjalne wspomnienia, gdyż po moim wypadku w Moskwie udzielił mi

pierwszej pomocy i serdecznie się mną opiekował. Korczagin pracuje nadal w poradni sportowo-lekarskiej w Moskwie. Tenis uprawia od 18 roku życia. Próbował innych gałęzi sportu, lecz zawsze powracał na korty.

— Czy już byłeś kiedy w Polsce? — zapytałam.

— W czasie wojny, w 1944 roku przebywałem na froncie w okolicach Lublina, a później Sandomierza.

Z dwumetrowym Korbutem rozmawiałam po polsku, miał bowiem matkę Polkę i dobrze zna nasz język. Patrząc na Korbuta trudno uwierzyć, że ma już 32 lata. Jest z zawodu inżynierem architektem i ma pod swoją opieką budownictwo sportowe Zrzeszenia Dynamo w całym Związku Radzieckim. Według jego projektów powstały wielkie obiekty sportowe w Moskwie, Archangielsku, Tyflisie i innych miastach.

Najbardziej stylowym graczem w drużynie radzieckiej był Andrejew. Liczył on wtedy 27 lat, a tenis uprawiał od 12 roku życia.

— Nie tylko gram w tenisa — wyjaśnia Andrejew — lubię także piłkę nożną i ręczną, w zimie jeżdżę na nartach i łyżwach. Jeśli się chce być dobrym tenisistą, nie można zasklepić się tylko na korcie.

Andrejew jest z zawodu mechanikiem samolotowym. W czasie wojny walczył na froncie leningradzkim i ukraińskim. Latał na różnego typu maszynach, wielokrotnie narażając swe życie. Gdy nadszedł dzień zwycięstwa, był kawalerem Orderu Czerwonej Gwiazdy.

Witam także koleżanki z Kraju Rad. Do Sopotu przybyła Korowina, z którą przegrałam w Moskwie. Dowiaduję się, że rozpoczęła swą karierę sportową w 1930 roku — i to nie jako tenisistka, lecz gimnastyczka. W ćwiczeniach na przyrządach Korowina święciła swego czasu duże sukcesy.

— Właśnie dzięki gimnastyce doszłam do sukcesów na korcie — powtarza często.

Najmłodszą z drużyny jest 19-letnia Rita Jemieliانو, dziewczyna o długich warkoczach. Wygląda raczej na 15 lat, lecz na korcie budzi podziw swoją energią i prawie męskim uderzeniem. Ozierow spełnia rolę opiekuna Rity i opowiada mi o niej kilka szczegółów:

— Zanim Rita nauczyła się grać w tenisa, już jako mała dziewczynka pęzała po kortach na czworakach.

Marzeniem Jemielianowej nie są jednak tylko sukcesy

na korcie. Uczęszcza w Moskwie do konserwatorium i pragnie zostać pianistką.

Wkrótce rozpoczęliśmy wspólne treningi z tenisistami radzieckimi, w których uczestniczyli również Węgrzy i Rumuni. Pamiętam dzień, gdy młodziutka Jemielianowa ćwiczyła z Rumunem Viziru. Rita była skupiona, pochłaniała oczami ruchy rutynowanego Viziru. W pewnej chwili Jemielianowa odbiła piłkę z powietrza rakieta zbyt podniesioną do góry. Trener radziecki przerwał grę i wraz z Viziru pokazał dziewczynie, jak należy prawidłowo odbijać woleje. Następną tego rodzaju piłkę tenisistka radziecka przyjęła już bezbłędnie.

Nie ulegało wątpliwości, że te wspólne treningi przyniosły wszystkim graczom duży pożytek. Następnie rozegraliśmy szereg meczów pokazowych w różnych miejscowościach kraju. Zawędrowaliśmy do mego rodzinnego miasta — Krakowa. Czułam się tu gospodynią, oprowadzałam miłych gości po Wawelu i innych miejscach zabytkowych.

W Nowej Hucie i Zakopanem witały tenisistów radzieckich wielotysięczne tłumy. W Poroninie nasi goście zwiedzili Muzeum Lenina.

Któregoś dnia wyjechaliśmy kolejką linową na Kasprowy Wierch, a wieczorem zorganizowano specjalnie dla nas wieczornicę góralską, na której oklaskiwaliśmy tańce regionalne.

Z Zakopanego udaliśmy się na Śląsk, gdzie nasi goście zwiedzili kopalnię, po czym powróciliśmy do Warszawy. Oczekiwało nas bowiem spotkanie Warszawa — Moskwa. Program obmyślono w ten sposób, aby w meczu mogli brać udział również i młodzi tenisisci, na przykład piętnastoletnia Ślązaczka Ryczkówna.

W meczu tym przypadło mi w udziale zmierzenie się z Korowiną, z którą przegrałam w Moskwie. Warszawskie spotkanie miało więc charakter rewanżowy.

Wymieniamy pierwsze piłki. Ani się spostrzegłam, gdy pierwszego gema przegrałam na sucho. Po prostu Korowina zaskoczyła mnie szybkimi startami. Przegrałam również drugiego gema. Od tej pory zaczynam grać uważniej, próbuję dropszotów, które przynoszą mi pierwsze punkty.

Wtedy Korowina niezwykle ambitnie wywalcza jeszcze jednego gema. Wreszcie zdobywam się na zdecydowany

atak i przejmuję inicjatywę. Z podziwem obserwuję, jak Korowina ratuje piłki, zdawałoby się, nie do odbicia. Seta wygrywam 6:3.

W drugiej partii czuję się już bardzo pewnie, moje piłki nabrały regularności. Dopiero przy stanie 4:1 Korowina zaczęła stawiać nieco silniejszy opór, który szybko zdołałam przełamać, wygrywając seta 6:2.

Po bardzo wyrównanej grze spotkanie z Moskwą zakończyło się naszym zwycięstwem 6:5. Szalę na korzyść drużyny polskiej przeważały punkty zdobyte w grach mieszanych.

Po kilku dniach nasi goście opuścili Polskę. Odprowadziliśmy ich na lotnisko. Pożegnanie było niezwykle serdeczne. Żegnaliśmy się słowami:

— Do prędkiego zobaczenia!

*Największa nagroda \* Po raz siedemnasty... \*  
Rosną młodzi \* Przykład Ozierowa \* Po raz  
dwudziesty piąty...*

Lipiec i sierpień 1950 roku były dla mnie miesiącami wielkich wydarzeń. W dniu Święta 22 Lipca uzyskałam uchwałą Rady Ministrów tytuł Zasłużonej Mistrzyni Sportu za wybitne osiągnięcia i wyniki, które przyczyniły się do podniesienia ogólnego poziomu sportu polskiego i do jego sukcesów międzynarodowych.

Dyplom, wiszący na honorowym miejscu w moim pokoju, będzie do końca życia największą moją nagrodą.

Drugim doniosłym wydarzeniem była wiadomość, że w czasie konferencji wyborczej na I Polski Kongres Pokoju zostałam jednogłośnie wybrana jako jedna z ośmiu przedstawicieli Katowic. Zaszczytny ten wybór sprawił mi wielką radość.

Jeśli chodzi o wydarzenia sportowe, to w roku tym zdobyłam po raz 17 w życiu tytuł mistrzyni Polski, oddając zaledwie 9 gemów koleżankom. Czy cieszyło mnie zdobycie pierwszego miejsca? Niewątpliwie tak, zaszczytny tytuł zawsze raduje, szczególnie jeśli się go zdobyło tyle razy. Z drugiej jednak strony nadeszły i refleksje — pora, by któraś z moich rywalek potrafiła już nawiązać ze mną walkę.

Przyznam się szczerze, że zdobycie mistrzowskiego tytułu przyszło mi zbyt łatwo, gdyż w półfinale wygrałam z Jaśkowiakówną 6:1, 6:4, a w finale zwyciężyłam Popławską w ciągu 32 minut — 6:2, 6:1.

Niestety, poziom naszego tenisa kobiecego jest ciągle niepokojący. Sport ten nadal nie trafia do mas i przed

nami — zawodnikami starszego pokolenia — stoi obowiązek przełamania tego stanu rzeczy.

Po mistrzostwach Polski otrzymaliśmy zaproszenie do Bukaresztu. Turniej ten utkwił mi w pamięci, gdyż w historii tenisa polskiego dotychczas nie wydarzył się wypadek, aby dwie Polki w konkurencji międzynarodowej znalazły się w finale.

W Rumunii bardzo dobrze spisała się Popławska, która w półfinale spotkała się z Wertheimową, najlepszą w sezonie 1950 roku tenisistką rumuńską.

Popławska pierwszego seta wygrała 6:1, lecz wiele nerwów kosztowała mnie obserwacja drugiego. Rutynowana Rumunka dążyła do zwycięstwa za wszelką cenę i zaczęła grać bardzo regularnie. Doprowadziła stan do 5:2 i zdawało mi się, że Popławska znajdzie się na straconej pozycji. Sześć piłek setowych Popławska obroniła. Dwa razy podbiegła do siatki i skutecznie smeczowała. Ostatecznie wygrała seta 7:5, kwalifikując się do finału.

W drugim półfinale wygrałam gładko z Rumunką Teodorowską, w finale z Popławką 6:1 i 6:1. Wynik ten świadczy na pozór o mojej bardzo znacznej przewadze. Tak jednak nie było, Popławska grała bardzo dobrze i w każdym gemie potrafiła nawiązać ze mną walkę.

Czas płynie szybko — jesień zbliża się, korty pustoszeją. Niegdyś, za moich dziecinnych lat, nienawidziłam tej pory roku. Wiedziałam, że nadchodzi zima i na czas dłuższy trzeba się zżegnać z ukochanym sportem. Czy i w tym roku moje rakiety powędrują do lamusa...? O, nie! Przyjęłam posadę trenerki Zrzeszenia „Stal” na Śląsku. Nie rozstanę się z tenisem i będę codziennie uczyła młodzież. „Stal” posiada krytą halę, w której przez całą zimę odbywają się treningi. Na wiosnę wyjdziemy na otwarte korty, z których cztery mają być przeznaczone dla początkujących.

Kiedy po raz pierwszy stanęłam wśród juniorów — było to na przełomie 1950 roku — i zaczęłam ich uczyć, jak należy stawiać pierwsze kroki na korcie, w jaki sposób trzeba trzymać raketę — pomyślałam o swoim dzieciństwie.

Przypomniła mi się bieda w naszym małym domku, zbieranie pilek. Jakże trudno było wtedy stawiać pierwsze kroki na korcie. O ile szczęśliwsza jest dzisiaj młodzież! Nie potrzebuje strugać rakiet z drewna i kręcić pilek z gałganków.

W „Stali” prowadzimy pracę wspólnie z trenerem Ślusarzem. On zajmuje się początkującymi, ja prowadzę lekcje dla bardziej zaawansowanych.

Zapewne zapytacie, czy wśród juniorów znajduje się młodzież szkolna? Oczywiście tak, w skład mojej grupy wchodzi uczniowie — dzieci pracowników hut. I znów muszę powrócić do tych przykrych wspomnień, kiedy chciano mnie wyrzucić ze szkoły za grę w tenisa.

„Biały sport” na Śląsku bodaj z każdym miesiącem zyskuje coraz większą popularność wśród górników. Nie chciałam niemal wierzyć, gdy mi powiedziano, że wiele ludzi, którzy ciężko pracują pod ziemią, uprawia sport tenisowy. Tenis traktują jako najprzyjemniejszy odpoczynek po robocie i wspaniałą rozrywkę.

Przekonałam się o tym naocznie, gdy oglądałam turniej o mistrzostwo Śląska, w którym brali udział niemal wyłącznie górnicy. Tak ambitnych walk nie widziałam od dawna. Wszyscy zawodnicy wykazali zdumiewającą kondycję, na którą mogą się zdobyć jedynie ludzie pracy. Popularnymi tenisistami wśród górników są bracia Polusiki, Sikora czy też Jarek.

Przypominam sobie mecz o drużynowe mistrzostwa, kiedy to na korcie stanęła para Polusików z Rudy Śląskiej i walczyła z zespołem Niestrój, Boncol. Pierwszego seta wygrali bracia, lecz załamali się w następnych i przegrali mecz. Cóż to było za zmartwienie dla całej Rudy Śląskiej! Długo jeszcze potem komentowano ten wypadek.

— Pierona, nie szło mi, źle dziś zagrałem — skarżył się jeden z braci Polusików.

Na Śląsku odbywają się mistrzostwa drużynowe na szczeblu powiatowym i wojewódzkim. W 1953 roku do rozgrywek powiatowych stanęło 38 drużyn, a do wojewódzkich reprezentacje 24 kół. Koło, które chce uczestniczyć w konkurencji, musi wystawić zespół złożony z dwóch seniorów i jednej seniorki oraz dwóch juniorów

i jednej juniorki. Wszystkie mecze były niezwykle zażarte. I jeśli można mówić o umasowieniu tenisa w Polsce, z naciskiem należy podkreślić, iż Śląsk daje przykład dobrej roboty. Jestem zadowolona, że biorę w niej udział.

Tenis jest sportem wymagającym wielkiej pracy, a często nawet poświęcenia. Początki są zawsze trudne, ale nie trzeba się nigdy zrażać niepowodzeniem. Wspominam o tym, gdyż często spotykam się z pytaniem:

— Kiedy nadejdą wyniki?

— Przyjdą i one, lecz trzeba cierpliwości i wytrwałości w pracy.

Aby nie być gołosłowną, zacytuję w tym miejscu opowiadanie Ozierowa, które słyszałam podczas pobytu naszego radzieckiego kolegi w czasie *tournee* drużyny piłkarskiej Dynamo. Ozierow przyjechał do Polski wraz z piłkarzami jako spiker i transmitował przez radio wszystkie mecze.

Opowiadanie to utkwiło mi głęboko w pamięci:

— Czy wiecie, że w marcu 1951 roku mogłem zaledwie marzyć o tenisie i scenie? W tym bowiem czasie przechodziłem ostre zapalenie stawu kolanowego i musiałem poddać się operacji. Dokonał jej znany chirurg, profesor Łanda.

Zabieg był bardzo bolesny, zaciskałem zęby, żeby nie krzyknąć. I nagle przy końcu operacji profesor zapytał: „Kiedy będą rozgrywane mistrzostwa Związku Radzieckiego w tenisie?”

Przewyciężając ból odpowiedziałem:

„W końcu wrzeźnia”.

„To świetnie — uśmiechnął się chirurg — z kolanem będzie wszystko w porządku. Będziecie mogli zdobyć tytuł mistrza ZSRR i powrócić na scenę, lecz aby to osiągnąć, trzeba jednak więcej pracować niż dotychczas”.

Słowa profesora dodały mi otuchy i dały wiele do myślenia. W trzy tygodnie po operacji zawieziono mnie do hali moskiewskiego Dynamo, abym obejrzał finałowe mecze o mistrzostwo zrzeszeniowe. Gdy zobaczyłem moich kolegów: Andrejewa, Niegrebeckiego, Korbuta, Korczagina, walczących o piłki, i spojrzałem na kule stojące obok mnie, pomyślałem: profesor chyba ze mnie zakpił...

Nie, to niemożliwe — przyszły refleksje — to są zbyt poważne sprawy, aby chirurg mógł mnie wprowadzić w błąd. I zacząłem jeszcze raz zastanawiać się nad słowami lekarza. Tak, on miał rację mówiąc, że jeszcze będę musiał wiele pracować.

Teraz zdaję sobie sprawę, że wiele zwycięstw, które po wojnie przyszły mi zbyt łatwo, przewróciło mi nieco w głowie. Zapomniałem o błędach popełnianych na kortach. Wydawało mi się, że one same miną z biegiem lat. Lecz tak bynajmniej nie jest, jeśli się chce czynić postępy — należy ciągle się szkolić i ani na chwilę nie spoczywać na laurach. Lata minęły, moi koledzy trenowali bardziej systematycznie i wyprzedzili mnie. Straciłem tytuł mistrza ZSRR.

Teraz, gdy zostałem inwalidą, przyjaciele prześcignęli mnie jeszcze bardziej. Pozostawało tylko jedno: powrócić na kort i pracować tak, aby nie tylko ich dogonić, lecz i prześcignąć.

W maju porzuciłem kule i chodziłem już o kij. Jeszcze minął miesiąc, a zostawiłem laskę w spokoju. Zacząłem uprawiać gimnastykę. Ba! Próbowaliśmy nawet biegać na krótsze dystanse, które z upływem dni stawały się coraz dłuższe. Jeśli chodzi o tenis, to grywałem sam, przy ścianie.

Dopiero w końcu lipca wyszedłem po raz pierwszy na kort i... przegrałem z tenisistą trzeciej klasy. Jeszcze przez cały miesiąc bili mnie słabsi przeciwnicy. Grywałem przeważnie deblę, aby mniej się ruszać, gdyż kolano od czasu do czasu bolało.

Ale w pierwszej połowie września poczułem się na tyle silny, aby trenować pełnym „gazem”. Przez półtora miesiąca pracowałem jak nigdy w życiu. Codziennie uprawiałem różne sporty, które pozwoliły mi na zdobycie kondycji. Na korcie trenowałem wszystkie uderzenia kolejno: forhend, bekhend, woleje, smecze, serwis, myśląc sobie w duchu: szkoda, że profesor nie widzi, byłby zadowolony.

I to, co wydawało się niemożliwe, stało się realne: po czteroletniej przerwie znów zdobyłem tytuł mistrza Związku Radzieckiego.

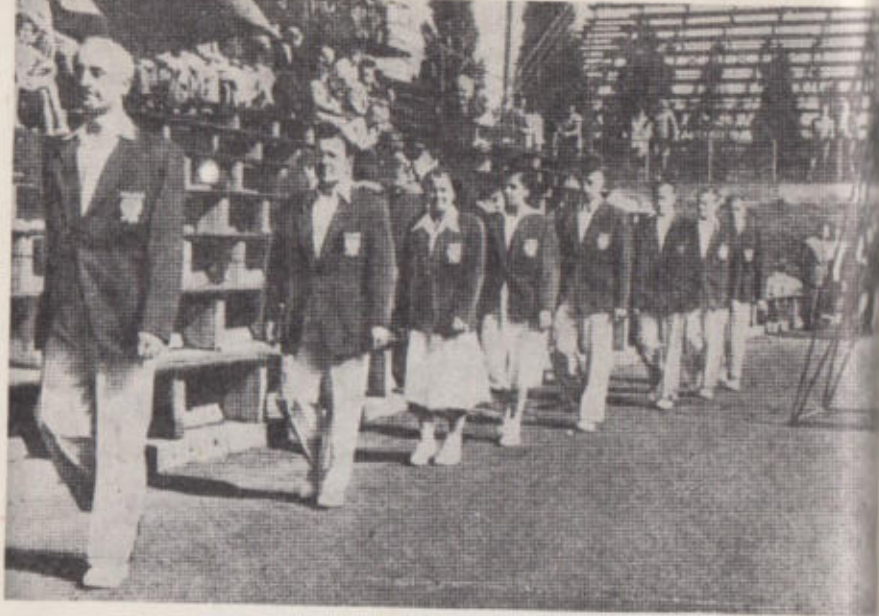
W 20 minut po zejściu z kortu po meczu finałowym, udałem się na tyfliską pocztę i wysłałem telegram do profesora:



*Podczas pierwszej powojennej wizyty w Łodzi Jadwiga Jędrzejowska przegląda album tenisistów w towarzystwie autora niniejszych wspomnień*



*Jadwiga Jędrzejowska w otoczeniu czołowych tenisistów radzieckich, Ozierowa (z lewej) i Korczagina, w czasie ich pobytu w Warszawie*



Prezentacja polskiej drużyny na międzynarodowych mistrzostwach Węgier (1952 r.). Prowadzi kapitan Challier, za nim: trener Korneluk, Jędrzejowska, Ryczkówna, junior Roszkiewicz, Piątek, Radzio i junior Marcin

Przed spotkaniem: Puzejova i Javorsky (CSRS) — Jędrzejowska i Piątek (Polska)



Ozierow i Hebda podczas jednego z licznych kontaktów tenisistów ZSRR i Polski

Jędrzejowska i Gąsiorek w otoczeniu Polonii w New Jersey, podczas ostatniego pobytu w Ameryce



Po zakończeniu kariery zawodniczej Jędrzejowska znalazła wiele radości w pracy trenerskiej. Może wśród tej gromadki wyróżnić jej następczyni



„Zadanie na korcie wypełniłem. Za kilka dni powracam na scenę.”

Bardzo bym chciała, by wielu z naszych tenisistów zapamiętało sobie tę historię i brało przykład z Ozierowa!

W 1952 roku wywalczyłam tytuł mistrzyni Polski w Łodzi, bijąc młodą Ryczkównę w finale 8:6, 6:2. A w 1953 roku we Wrocławiu wygrałam z tą samą zawodniczką 6:4, 6:4 i po raz 25 w życiu zostałam mistrzynią Polski (lata wojny zostały oficjalnie wyłączone). W czasie tak licznych walk z rywalkami krajowymi nie oddałam ani jednego seta. Niewątpliwie jest to rekord, z którego jestem dumna.

Ostatnie straty w mistrzostwach Polski \* Jeszcze raz na Łazurowym Wybrzeżu \* Spotkanie z Heleną Jacobs \* Pożegnanie z kortami

Około 1953 roku doszłam do przekonania, że moje umiejętności i doświadczenia należy przekazać młodemu pokoleniu. Moim marzeniem stało się wychowanie młodej, utalentowanej zawodniczki, której jak to się mówi mogłabym przekazać berło. Rozpoczęłam więc pracę trenerską w Stali katowickiej, przyszłej Hucie Baildon.

Nie chciałam jednak rezygnować z kariery zawodniczej. Ciągle zbyt byłam zakochana w tenisie, abym mogła się wyrzec smaku walki na korcie. Niestety wkrótce przekonałam się, że połączenie kariery zawodniczej z pracą pedagogiczną jest bardzo trudne.

Treningi z młodzieżą zaczynały mnie męczyć, a przede wszystkim „wybijały z uderzenia”. Zaczęłam zatracać swobodę poruszania się na korcie i szybkość. Co najgorsze, zauważyłam, iż często nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Chciałam jeszcze przez kilka lat dzierżyć tytuł mistrzyni Polski — aby ustanowić rekord, który zapewne nieprędko zostanie pobity.

Lecz jeśli mam być szczerą, to właśnie taka sytuacja wprowadzała mnie w zły stan psychiczny przed każdymi mistrzostwami Polski. Często przychodziło mi do głowy, że łatwiej jest zdobyć tytuł mistrzyni, niż go obronić.

Od 1953 roku przed każdym spotkaniem finałowym przeżywałam nie mniejszą treść niż niegdyś w Wimbledonie. Jednak moje rywalki okazywały się zbyt słabe aby mi zagrozić. I tak w 1954 r. pokonałam w Łodzi Licisównę, a w następnym roku w Poznaniu Ryczkównę. Dopiero w 1956 r. nastąpił dramat. W finale zmierzyłam się z Rycz-

kówną i to — czego najbardziej się obawiałam — zadecydowało o mojej porażce. Zawiodły mnie nerwy. Moja rywalka była bardzo dobrze przygotowana i znajdowała się w wysokiej formie. Każda z nas wygrała po jednym secie. W decydującym wywalczyłam pierwszego gema i prowadziłam 1:0. Z wielkim zapalem i ambicją, chcę rozpocząć następną grę — a tu sędzia ogłasza: „Ryczkówna prowadzi 1:0”. Zwróciłam się do arbitra aby sprostował omyłkę — jednak odmówił i obstawał przy swoim. Na trybunach odezwały się głosy protestu. Ten incydent załamał mnie całkowicie. Przestałam walczyć, nerwy sparaliżowały mi mięśnie. Przyznaję, że zawodniczka z moim doświadczeniem nie powinna się tak przejąć drobnym incydentem. Ale właśnie ta obawa — utraty tytułu na korzyść młodszej odegrała w tym wypadku decydującą rolę.

Tytuł jednak odzyskałam już w następnym roku wygrywając z Gergkówną w Szczecinie. W 1958 r. pokonałam Filipównę, a w 1959 r. Szmidtównę.

Wtedy doszłam do wniosku, że gra pojedyncza już mnie zbyt męczy; w 1960 r. nie brałam udziału w mistrzostwach z powodu tak zwanej „tenisowej choroby” (ból w łokciu).

A jednak jeszcze nie rezygnowałam. Wydaje mi się, że nie przesadzę jeśli powiem, że w 1962 r. odniosłam duży sukces. Nazwę go piłkarskim językiem „hat trick”, bo wywalczyłam aż trzy tytuły mistrzyni Polski. W finale rozgromiłam Salińską 6:1, 6:1, w deblu wywalczyłam tytuł wraz ze Żmijewską, a w grze mieszanej moim partnerem był Skonecki i również odniosłam sukces.

Niestety musiałam prawdzie spojrzeć śmiało w oczy. Gry pojedyncze zaczynały mnie bardzo męczyć. Po prostu już nie miałam sił, lecz jednocześnie nie mogłam się zdobyć na decyzję, aby ostatecznie pożegnać się z tenisem zawodniczym. Jeszcze raz w 1963 r. doszłam do finału, ale przegrałam z Wieczorkówną. Straciłam szybkość i z trudem poruszałam się na korcie.

Postanowiłam od tego roku już tylko startować w grach mieszanych. I tak jeszcze do mojej kolekcji tytułów dorzuciłam w latach 1964, 1965 i 1966 zwycięstwa w deblu i mikscie. W 1967 roku zostałam mistrzynią w grze podwójnej pań, ale w grze mieszanej poniosłam porażkę.

Opowiedziałam o tych rozgrywkach w dużym skrócie. Po prostu dlatego, że właściwie moje mecze finałowe z nielicznymi wyjątkami były bez historii. Sukcesy przy-

chodziły dość łatwo. Być może, że decydującą rolę odgrywała moja rutyna. Być może, moje przeciwniczki nie dorosły do klasy międzynarodowej, czy też miały przede mną zbyt wielki respekt. Dlatego nie przeceniam mych zwycięstw. Proszę jednak pamiętać, że odniosłam je w latach, w których moje najgroźniejsze rywalki z młodzieńczych lat już od bardzo dawna pożegnały się z tenisem. Właśnie do nich niedługo powrócę, gdyż niektóre spotkałam podczas powojennych wypraw zagranicznych.

A takich podróży odbyłam kilka i sprawiły mi wielką radość, a przede wszystkim satysfakcję, że mnie jeszcze pamiętano. Na każdym kroku spotykałam się z licznymi przejawami serdecznej przyjaźni. O kilku wyprawach już wspominałam, ale dużą przyjemność sprawiła mi w 1956 r. wycieczka do Francji. W czasie meczu Polska-Francja w Warszawie i Katowicach bardzo zaprzyjaźniłam się z byłą mistrzynią Francji — Seghers. Wygrałam z nią w naszej stolicy, ale w Katowicach uległam drugiej reprezentantce Francji — Galthier. Obie te panie bardzo mnie polubiły i zapraszały do siebie. Taka podróż bardzo mnie nęciła, gdyż Seghers miała willę w Cannes — a ja tak bardzo chciałam przypomnieć sobie młode lata, odnowić wspomnienia z turniejów na Lazurowym Wybrzeżu. Zaproszenie istotnie nadeszło, ale trzeba było załatwić jeszcze wiele formalności. I tu przyszedł mi z wielką pomocą honorowy prezes PZT, obecny premier Piotr Jaroszewicz. Ten niezmiernie miły i uczynny człowiek szczerze interesuje się tenisem i dobrze orientuje się w tej dyscyplinie sportu. Dzięki jego pomocy mogłam spędzić dwa miesiące we Francji.

Początkowo przebywałam w Paryżu, gdzie również madame Seghers ma swój apartament. Serdecznie zaopiekowała się mną nasza ambasada, a ambasador Gajewski — wielki amator tenisa — często ze mną grywał. Spotkałam Brugnona i Borotrę — ogromnie serdecznie się ze mną witali. Musiałam im opowiadać wszystkie moje przeżycia wojenne.

Z Paryża pojechałam na Lazurowe Wybrzeże i na wiele tygodni stałam się gospodynią willi, gdyż moja przyjaciółka musiała powrócić do Paryża i całe gospodarstwo pozostawiła pod moją opieką.

Jeździłam po całym wybrzeżu i odwiedzałam miejscowości, gdzie niegdyś rozgrywałam turnieje. Byłam w Beau-

lieu, Mentonie, Monte-Carlo, Nicei i nawet próbowałam startować, ale bez powodzenia. Z Francji pojechałam do Szwajcarii, gdyż zostałam zaproszona do Bazylei przez moją przyjaciółkę — znaną tenisistkę Kauffmann. Jeździłam po całej Szwajcarii, zachwycając się urokiem tego kraju.

Drugą podróżą, która sprawiła mi wiele radości, była wyprawa w 1962 r. na mistrzostwa Stanów Zjednoczonych w Forest Hills. To było bodaj największe zaskoczenie w moim życiu. Bowiem otrzymałam imienne zaproszenie do wzięcia udziału w tym wielkim turnieju. Takie zaproszenie otrzymali również Skonecki i Gąsiorek. Nie chciałam wierzyć. Nigdy nie przypuszczałam, że w moim wieku — mogę być jeszcze atrakcją dla Amerykanów. Wylecieliśmy z Warszawy do Amsterdamu. W Holandii spotkaliśmy elitę tenisową świata, która po zakończeniu turnieju w Wimbledonie udawała się do Forest Hills. Podróż więc z Amsterdamu do Nowego Jorku była niezwykle miła i atrakcyjna. Wszyscy koledzy byli dla mnie bardzo serdeczni. Na lotnisku oczekiwały nas samochody i rozlokowano nas w hotelach.

Jak to zazwyczaj bywa w USA, nie zapomniano o reklamie. Wyczytałam w gazetach... „że oczy Amerykanów będą oglądać przedwojenną finalistkę z Forest Hills”. Trochę się przestraszyłam tej reklamy, bo przecież zdawałam sobie sprawę, że nie mam żadnych szans. Postanowiłam jednak dać z siebie wszystko i o dziwo udało mi się przebrnąć przez pierwszą kolejkę, a to już dla mnie była satysfakcja. W drugiej, po ciężkiej grze, uległam w trzech setach.

A gdy już zostałam wyeliminowana, bardzo chciałam spotkać moje dawne rywalki. Odnalazłam w książce telefonicznej nazwisko Heleny Jacobs. Zatelefonowałam. Helena odebrała telefon. Jakie było jej zdziwienie, gdy usłyszała, że mówi „Dżed”. Okazało się, że Jacobs jest pułkownikiem lotnictwa. Wojnę z Japonią przepędziła na Dalekim Wschodzie i dosłużyła się tak wysokiego stopnia. Przez wiele dni nie rozstawaliśmy się. Każdy nasz mecz przypominaliśmy sobie i analizowaliśmy niemal wszystkie sety. My, które zawsze walczyłyśmy „na śmierć i życie” — teraz byłyśmy najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Sprawilo mi to wielką satysfakcję, gdyż jeszcze raz

przekonałam się, jak sport może zbliżać ludzi, a nawet narody.

Niestety nie spotkałam innych moich rywalek, jak Marble, Stammers czy Scriven. Przebywały gdzieś na świecie, ale w każdym razie już od dawna pożegnały się z tenisem. Zresztą Jacobs również całkowicie zapomniała o „białym sporcie”. Nie chciała ani razu pojechać do Forest Hills. Być może wspomnienia dawnych — wielkich dni — były dla niej zbyt przykre i nie chciała ich odnawiać.

Z Nowego Jorku zostaliśmy zaproszeni przez Polonię amerykańską do New Jersey na mecze pokazowe. Przyjmowano nas z wielką serdecznością i polską gościnnością.

Nadszedł czas powrotu. Szczerze mówiąc, już było mi tęskno za domem i naszą szkołą tenisową zorganizowaną przez sekcję tenisową Huty Baildon. Od 1960 roku ogłaszamy na wiosnę nabór młodzieży. Jeszcze przed kilku laty przyjmowaliśmy młodzież w granicach wieku od 11 do 14 lat. Jednak doświadczenie wykazało, że limit wieku należy przesunąć i rekrutujemy dzieci liczące od 9 do 12 lat. Sądzę, że może być interesujące jak się odbywają lekcje gry w tenisa. Oczywiście trening przebiega według instrukcji opracowanej przez PZT dla każdej grupy dwa razy w tygodniu i trwa około dwóch godzin. Rozpoczynamy od ogólnego przygotowania, polegającego na zabawach z piłką i gimnastyce. Staramy się wzbudzać wśród młodych zamiłowanie do tenisa. Dopiero po przejściu takiego wstępnego kursu uczymy, jak należy prawidłowo trzymać raketę, odbijać piłkę itp. Na jesieni organizuje się coś w rodzaju egzaminów, a raczej sprawdzianów. Polegają one na grze przy ścianie, badaniu refleksu i wzroku, zwinności, postępów w gimnastyce. W ten sposób dokonujemy pewnej selekcji. I dopiero wtedy w zimowej hali rozpoczyna się poważniejszy trening indywidualny z poświęceniem głównej uwagi prawidłowości uderzenia, taktyce gry itp.

Rzecz jasna młodzież przyjęta do szkoły otrzymuje sprzęt i pełne wyposażenie. Proszę nie myśleć, że mniej utalentowana młodzież zostaje usunięta. Przeciwnie, pozostaje nadal pod troskliwą opieką i może nadal korzystać z kortów. Nie zamyka się jej drogi do dalszego uprawiania białego sportu.

Jeśli mam być szczerą, to niestety muszę z przykrością stwierdzić, że w okresie mej pracy trenerskiej nie spotka-

łam zbyt wiele młodzieży zdradzającej prawdziwy talent tenisowy. Choć niewątpliwie na specjalne wyróżnienie zasługują tacy moi wychowankowie, jak Maria Wojdyła, która znalazła się druga na liście junierek, czy też Barbara Dyrda lub też Andrzej Tyro — który ułokował się na pierwszym miejscu na liście młodzików. Wymienię jeszcze takie zawodniczki, jak Żmijewska czy Licisówna — mistrzyni juniorów.

Wydaje mi się, że mimo bardzo dużej pomocy ze strony państwa, tenis jeszcze nadal cierpi na pewne braki, a przede wszystkim na niedostatek sprzętu.

Często spotykam się z pytaniem, co sądzę o dzisiejszej klasie naszych tenisistów? Niewątpliwie w chwili, kiedy piszę te wspomnienia, posiadamy dobrą i utalentowaną drużynę, w której moim pupilem jest Tadeusz Nowicki. Za największy talent i gracza przyszłości uważam juniora Fibaka z Poznania, który bardzo dużo pracuje nad sobą. Bardzo podoba mi się Jacek Niedźwiedzki. Ma on duży talent, ale niestety słabe nerwy i dlatego często jest zbyt kapryśny.

Nadszedł rok 1968. Coraz częściej nawiedzała mnie myśl: „Musisz wreszcie zdobyć się na decydujący krok i pożegnać się z tenisem zawodniczym”. Zawsze wiedziałam, że taki moment musi nastąpić, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że decyzja będzie tak trudna. Jak to — powtarzałam sobie w duchu — już nigdy nie doznasz smaku walki, nigdy nie będziesz przeżywała tych najwyższych emocji sportowych, radości ze zwycięstwa — czy goryczy porażki? Budziłam się w nocy, rozmyślałam... Po prostu tak od najmłodszych lat byłam bez pamięci zakochana w tenisie, że porzucenie go uważałam jak gdyby za zdradę. Sama myśl o tym wywoływała skurcz w gardle.

Oczywiście nie miałam zamiaru pożegnać mej szkoły tenisowej, zawsze marzyłam i marzę, aby wychować tenisistkę o klasie światowej. Jednak pomiędzy treningiem a walką na korcie istnieje kolosalna różnica.

Wreszcie zdobyłam się na krok stanowczy i zawiadomiłam o mojej decyzji. Postanowiono, że uroczyste pożegnanie odbędzie się na kortach Huty Baildon w czasie Międzynarodowych Mistrzostw Polski. Na trybunie zgromadziły się tłumy publiczności i moich przyjaciół. Na kort wyszli przedstawiciele PZT, Okręgowego Związku, Federacji Hutnika, WKZZ, przedstawiciele Baildonu

i wielu innych instytucji. Zabrał głos dyrektor huty Mrzycki. Publiczność na trybunie powstała. Powtarzałam sobie co chwilę w duchu: „Jadwiga trzymaj się, bądź dzielna, nie załamuj się. Niech ci się zdaje, że grasz mecz o tytuł mistrzyni świata...”

Dyrektor nie dokończył przemówienia. Spostrzegłam, że głos mu się załamał, a łzy zaczęły spływać po policzkach. Wtedy nie wytrzymałam i ja też rozplakałam się. Już do końca uroczystości nie mogłam dojść do siebie. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jednocześnie wielkiego smutku, ale i radości ze spełnionego obowiązku, gdyż śmiem sądzić, że dobrze przysłużyłam się polskiemu tenisowi.

## Z HISTORII TENISA W POLSCE\*

W 1971 roku Polski Związek Tenisowy obchodzi „złote wesele”, 50-lecie istnienia. W ciągu pół wieku w sporcie tenisowym zaszły ogromne przeobrażenia, zmierzające do jego demokratyzacji i umasowienia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w swym zarodku tenis należał do dyscyplin tradycyjnie już nazywanych „elitarnymi”.

Nikt dziś nie ustali dokładnie, gdzie naprawdę była kolebka tenisa i kiedy ta gra przybyła do Polski. Jedno jest pewne — poznaliśmy ją w końcu ubiegłego wieku przez cudzoziemców — właścicieli wielkich przedsiębiorstw i ich pracowników, a także przez majątnych Polaków, którzy w swych zagranicznych podróżach zetknęli się z tenisem.

Nic też dziwnego, że tenis kielkował wśród ludzi zamożnych, tych, których było stać na własne korty i zaopatrzenie się w kosztowny sprzęt. W pierwszych latach naszego wieku w wielu dworach, parkach otaczających rezydencje przemysłowców powstawały korty. Tenis stawał się grą towarzyską, powiedzmy modną, taką jak niegdyś była gra w serso czy krokiet. Z okazji wystawy sportowej, która odbyła się w 1903 roku na Dynasach w Warszawie, ukazała się książka pt. „Hygiena Sportu”. W książce tej tenis znalazł się w rozdziale zatytułowanym „Gry sportowe” obok krokietu, bilardu (!), kregli, a nawet obok piłki nożnej. Autor tego rozdziału, dr Jan Guirard, pisze m. in.: „Gra w tenisa bardzo dodatnio oddziałuje na cały organizm i jeśli jeszcze dodamy do tego działanie świeżego powietrza, to będziemy mieli grę sportową, do której należy zachęcać młodzież i zalecać z punktu widzenia higienicznego. Teren do gry powinien być zalecony trawnikowy, jako nie wytwarzający kurzu. Jako ubiór zaleca się jasny lekki wełniany kostium, na gło-

\* W artykule wykorzystano materiał zebrany przez red. K. Tarasiewicz.

wę lekką czapkę, pas szeroki i pantofle na gumowych podszewkach".

Zacytowaliśmy ten tekst jako charakterystyczny. Bowiem można z niego wyciągnąć wniosek, że już ubiór zalecany do gry musiał być kosztowny i nie każdy mógł sobie na niego pozwolić.

Wspomniana książka nie była pierwszą publikacją, jaka ukazała się w Polsce na temat tenisa. W 1896 roku wychodzi w Warszawie „Przewodnik do gry lawn-tenisa” A. Wodniakowskiego, a w 1902 roku firma Rokicki w Warszawie wydaje również takie przepisy. Drugą pozycją tego typu, też z 1902 roku, jest „Lawn-Tennis i jego zasady”, wydane nakładem W. Karpińskiego w Warszawie. Widocznie na takie publikacje było zapotrzebowanie, gdyż już w 1883 roku „Kurier Warszawski” daje ogłoszenie, reklamujące „najlepszy środek przeciw nudom podczas pobytu na letnich mieszkaniach i w krajowych zakładach kąpielowych: Lawn Tennis, Cricket, Badminton, Croquet i inne wszystkie gry ogrodowe, angielskie i francuskie, najmodniejsze, za pomocą których siły fizyczne i zręczność rozwijają się nadzwyczajnie”. Również w znanym kalendarzu warszawskim Ungra z 1898 roku znajdujemy reklamę firmy Rokicki, sprzedającej sprzęt lawn-tenisowy.

To zapotrzebowanie na sprzęt i przepisy gry wynikało z faktu, że tenis zaczęto uprawiać nie tylko jako grę towarzyską, ale jako sport na równi z innymi.

W końcu ubiegłego wieku, a szczególnie w ostatnich latach XIX w. powstaje w miastach, a często w uzdrowiskach, jak np. Ciechocinku, wiele kortów. Są to korty ziemne lub betonowe. Takie place, o charakterze — powiedzmy — „rozrywkowym” budowano w parkach, ogródkach rozrywkowych, a również przy zabudowaniach fabrycznych — te ostatnie dla użytku właścicieli i administracji nie jako tereny rekreacji dla robotników.

Zainteresowanie tenisem ogarnia coraz szersze kręgi, co powoduje organizowanie się entuzjastów tej gry w specjalnych klubach. Stopniowo tenis przenosi się na tereny publiczne, znajdując oparcie w stowarzyszeniach sportowych. Ośrodkami sportu tenisowego stały się przede wszystkim duże miasta.

W Warszawie pierwszy zanotowany w kronikach turniej tenisowy zorganizowano w 1898 roku w Dolinie Szwajcarskiej. Wygrał go jeden z czterech braci Kowalewskich — Bronisław. Pierwszymi obiektami tenisowymi, poza Doliną Szwajcarską, były korty położone przy ul. Foksal (dzisiejsze boisko szkoły im. Zamoyskiego), korty w ogrodzie Raua (w Alei 3 Maja, gdzie stoi dziś gmach Muzeum Narodowego) i kort w Łazienkach.

Obiektem dużej skali stały się dopiero tereny do gry w Agrykoli, gdzie Warszawskie Koło Sportowe powołuje w 1908 roku sekcję tenisową, która dysponuje początkowo trzema, a następnie sześcioma kortami. Tygodnik „Świat” zamieszcza fotografię pierwszej partii tenisa rozegranej na otwarciu kortów przez braci Kowalewskich, Goldstana i Bławdziewicza. Czołowymi graczami warszawskimi są wówczas Bronisław, Władysław, Jan i Jerzy Kowalewscy, znany aktor Jerzy Leszczyński, Maurycy Zamoyski, Wacław Zawisza, a w latach sprzed I wojny — Wołowski, Jakimowicz i Drewnowski. Bracia Kowalewscy reprezentowali wysoki poziom gry, pozwalający im osiągnąć sukcesy za granicą, m. in. w mistrzostwach Berlina. Z pań należy wymienić Kronenberżankę, Żochowską, Neumanównę.

Z turnieju rozegranego w Agrykoli w 1911 roku prasa podaje m. in. taki opis urządzeń klubowych: „liczna publiczność codziennie otacza betonowe korty. W. K. Sportowe posiada ich 6, przy tym elegancką szatnię z telefonem, wodociągiem itd...”.

W zaborze rosyjskim, pod koniec XIX wieku, także w przemysłowej Łodzi zaczyna się przyjmować tenis, początkowo w Towarzystwie „Union”, a później w sekcji tenisowej Łódzkiego Zjednoczenia Cyklistów, dysponującej dwoma kortami w parku Helenowskim, założonej w 1908 roku. W następnym roku odbywa się pierwszy turniej, który wygrywa K. Steinert późniejszy czołowy gracz lat dwudziestych. W okresie międzywojennym tenis łódzki przez długie lata należał do najsilniejszych w Polsce.

Przenieśmy się teraz do zaboru austriackiego, do Galicji. Jednym z pierwszych klubów krakowskich, obok „Cracovii”, była sekcja tenisowa AZS-u istniejąca od 1909 roku. W 1912 roku nowy zarząd sekcji, złożony z braci Pawlasów, Wermutha, Radkego i J. Gabowskiego (prezesa), przystępuje do Austriackiego Związku Tenisowego i organizuje pierwszy na ziemiach polskich, urządzony przez klub polski — turniej międzynarodowy. W konkurencji międzynarodowej wygrał ten turniej znany gracz austriacki Kinzel, a w równoległe rozgrywanych mistrzostwach Krakowa w konkurencji krajowej zwyciężył W. Szwede. W 1913 roku mistrzem Galicji zostaje Librowicz z Wiednia, a mistrzem Krakowa — wschodząca gwiazda tenisa lat dwudziestych E. Kleinadel.

Rok później AZS organizuje następny turniej międzynarodowy, który po uprzednich usilnych zabiegach gromadzi po raz pierwszy w historii polskiego tenisa zawodników z wszystkich trzech zaborów! Z Warszawy przyjechali Kleinadel i Jakimowicz, ze Lwowa — Darski, z Czerniowiec — Zachar, z Poznania — Meiss-

ner, Starkowski i Szulc. Mistrzem Galicji został Wessely bijąc Szwedego w finale, mistrzem Krakowa Kleinadel, zaś mistrzynią Krakowa Wanda Nowakówna (późniejsza mistrzyni Polski Dubieńska).

We Lwowie pierwsza sekcja tenisowa powstaje w 1912 roku przy Towarzystwie Łyżwiarskim (zał. w 1869 r.). Przystępuje ona do austriackiego związku lawn-tennisowego i w roku swego założenia urządza turniej, w którym biorą udział gracze krakowscy Szwede i Wermuth. Z graczy lwowskich wybijają się Darski i Miziewicz. Do propagandy tenisa przyczynia się konsul angielski Whitehead. W 1913 roku odbywa się turniej w Jaśle. Obok sekcji tenisowej przy Towarzystwie Łyżwiarskim tworzy się sekcja tenisowa przy KS „Czarni”.

Najtrudniejsze warunki do rozwoju sportu polskiego miał zabór pruski. Istniały tam co prawda liczne kluby niemieckie (Poznań, Bydgoszcz, Toruń, Kartuzy), jednakże ze względu na wzajemny bojkot te obiekty były niedostępne dla sportowców polskich. W tenis grywano w kółkach prywatnych.

W Poznaniu, przy kawiarni ogrodowej w Szelągu, powstaje w 1895 roku kort betonowy przeznaczony dla gości kawiarnianych. Prezesem pierwszego Polskiego Towarzystwa Tenisowego w Poznaniu był późniejszy prezes sądu apelacyjnego J. Zakrzewski. Drugie Polskie Koło Tenisowe powstało w 1900 roku na kortach położonych obok dzisiejszego gimnazjum im. Marcinkowskiego. Członkami Polskiego Koła Tenisowego byli wybitni działacze społeczni walczący o polskość, jak dr T. Szulc, dr Marian Seyda i Cyryl Ratajski późniejszy prezydent miasta.

W 1911 roku, z inicjatywy A. Rosego ucznia szkoły średniej, odbył się pierwszy polski turniej tenisowy wyłącznie dla młodzieży szkolnej (ok. 60 uczestników). W 1912 roku powstał tajny Związek Tenisowy Młodzieży Poznańskiej liczący ok. 100 członków. Korzystano z 9 kortów położonych na terenie, który obecnie zajmuje Dom Akademicki im. H. Sawickiej. Do 1914 roku rozgrywano 1–2 turnieje w każdym sezonie. Czołowymi graczami byli: T. i Z. Szulcowie, S. Osten, K. Starkowski, Weissner, Meissnerówna, Rubachówna, Koltermanówna.

Grupa zawodników Związku Tenisowego Młodzieży Poznańskiej wyodrębniła się, tworząc Poznański Klub Tenisowy. Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej powstał KS „Warta”, który jako jedyny przetrwał zawieruchę wojenną.

Odzyskanie niepodległości otwiera nowy okres w historii tenisa polskiego; powstają kluby i sekcje tenisowe, rozpoczynają się turnieje ogólnopolskie i lokalne. Rozgrywane są mistrzostwa

Krakowa, Poznania, Łodzi, Warszawy, Śląska i Katowic.

W miarę wzrostu liczby klubów pojawiają się inicjatywy zmierzające do powołania związku, który by skupił wszystkie tenisowe organizacje. Myśl tę działacze mogli zrealizować dopiero w 1921 roku. W Poznaniu, podczas wiosennego turnieju akademickiego, z inicjatywy krakowskiego AZS powołano komitet organizacyjny Polskiego Związku Lawn-Tennisowego. W skład komitetu weszli: A. Mikołajewski, J. Kucner i K. Chłapowski z AZS Poznań oraz M. Beym, K. Starkowski, Z. Szulc i St. Żółtowski z KS „Warta” Poznań. 27 sierpnia 1921 roku, podczas Wszechpolskiego Turnieju Lawn-Tennisowego odbyło się zebranie konstytucyjne Polskiego Związku Lawn-Tennisowego, na którym jako członków założycieli zapisano następujące kluby: AZS Kraków, Poznań i Warszawa, Łódzki Klub LT, Koło Tenisowe Toruń, WKS Lublin, KS „Warta” i KS „Unia” Poznań oraz KS „Czarni” Lwów (razem 9 klubów).

Pierwszy zarząd Związku ukonstytuował się następująco: prezes Zdzisław Szulc Poznań; wiceprezesi K. Scheibler Łódź i C. Jentys Kraków; sekretarz J. Kucner Poznań; skarbnik K. Starkowski Poznań; członkowie R. Stahl Lwów, J. Kowalewski i Krotkiewski Warszawa, B. Kunce Łódź, dr Dandelski Toruń. Siedzibą Związku był Poznań.

Głównym motorem działalności Związku stał się Zdzisław Szulc, zawodnik i organizator. Kolejno prezes Związku Tenisowego Młodzieży Poznańskiej i Polskiego Koła Sportowego, działacz KS „Warta”, od 1922 roku związał się z AZS-em i pozostał mu wierny aż do śmierci; zmarł w 1959 roku. Jego energia, entuzjazm, wielkie poczucie odpowiedzialności i szlachetny charakter przyczyniły się niemało do stworzenia z sekcji tenisowej poznańskiego AZS-u jednej z najlepszych sportowych organizacji w kraju. Świadectwem wielkiego wyrobienia społecznego i poczucia racji stanu jest jego inicjatywa, aby w 1927 roku, jeszcze przed upływem kadencji wybranego uprzednio zarządu, przenieść siedzibę Związku do Warszawy, gdyż zlokalizowanie tej siedziby w stolicy kraju było wówczas dla dobra tenisa wskazane.

Po przeniesieniu Związku do Warszawy prezesurę obejmuje Jan Kowalewski, liczba członków zarządu wzrasta do 14, ale już w 1927 roku sięga 31 osób.

Ale cofnijmy się jeszcze do okresu, kiedy to świeżo kreowany PZLT stawiał pierwsze kroki nie tylko na polu organizacyjnym, ale i sportowym. Pierwszy turniej o mistrzostwo Polski, rozegrany w 1921 roku, wygrywa bezkonkurencyjny E. Kleinadel, wśród

pań Wera Richterówna z Łodzi. Kleinadel wyjeżdża na dłuższy pobyt do USA. Następnym mistrzem Polski zostaje St. Darski. W 1923 roku mistrzostwa się nie odbywają, a rok później po zaszczytny tytuł sięga A. Foerster. Wśród kobiet nadal króluje W. Richterówna.

W 1923 roku następuje pierwsza zbiorowa wyprawa tenisistów za granicę. Darski, Richterówna, Żochowska wyjeżdżają na turniej na krytych kortach w Barcelonie! Nasi gracze gładko przegrywają wszystkie spotkania, ale występ ten zadokumentował obecność tenisa polskiego na arenie międzynarodowej. Polska ekipa była tak stremowana i speszona niepowodzeniami, że natychmiast opuszcza Barcelonę nie chcąc obciążać swym pobylem gospodarzy. PZLT przystępuje do Międzynarodowej Federacji LT, a następnie rozpatruje możliwość udziału naszych graczy w turnieju tenisowym na igrzyskach olimpijskich w Paryżu w 1924 roku.

Następnym wyrazem dążeń do włączenia się w międzynarodowy nurt tenisa było zgłoszenie Polski do rozgrywek o Puchar Davisa. W 1925 roku wylosowaliśmy za przeciwnika Anglię; spotkanie rozegrane w Warszawie na kortach WLTK w Agrykoli skończyło się naszą porażką 0:5. Barwy Polski reprezentowali W. Szwede, A. Foerster, a w grze podwójnej W. Kuchar i W. Steinert. Nasi tenisiści zdobyli zaledwie 16 gemów w całym spotkaniu. Począwszy od tego meczu aż do wybuchu II wojny światowej w corocznych walkach o Puchar Davisa brali udział polscy reprezentanci.

Od 1924 roku w turniejach krajowych na czoło wysuwa się Czetwertyński, wygrywając mistrzostwo Poznania, Krakowa i Lwowa. Rok później zdobył mistrzostwo Polski, a tytuł ten przypadł mu również w 1926 roku.

Przełomowe dla tenisa polskiego były lata 1929—30, w których na tron mistrzowski wstąpili Jadwiga Jędrzejowska i Ignacy Tłoczyński. W ich grze fachowcy wyczuli możliwości osiągnięcia sukcesów międzynarodowych, których było nam brak do owej pory. Nadzieje miłośników tenisa spełniły się niebawem.

W latach 1925—29 kolejne losowania przeciwników w Pucharze Davisa nie były dla Polski szczęśliwe: najpierw trzykrotnie spotykaliśmy się z Anglią, następnie z Belgią i z Danią — wszystkie mecze zakończyły się porażkami 0:5, przy czym nasi reprezentanci zdobyli zaledwie 3 sety! Dopiero w 1930 roku wylosowaliśmy Rumunię, co dawało nam szansę stoczenia równorzędnej walki, aczkolwiek rutyna i techniczny poziom gry reprezen-

tanta Rumunii Mishu nie rokowały wygrania z nim gier pojedynczych i gry podwójnej. Kiedy trzeciego dnia spotkania, przy stanie 2:1 dla Rumunii na korcie stanęli Mishu i Tłoczyński, publiczność zorientowała się, że to spotkanie zdecyduje o wyniku meczu, gdyż liczono, że M. Stolarow upora się ze znacznie słabszym Poulieffem. Przypomnijmy sobie przebieg tego dramatycznego spotkania.

Ambicją i ofiarnością Tłoczyński wygrywa pierwszego i trzeciego seta. Walka toczy się niezwykle zażarcie. Mishu wykorzystuje wszystkie umiejętności, by pokonać niedoświadczonego przeciwnika. W pewnym momencie zaczyna serwować z dołu podciętą piłką, publiczność reaguje głośnie protestami. Rozwścieczony Mishu serwuje piłkę... w trybuny! Powstaje wrzawa, mecz zostaje przerwany, ale po pertraktacjach następuje wznowienie. W czwartym secie Tłoczyńskiego chwytają kurcze, zwycięstwo zaczyna mu się wymykać z rąk.

„Pod koniec czwartego seta — pisał w swych wspomnieniach Tłoczyński — kurcze zaczęły mnie łapać w nogę. W pewnej chwili zdawało mi się, że to już koniec — że meczu nie ukończę. Powiedziałem sobie w duchu: Ignac, nie wolno ci kapitulować! Zaciśnięm zęby — za wszelką cenę muszę wygrać. I wtedy nasz nieoceniony kapitan sportowy Olchowicz — kiedy zmienialiśmy strony kortu — podał mi herbatę z koniakiem. Wstąpiły we mnie nowe siły. Wygrałem piątego seta!”

To zwycięstwo zdecydowało o wygraniu całego spotkania, mimo że mecz Stolarowa z Poulieffem nie był formalnością. Przerwany z powodu ciemności i dokończony następnego dnia obfitował w dramatyczne momenty; Rumun postawił w nim wszystko na jedną kartę i uległ dopiero w piątym secie 3:6.

Pierwsze zwycięstwo w Pucharze Davisa, którego bohaterem stał się Tłoczyński, nie tylko spopularyzowało jego osobę, ale wzmogło zainteresowanie tenisem. Nie osłabiła tego wrażenia porażka w następnej rundzie znowu z Anglią 0:5, podczas którego to spotkania padł swoisty rekord: para Tłoczyński—Warمیński przegrała z rutynowanymi Anglikami Gregory—Collins trzy sety po 0:6, co trwało w sumie 20 minut!

Niedługo po emocjach meczu z Rumunią nastąpiło jedyne w dziejach polskiego tenisa wydarzenie: zaczęło wychodzić pismo pt. „Lawn-Tennis Polski”, redagowane przez działaczy sekcji tenisowej „Legii” A. Olchowicza i W. Lublinerę — jednocześnie wydawcy. Do wiosny 1931 ukazało się 13 numerów tego pisma, w którym zamieszczali swe artykuły znani wówczas działacze tenisowi, jak J. Drewnowski i K. Wasilewski, a trener

W. Pulst wraz z I. Tłoczyńskim udzielali porad, jak należy grać w tenisa.

Trzeba tu podkreślić, że w tych pierwszych latach działalności PZLT powstała dość bogata literatura tenisowa. Związek publikował swoje komunikaty w organie prasowym wydawanym wspólnie ze Związkiem Towarzystw Szachowych i Poznańskim Okręgowym Związkiem Lekkoatletycznym — „Trybunie Sportowej”, przekształconej później w „Sport Ilustrowany”. Później komunikaty PZLT ukazywały się w „Stadionie”, a od 1927 roku PZLT wydawał własny „Okólnik” z przerwą, w której korzystał z łamów „Lawn-Tennisu Polskiego”. Do 1936 roku wyszło ponad 60 numerów „Okólnika”.

W 1925 roku ukazał się nakładem Związku „Podręcznik do gry lawn-tennisowej” opracowany przez Z. Szulca. Książeczka ma charakter rocznika; poza przepisami podaje szereg innych informacji, jak statut PZLT, spis klubów zrzeszonych i związków zagranicznych, przepisy gier z wyrównaniem, wzór karty sędziowskiej, terminologię tenisową, wskazówki jak budować boiska tenisowe i urządzać turnieje, krótki zarys dziejów tenisa itp.

Dalsze publikacje z tego okresu, to podręcznik „Tenis” Wł. Kuchara i Z. Stahla (1927 r.), „Rocznik Polskiego Związku Lawn-Tennisowego” (1929 r.), „Nauka gry w tenisa” W. Pulsta (1932 r.) oraz przetłumaczona przez Ernesta Wittmana książka René Lacoste’a „Tenis” (1934 r.).

Wydawnicze zainteresowanie tenisem wskazuje na duży wzrost popularności tej dyscypliny sportu. W rzeczy samej PZLT liczy 44 kluby w 1929 r., 51 klubów w 1930 r., 74 w 1932 r., 86 w 1933 r. Liczba turniejów wzrasta z 17 w 1927 r. do 32 w 1933 r. Bardzo popularne stały się rozgrywane w silnej obsadzie turnieje w miejscowościach kuracyjnych i wypoczynkowych, jak Rabka, Zakopane, Iwonicz, Ciechocinek, Inowrocław, Milanówek, Skolimów, Busko, Krynica, Jurata, Jastarnia.

W 1930 roku Ignacy Tłoczyński, wychowanek poznańskiego AZS, przeszedł do sekcji tenisowej WKS „Legia” w Warszawie. Obok pozyskanej Dubieńskiej i Jurczyńskiego stanowił filar tej drużyny, która startując w tym składzie zdobyła wicemistrzostwo drużynowe Polski, ustępując wielokrotnym mistrzom — Łódzkiemu KLT. Zapoczątkowana akcja stworzenia w „Legii” silnego klubu tenisowego była konsekwentnie w następnych latach realizowana. Do „Legii” przeszli: J. Jędrzejowska, bracia Stolarow, Wittman, Beldowski, Ksawery Tłoczyński, Lilpopówna.

Obok „Legii” najsilniejszym klubem warszawskim był WLTK. Po wycofaniu się St. Czetwertyńskiego, do czołowych raket tego



Jadwiga Jędrzejowska przyjmuje nagrodę i gratulacje od zastępcy przewodniczącego GKKFiT Józefa Rutkowskiego i ówczesnego prezesa PZT Andrzeja Majewskiego. Rok 1962

Po uroczystości pożegnania w sekcji tenisowej Huty „Baildon” wzruszoną Jadwigę Jędrzejowską odprowadzają działacze sekcji





Pod wodzą Jędrzejowskiej wchodzi na kort młode pokolenie tenisistek: Rychterówna, Fogelmanówna, Banasiakówna, Moraczewska i inne

klubu zaliczali się: W. Marszewski, A. Tarnowski, J. Loth, L. Popławski, a w ostatnich latach przed wojną — Czesław Spychała rodem z Poznania. Warto tu podkreślić sylwetkę Jana Lotha, bohatera pierwszego spotkania piłkarskiego Polska — Węgry. Jego wspaniała gra na bramce zapewniła nam honorową porażkę z silniejszym od nas przeciwnikiem, różnicą jednej tylko bramki. Po wycofaniu się z piłki nożnej Loth utrzymywał się w czołówce polskiego tenisa, wykazując niezwykłą wytrzymałość i ambicję w grze.

Warto wspomnieć inne jeszcze kluby warszawskie: AZS z siedzibą w Parku Skaryszewskim, „Warszawiankę”, utworzony przez żydowskich tenisistów KT-1929, który miał swe korty na Nowym Świecie pod nr 22.

Najsilniejszym jednak ośrodkiem tenisowym w latach 1927—1932 był Łódzki Klub Lawn-Tennisowy, sześciokrotny drużynowy mistrz Polski. Podporę klubu stanowili: W. Steinert, Jerzy i Maks Stolarow oraz Wera i Ksenia Richterówny.

Poznań, który tyle inicjatywy wykazał w dziedzinie organizacji sportu tenisowego, stanowił jednocześnie wylęgarnię talentów. Alfons Foerster, Przemysław Warmiński, Ignacy Tłoczyński, Czesław Spychała, Zbigniew Beldowski, Ksawery Tłoczyński to czołówka polskiego tenisa. Dla Poznania o tyle niestety mniejsza satysfakcja, że poza Warmińskim wszyscy pozostali przeszli do klubów warszawskich lub katowickich.

Ośrodek krakowski w początkowym okresie niepodległości reprezentowali W. Szwede, W. Potuczek, Z. Zachar, później O. Liebling, A. Jurczyński, R. Konopka, W. Horain, K. Herbst i wreszcie K. Tarłowski — mistrz Polski z 1937 roku i wielokrotny reprezentant kraju. Osobno trzeba wspomnieć o Witoldzie Horalnie, który osiągnął swoisty rekord: w latach 1929—1937 figurował aż 8 razy na listach klasyfikacyjnych zajmując pozycję od 6 do 10 miejsca. Dużą rolę odegrał Kraków w tenisie kobiecym: Dubieńska — zanim przeszła do „Legii” — była kilkakrotną wicemistrzynią, a w 1928 roku mistrzynią Polski; czołowe miejsca zajmowały M. Boniecka, A. Pozowska, S. Bielecka, a J. Jędrzejowska była klasyfikowana nieprzerwanie na I miejscu w latach 1929—1937.

Katowice, zasilone w 1928 roku A. Foersterem, miały w tym czasie klasyfikowanego gracza O. Steinera, później wszedł do czołówki Ernest Wittman, wielokrotny reprezentant kraju. W 1933 roku pojawiły się na Śląsku nowe nazwiska. Silną pozycję tenisa katowickiego stanowiły kobiety z G. Volkmer-Jacobsen.

Lwowski tenis w latach dwudziestych reprezentował Wł. Ku-

char, uczestnik pierwszego meczu pucharowego z Anglią w grze podwójnej. Do czołowych graczy należeli też Z. Stahl, S. Kołcz, D. Lantner, S. Pohoryles, K. Altschüller, a od 1930 roku — Józef Hebda, który aż do wybuchu wojny będzie zajmował I lub II lokatę w krajowym rankingu, spadając dwa razy na trzecią pozycję. Rywalizacja Hebdy z Tłoczyńskim stała się atrakcją wielu turniejów krajowych i spotkań międzynarodowych.

Obok tych najsilniejszych okręgów tenisowych należy wyróżnić okręg pomorski. A. Głowacka z Bydgoszczy zdobyła mistrzostwo Polski w 1937 roku.

Po tym bardzo skrótowym opisie czołówki polskich graczy w przekroju regionalnym wróćmy do wydarzeń sportowych, przy których zatrzymaliśmy się omawiając pierwsze zwycięstwo w Pucharze Davisa.

Wielką formę sportową wykazaną w tym spotkaniu Ignacy Tłoczyński utrzymał do mistrzostw Polski, w których pokonał bezkonkurencyjnego do owej pory M. Stolarowa, odbierając mu szansę zdobycia pucharu przechodniego PZLT im. E. Millera.

Puchar ten, ufundowany w 1925 roku, mógł zdobyć mistrz Polski po trzykrotnym kolejnym lub pięciokrotnym nie kolejnym zwycięstwie.

Oto kolejne walki o puchar Millera.

W latach 1925—26 mistrzostwo Polski zdobywa St. Czetwertyński, by za trzecim razem niespodziewanie ulec J. Stolarowowi. W latach 1927—28 M. Stolarow reprezentuje taką klasę, że nikt nie mógł przypuszczać, aby mógł przegrać trzecie mistrzostwo. Ale Tłoczyński rozwiał jego nadzieje. Cała opinia, znając wytrwałość i pracowitość nowego mistrza, była przekonana, że dobra passa pozwoli mu zdobyć puchar. Tymczasem w 1932 roku Hebda doszedł do szczytowej formy i wygrał z Tłoczyńskim, a w następnym roku powtórzył sukces. W 1934 roku Tłoczyński z kolei był świetnie dysponowany — w ciągu całego roku stracił z krajowymi rywalami zaledwie jednego seta. Zdobywając po raz trzeci, choć nie w kolejnych latach, mistrzostwo Polski, pozabawił Hebde szansę zdobycia pucharu. Dalsze jednak dwa lata znów należą do Hebdy, który w tym pasjonującym pojedynku o cenne trofeum prowadził już z Tłoczyńskim 4:3. Ale obu rywali pogodził K. Tarłowski w 1937 roku. Następny rok pozwolił Tłoczyńskiemu wyrównać stan „meczu” z Hebdą na 4:4. Nadszedł rok 1939. Mistrzostwa Polski, rozegrane w tymże roku w rodzinnym mieście Tłoczyńskiego — Poznaniu, dodały mu skrzydeł. Przy wielkim aplauzie publiczności popularny „Ignac” wywalczył na własność trudny do zdobycia Puchar.

Ale zanim do tego doszło, w tenisie polskim przez 10 lat nastąpiło wiele innych wydarzeń.

Spotkania o Puchar Davisa zawsze stanowiły ogromną atrakcję dla publiczności warszawskiej, dając jej okazję obejrzenia wielu słynnych graczy. Warszawa ogląda słynnych Anglików Perry’ego i Austina, Holendra Timmera, Włocha de Stefaniego, południowoafrykańskich graczy Kirby’ego i Farquarsona, Czechosłowaków Hechta, Sibę i Caskę, wreszcie Niemców Henkla, Metaxę (b. Austriaka) i Menzla (b. Czechosłowaka). Z 23 spotkań pucharowych rozegranych do 1939 roku polska reprezentacja wygrała jedynie 9, jednak porażki z bardzo silnymi przeciwnikami ponosiła po ciężkiej i wyrównanej grze, jak np. w meczach z Holandią, Włochami (dwukrotnie), Pd. Afryką, Austrią i Niemcami.

Ten ostatni mecz na długo wrył się w pamięć widzów. Maj 1939 roku. Napięte stosunki z Niemcami. Perspektywa działań wojennych. Do Warszawy zjechała bardzo silna drużyna niemiecka. Tłoczyński, w wielkiej formie, wygrywa z Henklem i Menzlem. Niestety Baworowski, przegrywając w pięciu setach z Menzlem, zdecydował o wyniku 2:3. Tym spotkaniem Tłoczyński zakończył swój bogaty cykl meczów, pozostając do dziś nie pobitym pod względem największej liczby zwycięskich spotkań w stosunku do rozegranych: z 46 meczów wygrał 26, czyli 60%, czego nie dokonał żaden inny nasz tenisista.

Nie tylko jednak spotkania davisupowe dostarczały atrakcji miłośnikom tenisa. Sekcja tenisowa „Legii”, skupiając czołowych graczy, urządzała co roku towarzyskie spotkania z klubami zagranicznymi. Dzięki tym spotkaniom Warszawa oglądała drużyny paryskiego Racing Clubu, AIK Stockholm, Rottweiss Berlin, All England L.T. Club itd. W ramach tych spotkań przyjeżdżali Cramm, Borotra i Cochet.

Spotkania międzymiastowe odbywały się z Budapesztem i Pragą. Międzypaństwowe mecze towarzyskie rozegrano z Finlandią, Japonią, CSR, Włochami, Francją, Danią, Węgrami, Rumunią. Ze znanych graczy tych drużyn kort centralny „Legii” gościł Menzla, Malecka, Hechta, Sibę, Szigetiego, Petrę, Lessuera, Matejkę, Artensa, Metaxę, Palmieriego. Petra — przyszły triumfator Wimbledonu — przegrał w Warszawie z Tłoczyńskim.

Odbywały się pokazy graczy zawodowych, w których Tłoczyński — za zezwoleniem PZLT — rozgrywał mecze z Najuchem i Tildenem. Tildenowi urwał nawet jednego seta.

Od 1931 roku na „Legii” rozgrywano międzynarodowe mistrzostwa Polski. Pierwsze z nich wygrał Francuz Berthet,

w 1933 roku zwycięzcą był Hecht, w 1935 roku Anglik Hughes; w pozostałych latach tytuł zdobywali: Tłoczyński, Tarłowski i dwukrotnie Hebda.

Aby przygotować należycie swoich zawodników do tych licznych i odpowiedzialnych spotkań, PZLT sprowadzał wielokrotnie zagranicznych trenerów tej rangi, co K. Koželuch, R. Najuch, Estrabeau, Bolzano, Prahaska.

Nasi tenisiści brali także udział w wielu turniejach i spotkaniach za granicą. Do tradycji należały wiosenne, a czasem jesienne wyjazdy na Riwierę. Tłoczyński zapisał na swoim koncie mistrzostwo Nicei, Portugalii, Walii i Południowej Anglii. W 1934 roku zdobywa wicemistrzostwo Węgier, przegrywając z Hechtem. J. Stolarow i M. Stolarow wywalczyli mistrzostwo Łotwy w grze podwójnej, a ten ostatni w Sopocie wygrał ze świetnym Kehrlingiem i doszedł do finału. Wittman trzykrotnie zdobył mistrzostwo Estonii, był też mistrzem Bułgarii i wicemistrzem Jugosławii. Hebda wygrał turniej i mistrzostwo Cannes itd.

Niewątpliwie biorąc całokształt wyników ostatniego dziesięciolecia okresu międzywojennego za najwybitniejszych tenisistów tego okresu trzeba uznać — Tłoczyńskiego i Hebdę.

W 1937 roku wprowadzono nową imprezę międzynarodową: Puchar Europy Środkowej, w którym startowały reprezentacje Austrii, Czechosłowacji, Jugosławii, Polski, Węgier i Włoch. Wszystkie te kraje posiadały wybitnych graczy i były dla nas bardzo silnymi przeciwnikami. W rozłożonych na dwa lata spotkaniach o Puchar polska drużyna wygrała ze wszystkimi reprezentacjami, remisując jedynie ostatni mecz z Czechami, i zdobyła Puchar. Był to duży sukces. Mecze rozgrywano w 6 spotkaniach — czterej singliści i dwie pary podwójne.

W Pucharze Środkowej Europy Tłoczyński znów stał się bohaterem, wygrywając aż 8 spotkań na 10 rozegranych (5 singli i 5 debli).

Kończąc ten przegląd sportowych osiągnięć tenisa polskiego aż do 1938 roku, tj. ostatniego roku o pełnym sezonie, celowo pomijaliśmy sukcesy i rolę kobiecego tenisa, jaki reprezentowała Jadwiga Jędrzejowska. Wyjątkową pozycję, jaką zajmowała w tenisie nie tylko polskim, ale i światowym, naświetliły jej wspomnienia. Wiemy z nich, że znany teoretyk tenisa Myers sklasyfikował Jędrzejowską dwukrotnie na światowej liście tenisistek, w tym dał jej trzecią lokatę w 1937 roku.

W latach międzywojennych PZLT rozporządzał bardzo skromnymi środkami finansowymi. Wydatki i wpływy obracały się rocznie w granicach 16—20 000 przedwojennych złotych. Dotacje

Państwowego Urzędu WF i PW oraz innych instytucji wynosiły 7—10 000 zł. Przy wyjazdach zagranicznych często korzystano z pomocy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W każdym sprawozdaniu rocznym PZLT uskarżał się na słabe wpływy ze składek. W miarę tych skromnych możliwości czyniono wysiłki, aby zachęcać młodzież do tenisa i szkolić ją. Organizowano różne otwarte turnieje, jak WIMY w Łodzi czy o nagrodę J. Regulskiego w Warszawie. Do pracy z młodzieżą angażowano trenerów krajowych i zagranicznych. Nie przynosiło to jednak spodziewanych efektów.

Po przeniesieniu PZLT do Warszawy prezesurę w nim objął Edward Miller, ale od 1930 roku działacze postanowili, że na czele Związku powinna stanąć osobistość wpływowa i wybrano prezesem I. Matuszewskiego, b. ministra skarbu — męża Haliny Konopackiej. W latach 1932—33 prezesował Związkowi dyrektor gabinetu prezesa Rady Ministrów M. Szumlakowski, a w latach 1934—36 gen. J. Gąsiorowski. Dopiero ostatnie przed wybuchem wojny lata nawróciły do dawnej sytuacji i prezesem wybrano E. Millera, który we wszystkich poprzednich kadencjach nieprzerwanie piastował godność wiceprezesa, faktycznie kierując Związkiem. Niewątpliwie była to wybitna postać działacza tenisowego okresu międzywojennego.

Drugą postacią, jaką należy wyróżnić wśród wielu innych, był Aleksander Olchowicz. Tenista, biorący udział w turniejach i zbierający laury w mistrzostwach armii, działacz sekcji tenisowej WKS „Legia”, od momentu przeniesienia się Tłoczyńskiego do Warszawy serdeczny i troskliwy opiekun młodego mistrza oderwanego od rodzinnego domu. Z czasem stał się fanatykiem talentu i możliwości popularnego Ignaca, który ma mnóstwo do zawdzięczenia późniejszemu kapitanowi PZLT, a w ostatnich latach wiceprezesowi Związku.

Dużą pomocą w popularyzacji tenisa służyła prasa. W rocznikach pism sportowych z tych lat uderza ilość miejsca poświęconego tenisowi. Nie tylko umieszczano sprawozdania z ważniejszych turniejów krajowych, ale nawet opisywano poszczególne gry w wypadku ciekawszych spotkań międzynarodowych. W „Przeglądzie Sportowym” stało się to regułą.

Miarą popularności tenisa było wielokrotne przyznawanie tenisistom lokat w pierwszej dziesiątce najlepszych sportowców roku. W 1927 roku na 8 miejscu plasuje się E. Kleinadel, w 1930 — na 6 miejscu jest Jędrzejowska, w 1931 — Tłoczyński zajmuje 2 miejsce, a Jędrzejowska trzecie, w 1932 — Jędrzejowska jest siódma, a Hebda ósmy, w 1933 — Jędrzejowska ma nr 5, a Tło-

czyński nr 8, w 1934 — Tłoczyński ma siódmą lokatę; dalsze lata to już monopol Jędrzejowskiej, która kolejno zajmuje 5, 1, 1 i 3 miejsce!

Niedokończony sezon 1939, który nieomal symbolicznie zaczął się od dramatycznej walki z Niemcami w Pucharze Davisa, notował kilka cennych zwycięstw naszych graczy na międzynarodowych mistrzostwach Francji. Tłoczyński doszedł do ćwierćfinału i przegrał po ciężkiej czterosekowej walce z Riggsem, późniejszym finalistą tego turnieju, a w Wimbledonie zwycięzca trzech finałów, Tłoczyński z Baworowskim pokonali reprezentacyjnego debła angielskiego Wilde—Hare i świetną parę jugosłowiańską Puncce—Mitic, przegrywając w półfinale z późniejszymi zwycięzcami turnieju, amerykańskim deblem Mc. Neil—Harris. Jędrzejowska doszła do finału, gdzie przegrała z Mathieu, ale wraz z nią wygrała grę podwójną.

Dobre wyniki Tłoczyńskiego, a szczególnie zwycięstwo nad Henklem i Menzlem, postawiły go w czołówce graczy europejskich, dzięki czemu dostąpił niemałego zaszczytu: był rozstawiony jako nr 8 w Wimbledonie. Niestety, trawiaste korty nigdy nie były dla niego łaskawe i w trzeciej rundzie przegrał z Hindusem Goas Mahomed, z którym po wojnie wygrał czterokrotnie.

Kiedy w pierwszych dniach sierpnia czołówka naszych graczy uczestniczyła w międzynarodowych mistrzostwach Polski w Gdyni, nie przypuszczano, że wiele upłynie lat, zanim odbędą się następne mistrzostwa. Lata te miały być pasmem cierpień dla całego narodu i dotknąć bolesnymi stratami społeczność tenisową.

Już w maju 1945 roku zawiązał się w Krakowie komitet organizacyjny Polskiego Związku Tenisowego. W jego skład weszli znani działacze tenisowi: Feliks Dziuba, Mieczysław Frączkiewicz, Wiktor Szembek — z KS „Cracovia”, Witold Potuczek i Helena Szeraucówna — z KS „Krakus” i Aleksander Olchowicz z WKS „Legia”. Po wstępnych przygotowaniach zwołano w Krakowie na dzień 11 VIII 1945 konstytucyjne walne zgromadzenie PZT, w którym jako założyciele wzięli udział delegaci 28 czynnych już klubów i sekcji tenisowych.

Pierwszy zarząd PZT został wybrany w składzie: prezes A. Olchowicz (Kraków); wiceprezesi S. Briesemeister (Warszawa), W. Potuczek (Kraków) i K. Skulicz (Katowice); sekretarz — M. Frączkiewicz; skarbnik — W. Szembek; kapitan związkowy — F. Dziuba; członkowie — W. Brodkiewicz, K. Herbst, H. Szeraucówna (wszyscy z Krakowa).

Już w trakcie prac związanych z reaktywowaniem Związku od-

był się pierwszy powojenny turniej tenisowy zorganizowany na kortach „Cracovii”. Również w innych miastach, jak Łódź i Sopocie, odbywały się podobne turnieje, a w drugiej połowie roku nastąpił szereg spotkań międzypaństwowych: Warszawa—Kraków, Łódź—Kraków, Warszawa—Śląsk, Kraków—Śląsk.

Nielatwo było zebrać doborowy zespół zawodników do tych wszystkich imprez. Wielu przedwojennych graczy straciło życie podczas okupacji, kilku czołowych zawodników, jak Tłoczyński, Spychała, Wittman i M. Stolarow, przebywało za granicą; inni rozproszyli się po kraju lub zmienili poprzednie miejsce zamieszkania.

Czołówka reprezentująca ówczesny tenis opierała się na przedwojennych, dojrzałych graczach, jak Jędrzejowska, Rudowska, Popławska, Hebda, Bratek, Horain, Herbst, S. i T. Kołczowie, oraz młodszej generacji w osobach braci Skoneckich, J. Piątka, Kończaka, Chytrowskiego, K. Tłoczyńskiego, B. Tomaszewskiego, W. Olejniszyna i innych.

Pierwsze powojenne mistrzostwa Polski, rozegrane w Krakowie, wygrali „starzy mistrzowie” — Hebda i Jędrzejowska. W następnym roku odbyły się w Sopocie mistrzostwa międzynarodowe. Polska zgłosiła się do Międzynarodowej Federacji Tenisa i do rozgrywek o Puchar Davisa. W 1947 roku pierwsze spotkanie pucharowe z Anglią rozegrano w Warszawie. W zrujnowanej stolicy nie zabrakło kompletu widzów na drewnianych trybunach centralnego kortu „Legii”.

Mimo że w tym meczu słabszego Bartona pokonali obaj nasi reprezentanci, Hebda i Skonecki, widać było, że młodość zaczyna zdecydowanie górować i że zwycięstwo Skoneckiego nad Hebdą w mistrzostwach Polski 1946 roku nie było przypadkowe. Zaczął się okres dominacji Skoneckiego, który 5 razy z rzędu zdobywał tytuł mistrzowski. Hebda osiągał jeszcze sukcesy, ale w grach podwójnych i mieszanych, dorzucając do poprzednich licznych tytułów dalsze mistrzostwa.

W 1948 roku mistrzem juniorów został J. Radzio, a w 1950 roku A. Liciś. Na arenę wstąpiło nowe pokolenie tenisistów.

Tymczasem Polski Związek Tenisowy staje przed podobną sytuacją, jak w 1925 roku: reorganizacja PUWF i PW i utworzenie Głównego Urzędu Kultury Fizycznej powoduje konieczność ściślejszego powiązania prac Związku z naczelnymi władzami sportowymi i tym samym konieczne jest przeniesienie siedziby Związku z Krakowa do Warszawy.

Ostatnim prezesem Zarządu PZT z siedzibą w Krakowie był przez 3 lata inż. B. Waydowski; A. Olchowicz już wcześniej

otrzymał godność honorowego prezesa PZT oraz odznakę honorową PZT dla zasłużonych. Takie odznaki otrzymali w tym okresie W. Potuczek, W. Szembek, E. Miller, H. Jonszta i L. Kończak.

Prezesem Zarządu PZT w Warszawie został ówczesny wiceminister Obrony Narodowej — P. Jaroszewicz; wiceprezesami — H. Jonszta, W. Szembek i B. Waydowski; sekretarzem — J. Olaszowski; skarbnikiem — C. Zawadzki; kapitanem związkowym — O. Challier; członkami zarządu — K. Herbst, S. Niesłuchowski, S. Zarzycki i J. Kosiński.

Opieka i pomoc, jaką władze Polski Ludowej udzieliły sportowi, nie miały precedensu. Praca klubów i związków sportowych, oparta dawniej na wpływach ze składek i doraźnej pomocy sympatyków i działaczy, uzyskala trwale podstawy finansowe, pozwalające na programowanie działalności na dłuższe okresy i dysponowanie małym, ale własnym aparatem administracyjnym. Poza budżetem PZT, kluby i sekcje były finansowane przez swoje organizacje nadrzędne: federacje i piony. Sport tenisowy uzyskał warunki, jakich dotąd nie posiadał!

Pierwsze występy naszych tenisistów za granicą — w Wimbledonie, miały raczej zadokumentować naszą obecność, gdyż ani Jędrzejowska, ani Hebda nie mogli liczyć na sukcesy. Skoneckiego, który ujawniał duży talent, sport ludowy otoczył opieką umożliwiając mu rozwój jego uzdolnień.

W 1947 roku Skonecki poznał korty Wimbledonu, a w rok później uzyskał pierwsze cenne zwycięstwa nad: Caralulisem, Virsiu, Stockenbergiem, Vrbą, Szigetim i Katoną. W następnym roku wygrał turniej w Cannes w grze pojedynczej i wraz z Hebdą w grze podwójnej. W Budapeszcie i Pradze po ciężkiej walce przegrał z Asbothem i Drobny. Na jesieni zrewanżował się Asbothowi, wówczas IV rakiemie Europy i VII na świecie. Na tym samym turnieju w konkurencji juniorów zwycięstwo odniósł J. Radzio.

W 1950 roku Skonecki wygrał spotkanie z Andrejewem i głównie przyczynił się do zwycięstw w meczach pucharowych z Izraelem i Irlandią. Na mistrzostwach w Rumuni zajął pierwsze miejsce w grze pojedynczej i wraz z Jędrzejowską w grze mieszanej. Szczytowym osiągnięciem sezonu 1950 było jego zwycięstwo odniesione po trzygodzinnej walce z świetnym szwedzkim graczem Davidssonem. Warszawa wygrała wówczas ze Sztokholmem 4:2.

Te sukcesy wyrobiły w Skoneckim przekonanie, że stać go na sięgnięcie po jeszcze większe laury kosztem oderwania się od

polskiego sportu i od kraju. Ten utalentowany gracz zdradził brak poczucia obywatelskiego i postawy moralnej. W czasie wyjazdu na spotkanie pucharowe ze Szwajcarią w 1951 roku odmówił powrotu do kraju.

Dla PZT rok 1951 miał duże znaczenie. Dalsza reorganizacja sportu przyniosła przekształcenie wszystkich związków sportowych w sekcje przy GKKF. Walne zgromadzenie PZT uchwaliło zawieszenie działalności Związku i przejęcie jego agend przez sekcję tenisa przy GKKF. Choć liczni działacze weszli do sekcji jako ciało doradcze, to jednak zbyt duża centralizacja panująca wówczas w GKKF pozbawiła ich, zwłaszcza na niższym szczeblu — w terenie — swobody działania, a za tym zaczął się ujawniać brak inicjatywy i energii. Ten klimat nie wpływał dodatnio na sprawę tenisa.

W latach 1952—1956 nie startowaliśmy w rozgrywkach Pucharu Davisa, kontakty zagraniczne zostały znacznie ograniczone. Brak atrakcyjnych spotkań zniechęcił wielu sympatyków tenisa, mimo że w tym czasie pojawiło się wielu utalentowanych zawodników: W. Olejniszyn, A. Buchalik, A. Liciś, J. Radzio, J. Piątek, B. Marniewski to finaliści mistrzostw Polski lat 1952—1955. W tenisie kobiecym nadal niepodzielnie królowała Jędrzejowska i tylko w latach, kiedy nie stawiała na starcie mistrzostw Polski, tytuł ten zdobyły M. Rudowska i I. Popławska. Dopiero w 1956 roku Jędrzejowska po raz pierwszy poniosła porażkę w finale mistrzostw, przegrywając z Ryczkówną po 18-krotnym zdobyciu tego zaszczytnego tytułu!

Nową imprezą, jaka pojawia się od 1950 roku, są zimowe mistrzostwa Polski rozgrywane w hali; kolejne tytuły zdobywali w nich: Buchalik, W. Skonecki, Radzio, Liciś, Piątek, Radzio, Liciś.

Mimo ograniczonych kontaktów zagranicznych i braku wybitnych indywidualności wśród tenisistów, w 1957 roku stan organizacyjny tenisa nie przedstawiał się źle; w kraju działało 170 klubów i sekcji liczących 5390 członków, czynne były 454 korty. Łącznie dotacje wyniosły 3,8 mln zł.

Ten stan „odziedziczył” powołany po raz trzeci PZT, kiedy związki sportowe w 1957 roku ponownie podjęły działalność.

Rok wcześniej Skonecki powrócił do kraju. Wydawał się skruszony i pełen poczucia winy. Miał za sobą kilka lat dużych sukcesów zagranicznych i był wysoko notowany na rynku tenisowym, ale nie trzeba zapominać, że liczył wówczas 36 lat! Sport Polski Ludowej chciał mu dać jednak szansę rehabilitacji. Władysław Skonecki okazał się niegodny zaufania władz rządowych i sportowych kraju. Po zakończeniu kariery zawodniczej sprzedał

swoje zdobyte pod skrzydłami PZT umiejętności jednemu z zagranicznych klubów i już do Polski nie wrócił.

Lata 1957–59 były widownią pasjonujących pojedynków naszej reprezentacji w rozgrywkach o Puchar Davisa. Zwycięstwo nad Austrią i Chile ze słynnym Ayalą, wysoko notowanym wówczas w czołówce światowej, pokonanie silnej drużyny Meksyku (1958 r.), przegrany mecz z Brazylią, w którym Skonecki wygrał oba single (1959 r.), wreszcie sukces w meczu z Rumunią i ciekawy mecz z NRF (1960 r.), to była seria spotkań, które do żywego rozpalili publiczność, licznie zebraną wokół kortu „Legii”.

Pełne zaangażowanie w rozgrywki daviscupowe nie hamowało PZT we włączeniu się w inne międzynarodowe tradycyjne turnieje. W 1958 roku nasza drużyna juniorów (do lat 21) bierze po raz pierwszy udział w Pucharze Galea. W tym samym roku Polska przystępuje do rozgrywek o Puchar Króla Gustawa, odbywających się w zimie na krytych kortach.

Z inicjatywy „Expressu Wieczornego” i red. B. Tomaszewskiego, zamiłowanego tenisisty, zorganizowano w 1958 roku na kortach „Legii” turniej dla narybku tenisowego — począwszy od najmłodszych do piętnastoletnich. Turniej ten przerodził się w coroczny sprawdzian dla całej Polski i przyjął nazwę „Turnieju Expressu Wieczornego i Legii”. Na jego wzór urządza się turnieje dla młodzieży w Radomiu, na Śląsku (Jędrzejowskiej i Jonszty), IKP w Toruniu, a w ostatnich 2 latach — puchar B. Tomaszewskiego.

Międzynarodowe mistrzostwa Polski przenoszą się do Katowic, a w Sopocie organizuje się Puchar Bałtyku, złożony z rozgrywek drużynowych i turnieju indywidualnego. Nasza drużyna trzykrotnie zwycięża w nim silnych przeciwników: Węgry i CSRS.

Korty „Baildonu” w Katowicach na przestrzeni lat powojennych goszczą czołowe rakiety europejskie. Finalistami turniejów katowickich są m.in.: Szigeti, Javorsky, Pilet, Andrejew, Lundquist, Gulyas, Tiriac, Fox, a spośród kobiet: Teggart, Bartkowicz, Puzejova, de Rubin Vahley.

Trzecią imprezą międzynarodową na terenie kraju, ale już o charakterze lokalnym, jest Turniej Targów Poznańskich, który cieszy się popularnością i który ściągnął już szereg znanych graczy, m. in. ze Związku Radzieckiego.

Zdecydowana dominacja w tenisie męskim W. Gąsiorka w latach sześćdziesiątych przynosi mu także sukcesy zagraniczne. W 1965 roku Gąsiorek zwycięża w Kairze Eckleba, Sangstera i Gulyasa, a w Paryżu Kocha. W następnym roku wygrywa znowu z Kochem w Warszawie. W 1967 roku zwycięża Darmona,

Pietrangeli’ego a w Paryżu w 1/8 finału ma dwa meczbole z australijskim graczem Davidssonem. W następnym roku wygrywa z Lichaczewem i Darmonem.

Obok Gąsiorka, rakiety nr 1, wyrastali młodzi utalentowani zawodnicy, którzy z czasem utworzyli trzon naszej reprezentacji. B. Lewandowski, T. Nowicki i M. Rybarczyk, pnąc się stopniowo w górę, osiągają sukcesy w kraju i za granicą. Do nich dołączają już następni: J. Niedźwiedzki, Meres, Fibak, Rogulski, przechodząc przygotowania do Pucharu Galea i realizując program szkoleniowy.

W 1963 roku nasi gracze jadą po raz pierwszy w okresie zimowym na Kubę, gdzie trenują na otwartych kortach, i te wyprawy powtarzają się. Inną egzotyczną nowością jest już drugi wyjazd zimowy naszych graczy do Indii na cykl turniejów. Przedłużenie tego treningu pobytem na Riwierze i we Włoszech pozwala na dobre przygotowanie do spotkań pucharowych, czego dowodem były wygrane mecze z ZSRR 5:1 i Węgrami 3:2 (1969 r.).

Nie tylko czołówka tenisowa ma okazję zdobywania doświadczeń na turniejach zagranicznych. Młodych graczy wysyła się przed rozpoczęciem sezonu do Soczi, Kijowa lub Kazachstanu. Biorą też udział w turniejach młodzieżowych w Bratysławie, Cluj i Tallinie.

Podstawowymi jednak imprezami, wpływającymi na ocenę i klasyfikację, są krajowe turnieje drużynowe i indywidualne. W ostatnich latach drużynowe mistrzostwo Polski juniorów 7 razy z rzędu zdobywa Sopotcki Klub Tenisowy — od wielu lat kuźnia młodych talentów, wychowywanych przez braci Korneluków. Od 1966 roku rozgrywany jest Puchar Miast juniorów (ufundowany przez ZMS) — mistrzostwa drużynowe w relacji okręgów. Trzy razy puchar zdobył Gdańsk, po jednym razie Warszawa i Katowice. Puchar Miast dla młodzików (do lat 15), rozegrany po raz pierwszy w 1970 roku, wygrał Wrocław przed Gdańskiem.

Dla podsumowania wyników sportowych naszych tenisistów w 25-lecie PRL należy — chociażby w skrócie — podać ocenę ich występów w Pucharze Galea i Pucharze Davisa.

W Pucharze Galea nasza drużyna dwukrotnie była o krok od zakwalifikowania się do finału: w 1966 roku w decydującym meczu z Anglią, kiedy nasi gracze prowadzili 2:0, i w 1969 roku, kiedy ta sama sytuacja powtórzyła się w meczu z Rumunią. Inne rozgrywki eliminacyjne kończyły się zazwyczaj zajęciem III miejsca. Dwa razy organizację rozgrywek grupy eliminacyjnej powierzono Polsce (Szczecin i Wrocław); w 1971 roku, dla uświet-

nienia jubileuszu 50-lecia PZT, rozgrywki eliminacyjne do Pucharu Galea odbędą się w Toruniu.

W Pucharze Davisa, w okresie powojennym, rozegraliśmy 33 spotkania, wygrywając 15, a przegrywając 18.

Od dwóch lat Polska uczestniczy w mistrzostwach Europy amatorów, od 3 lat bierze udział w drużynowej imprezie Centropa Cup, której w 1970 roku była gospodarzem.

W statystyce powojennych mistrzów Polski prym wiedzie Gąsiorek z 22 tytułami, z tego aż 13 uzyskał w grze pojedynczej. Swoistym rekordzistą jest Józef Piątek, który 10 razy wygrał finał gry podwójnej; Hebda zdobył 8 razy mistrzostwo w grze mieszanej.

Zostawiając na koniec omówienie tenisa kobiecego kierowaliśmy się dwiema przesłankami. Pierwsza z nich, to wyjątkowa rola, jaka przypadła Jadwidze Jędrzejowskiej w polskim tenisie. Druga, to uwypuklenie luki, jaka powstała po jej odejściu i zupełnego braku sukcesów naszych zawodniczek.

Długa i pracowita kariera tenisowa Jędrzejowskiej przyniosła jej nie spotykaną ilość tytułów mistrzyni Polski 51! Z tego 22 tytuły przypadły za grę pojedynczą, 5 za grę podwójną, a 24 za grę mieszaną.

Taka indywidualność sportowa jest oczywiście rzadkim zjawiskiem. Karty tej książki powinny zachęcić dziewczęta do uprawiania tenisa, wskazując sukcesy, do jakich można dojść konsekwentną i pełną zapału pracą.

Kończąc pobieżny przegląd osiągnięć sportowych tenisa polskiego, poświęćmy jeszcze kilka słów charakterystyce organizacji tenisa, jego zasięgu i aktualnego stanu szkolenia.

We wszystkich województwach, poza Białymstokiem, istnieją okręgowe związki tenisowe. O żywotności i inicjatywie terenu świadczą turnieje, które weszły w tradycję, a rozgrywane są w małych miejscowościach, jak Żywiec, lub miasta średniej wielkości, jak Radom (Memoriał Kwiatka), Gdynia, Bytom (Czarne Diamenty), Jelenia Góra i Zielona Góra. Dużą popularnością cieszy się turniej o mistrzostwo Małopolski w Krakowie. Warto tu zanotować, że od 10 lat odbywa się w Sopcie turniej old-boyów, ostatnio nawet w obsadzie międzynarodowej.

Wychowywaniem młodzieży zajmuje się kadra trenerów i instruktorów. PZT zabiega o podnoszenie poziomu tej kadry i o dopływ nowych sił. System szkolenia stale ulega zmianom, konsultowanym z wyższymi uczelniami wf. Jednym ze źródeł zasilających kadrę szkoleniową są absolwenci AWF ze specjalizacją w tenisie, drugim — dwuletnie konsultacyjne studia doskonal-

nia i kształcenia kadr trenerskich i instruktorskich przy tej uczelni.

Stan zweryfikowanej kadry szkoleniowej tenisa przedstawia się następująco: trenerów klasy specjalnej 3, trenerów klasy I — 15, trenerów klasy II — 44. Wobec ponad 100 klubów i sekcji tenisowych zapotrzebowanie na dopływ sił fachowych do szkolenia jest duże i najbliższe lata wymagają na tym odcinku dużego wysiłku.

Akcję szkoleniową PZT wspomaga wydatnie Centralny Ośrodek Tenisowy w Sopocie, istniejący od 1968 roku i finansowany przez CRZZ. Odbywają się w nim zgrupowania i obozy dla młodzieży i juniorów z całej Polski.

Od 1968 roku PZT wydaje biuletyn szkoleniowy, który ukazuje się co miesiąc. Biuletyn spełnia pozytywną rolę w stosunku do kadry szkoleniowej i działaczy, zawierając — prócz materiałów szkoleniowych — różne informacje sportowo-tenisowe.

Przedstawiciele PZT czynnie współdziałają z Międzynarodową Federacją Lawn-Tennisową. Od 1963 do 1969 roku mgr Andrzej Majewski piastował godność członka zarządu tej instytucji. Reprezentując kraje socjalistyczne, skutecznie domagał się powołania imprezy wyłącznie dla amatorów i jako przewodniczący komitetu organizacyjnego doprowadził do skutku mistrzostwa Europy dla amatorów.

Tenis polski miał okresy wzlotów i upadków — jak każda dziedzina podlegająca prawom czasu i okoliczności. Dużo emocji i radości przysporzyli miłośnikom tenisa nasi czołowi zawodnicy swymi cennymi zwycięstwami, w których przygotowanie włożyli rzetelny wysiłek.

Należałoby życzyć, aby w następnym 50-leciu działacze, trenerzy i zawodnicy osiągnęli zdecydowane postępy, w szczególności w tenisie kobiecym i na polu umasowienia i popularyzacji tej pięknej dyscypliny.

- backhand (po ang. backhand) — uderzenie piłki z lewej strony.  
 debel (po ang. double) — gra podwójna 2 par mężczyzn lub 2 par kobiet.  
 drajw (po ang. drive) — uderzenie z głębi kortu nadające fałsz do przodu piłce lecącej nisko nad siatką.  
 dropshot (po ang. drop shot) — skrócona, podcięta, lekka piłka.  
 forhend (po ang. forehand) — uderzenie piłki z prawej strony.  
 gem (po ang. game) — gra, składowa część seta.  
 kort „en tout cas” (czyt. an tu ka) — plac tenisowy o specjalnie elastycznej ziemnej nawierzchni.  
 lob — piłka lecąca wysoko nad siatką tzw. „balonik”.  
 meczbol (po ang. match ball) — piłka kończąca mecz.  
 mikst (po ang. mixed doubles) — gra mieszana.  
 piłka setowa — piłka kończąca.  
 plasowana piłka — piłka kierowana w różne części kortu dla utrudnienia gry przeciwnikowi.  
 przerzut (gra na przerzut) — długotrwała wymiana piłek z głębi kortu.  
 Puchar Davisa — rozgrywane co roku drużynowe mistrzostwa świata mężczyzn, obejmujące łącznie 5 gier: 4 pojedyncze (na krzyż) i 1 podwójną.  
 serwis — podanie, tj. piłka zapoczątkowująca każdy punkt w grze. Jeżeli pierwsza piłka jest nieudana, gracz ma prawo powtórzyć serwis.  
 set — część składowa spotkania licząca minimum sześć gemów, czyli sześć gier.  
 singel (po ang. single) — gra pojedyncza kobiet lub mężczyzn.  
 smecz (po ang. smash) — mocne uderzenie piłki z góry, tzw. zabicie piłki.  
 wolej (po ang. volley) — uderzenie piłki z powietrza przed jej zetknięciem się z ziemią.

|                                                                                                                                                                                 | Str. |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| B. Tomaszewski: Zamiast przedmowy . . . . .                                                                                                                                     | 5    |
| Rozdział I                                                                                                                                                                      |      |
| Wchodzę na kort. Mój „klub”. Pierwszy mecz międzynarodowy. Dubieńska i Boniecka muszą dostrzec „dziewczyne od podnoszenia piłek”. Jak zostałam przyjęta do klubu . . . . .      | 9    |
| Rozdział II                                                                                                                                                                     |      |
| Choroba matki. Opinia Burińska o moim forhendzie. Postanowiłam zostać... mistrzynią Polski . . . . .                                                                            | 16   |
| Rozdział III                                                                                                                                                                    |      |
| Biała sukienka. Spotykam się z Dubieńską. Ucieczka hipnotyzera. Nim Lubieńska została aktorką... Mistrzyni Polski nie może być uczennicą szkoły p. Weigla . . . . .             | 21   |
| Rozdział IV                                                                                                                                                                     |      |
| Nowa porażka z Dubieńską. Dlaczego przegrywaliśmy w meczach o Puchar Davisa? Tajemnica Nurmiego. Wyrównuje porachunki z Dubieńską . . . . .                                     | 30   |
| Rozdział V                                                                                                                                                                      |      |
| Matura. Moje przygody w Paryżu. Zwycięska porażka z miss Ryan. Wimbledon od przodu i tyłu. Wstydlive zwycięstwo Cocheta . . . . .                                               | 40   |
| Rozdział VI                                                                                                                                                                     |      |
| Riwiera, czyli „tenis hotelowy”. Spotkanie z „Kusym”. Jak niemiecka gazeta pomogła mi wygrać z Jacobs. Prawda o All England Club . . . . .                                      | 52   |
| Rozdział VII                                                                                                                                                                    |      |
| „Cyrk Tildena” w Warszawie. Stammers, Jacobs, czyli seria niepowodzeń. Wimbledon bez treningu. Siódme zwycięstwo Krahwinkel. O poszukiwaniu posady i produkcji rakiet . . . . . | 63   |

|                                                                                                                                                                                                  |     |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Rozdział VIII</b>                                                                                                                                                                             |     |
| Spotkanie z Cilly Aussem. Znów Helena Jacobs... Incydent graniczny o... moją raketę. Czy wolno poddać się Mathieu? Kilka słów o tenisowej „elicie” . . . . .                                     | 70  |
| <b>Rozdział IX</b>                                                                                                                                                                               |     |
| 1800 km w powietrzu. Nowy incydent graniczny... o kwiaty. Jestem na stadionie olimpijskim. Spotkanie z pierwszym mistrzem maratonu . . . . .                                                     | 79  |
| <b>Rozdział X</b>                                                                                                                                                                                |     |
| Zwyciężam Jacobs! Pokonuję Mathieu! Queens Club w obliczu katastrofy. Mistrz Wimbledonu na Bermudach. Afisz, na którym nie ma Polski . . . . .                                                   | 84  |
| <b>Rozdział XI</b>                                                                                                                                                                               |     |
| Dochodzę do szczytu formy. Alicja Marble — druga rakietą świata. Fred Perry opuszcza korty. Wielka gra i wielka porażka. Propozycja „Cyrku Tildena”: 25 000 dolarów . . . . .                    | 93  |
| <b>Rozdział XII</b>                                                                                                                                                                              |     |
| Na S/M „Queen Mary”. Jestem własnością Amerykańskiego Związku Tenisowego. Poznają Nowy Jork. Spotkanie z „baletnicą kortów”. Czy Charlie Chaplin zna się na tenisie? Korty Greta Garbo . . . . . | 106 |
| <b>Rozdział XIII</b>                                                                                                                                                                             |     |
| Wyjeżdżam do Anglii. Znów spotkanie z Hildą Krahwinkel. Wielki pojedynek dwóch Helen. Za oceanem po raz drugi. Zawieram przymierze z Mathieu. Jadę przez III Rzeszę . . . . .                    | 116 |
| <b>Rozdział XIV</b>                                                                                                                                                                              |     |
| Okupacja. Gospoda „Pod Kogutem”. Praca konspiracyjna. Powstanie Warszawskie . . . . .                                                                                                            | 126 |
| <b>Rozdział XV</b>                                                                                                                                                                               |     |
| Budujemy korty. Po raz drugi w życiu pierwszy raz na kortach. Znów jadę do Wimbledonu. Nowe spotkanie z Hildą. List Erdoedi. Trudna walka ze Stancescu. Gram z Petru Grozą . . . . .             | 132 |
| <b>Rozdział XVI</b>                                                                                                                                                                              |     |
| Jadę do Moskwy! Kudliński uczy się. Gram z Korowiną. „Wielki tenis” nad morzem. Brawo Koermoeesy! Gościmy radzieckich kolegów . . . . .                                                          | 146 |
| <b>Rozdział XVII</b>                                                                                                                                                                             |     |
| Największa nagroda. Po raz siedemnasty... Rosną młodzi. Przykład Ozierowa. Po raz dwudziesty piąty . . . . .                                                                                     | 158 |
| <b>Rozdział XVIII</b>                                                                                                                                                                            |     |
| Ostatnie starty w mistrzostwach Polski. Jeszcze raz na Łazurowym Wybrzeżu. Spotkanie z Heleną Jacobs. Pożegnanie z kortami . . . . .                                                             | 164 |
| Z historii tenisa w Polsce . . . . .                                                                                                                                                             | 171 |
| Słowniczek tenisowy . . . . .                                                                                                                                                                    | 192 |